SZANTAŻ GAZOWY I DYKTAT KLIMATYCZNY

Europejczycy marzną w domach – z winy Moskwy, Berlina i Brukseli

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 46/451 15–21 LISTOPADA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Jak starano się utrącić profesurę Andrzeja Zybertowicza

HURKACZ I ŚWIĄTEK – W CZOŁÓWCE, ALE JESZCZE NIE NA SZCZYCIE

Pszczyna i proaborcyjne dezinformacje

SZTURM NA POLSKĘ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 46 >

Nakład: 55 600 egzemplarzy

eprasa.pl ad4328f552

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

RELACJA Z GALI JUŻ 22 LISTOPADA W „DO RZECZY"

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI:

PZU

Bank Polski

PGNiG

KGHM POLSKA MIEDŹ

PATRONAT HONOROWY:

NIKiDW

MINISTERSTWO ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

PARTNERZY:

HUAWEI

Lasy Państwowe

WSPÓŁORGANIZATORZY:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

NARODOWE CENTRUM KULTURY

PROJEKT OBALISZCZONY WE WSPÓŁPRACY Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY

INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ DR MIKLÓWA PELCZARA

PATRONAT MEDIALNY

TVP

HISTORIA

eprasa.pl ad4328f552

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ile chcą szantażyści?

A tak prezydenta Alaksandra Łukaszenki na polską granicę, bo o to chodzi w tej historii, którą od tygodni opisują media, wiele mówi o współczesnej polityce. Warto zebrać w punktach to, co najważniejsze.

Przede wszystkim, co się tyczy samej Białorusi, jasne są motywy i plan działania. Ani Białoruś, ani stojąca za nią Rosja nawet nie próbują ich ukrywać. Jaki jest cel, doskonale pokazują oficjalne wypowiedzi rosyjskiego MSZ.

Niektóre są bezczelne, jak słowa niejakiej Marii Zacharowej, rzeczniczki MSZ w Moskwie, która napisała: „Polscy politycy, którzy krytykują Łukaszenkę i obwiniają Mińsk za kłopoty z migrantami z Iraku, nie powinni zapominać, jak zniszczono Irak przy aktywnym udziale Warszawy". Trudno o bardziej chamską próbę przypisania Warszawie odpowiedzialności za obecny kryzys, ale znając inne, równie prostackie i brutalne wypowiedzi prezydenta Władimira Putina, trudno być zaskoczonym. Najwyraźniej Moskwa kłamstwo ma we krwi i inaczej, niż posługując się nim na każdym kroku, nie potrafi prowadzić polityki. Na szczęście tego typu mądrości pani Zacharowej mogą przekonać tylko niezbyt lotnych zwolenników linii Moskwy w samej Rosji: nie sposób znaleźć ważnych lub mniej ważnych polityków w Europie, którzy by wzięli je za dobrą monetę.

Ciekawsza jest zatem wypowiedź szefa pani Zacharowej, ministra Siergieja Ławrowa, który, można sądzić, wziął na siebie rolę rzecznika szantażystów i ni mniej, ni więcej ogłosił wprost, o co chodzi. Porównał on sytuację na granicy polsko-białoruskiej z falą uchodźców z terytorium Turcji. „Unia Europejska wspierała finansowo pozostanie uchodźców w Turcji" – stwierdził rosyjski minister spraw zagranicznych. I dodał, żeby już nikt nie miał wątpliwości, że UE mogłaby tak samo „pomóc" Białorusi. Pięknie, sprawa jest jasna: Łukaszenka, przy wsparciu Putina, postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu (w tym przypadku ogniem są wysyłani masowo na polską granicę migranci z Afryki i Bliskiego Wschodu). Chce wymusić uznanie swojej władzy w Mińsku, do czego prowadziłyby negocjacje, i ponadto jeszcze nieźle zarobić. Dał im przykład Erdoğan, jak zwyciężać mają, chciałoby się powiedzieć, który to dokładnie w taki sam sposób – stosując szantaż i pchając masy migrantów na granice Unii – wymusił miliardy euro i uznanie od kanclerz Angeli Merkel. Skoro Turkom się udało, to dlaczego nie nam? – zdają się pytać Białorusini.

I faktycznie, biorąc pod uwagę wszystkie uwarunkowania, jest to gra, która może się zakończyć ich sukcesem. Po pierwsze, co Białorusini i Rosjanie doskonale zrozumieli, europejscy politycy nie są w stanie bronić swoich granic. Ci, którzy próbują to robić, jak przed laty premier Viktor Orbán, a obecnie polskie władze, w dłuższym czasie nie mogą liczyć na poparcie. Skoro obrońcy granic nie mogą zrobić tego, co zawsze wcześniej robiło wojsko – a więc użyć wobec napastników proporcjonalnej siły, żeby ich odpędzić, bo zostaliby za to ukrzyżowani przez rozwścieczone liberalne media – prędzej czy później będą płacić. Ostatecznie to kwestia czasu i presji. Odpowiednia liczba płaczących dzieci i zrozpaczonych kobiet powinna przynieść skutki.

Nie mam wątpliwości, że przygotowując taką operację, moskiewscy i mińscy rekieterzy wzięli to pod uwagę. Prosta analiza nastrojów społecznych i to nawet w Polsce, skądinąd państwie, którego naród bardziej niż inne przywiązany jest do niepodległości, pokazała, że szantażyści mogą liczyć na ogromną rzeszę medialnych i politycznych poputczików. Stanowią oni funkcjonalnie rodzaj piątej kolumny: praktycznie paraliżują opór i są największymi sprzymierzeńcami szybkiej kapitulacji. To oni wylewają łzy nad „uchodźcami zapędzanymi do lasów przez PiS", to oni organizują pomoc dla „uciekinierów" i ogłaszają kolejne apele o wsparcie dla „kobiet i dzieci, których miejsce nie jest w lesie". Sprzymierzeńcy ci mają ogromną zaletę: działają w większości sami z siebie, więc nie trzeba im płacić. Można się spodziewać, na to liczą Mińsk z Moskwą, że podobne nastroje będą narastać na Zachodzie, co w końcu skłoni polityków Unii do wyjścia z odpowiednią ofertą.

Jeśli ten scenariusz jest prawdziwy, a obawiam się, że jest, to trudno zdobyć się na optymizm. Czekają nas kolejne dni napięcia, kolejne próby przerzucania tysięcy migrantów, aż wreszcie przedstawiciele Unii pękną i zrobią to, do czego usiłuje ich zmusić para Łukaszenko-Putin: zasiądą do stołu i zapłacą okup, którego wysokość, można być pewnym, została odpowiednio przez Moskwę określona. Erdoğan z Merkel przetarli szlak, którym podążają teraz Rosjanie i Białorusini. Dodatkowym elementem jest też pragnienie zemsty, które żywi białoruski dyktator w stosunku do Polski za to, że ta popiera demokratyczną opozycję, ale sądzę, że chęć odegrania się to mimo wszystko motyw drugorzędny. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

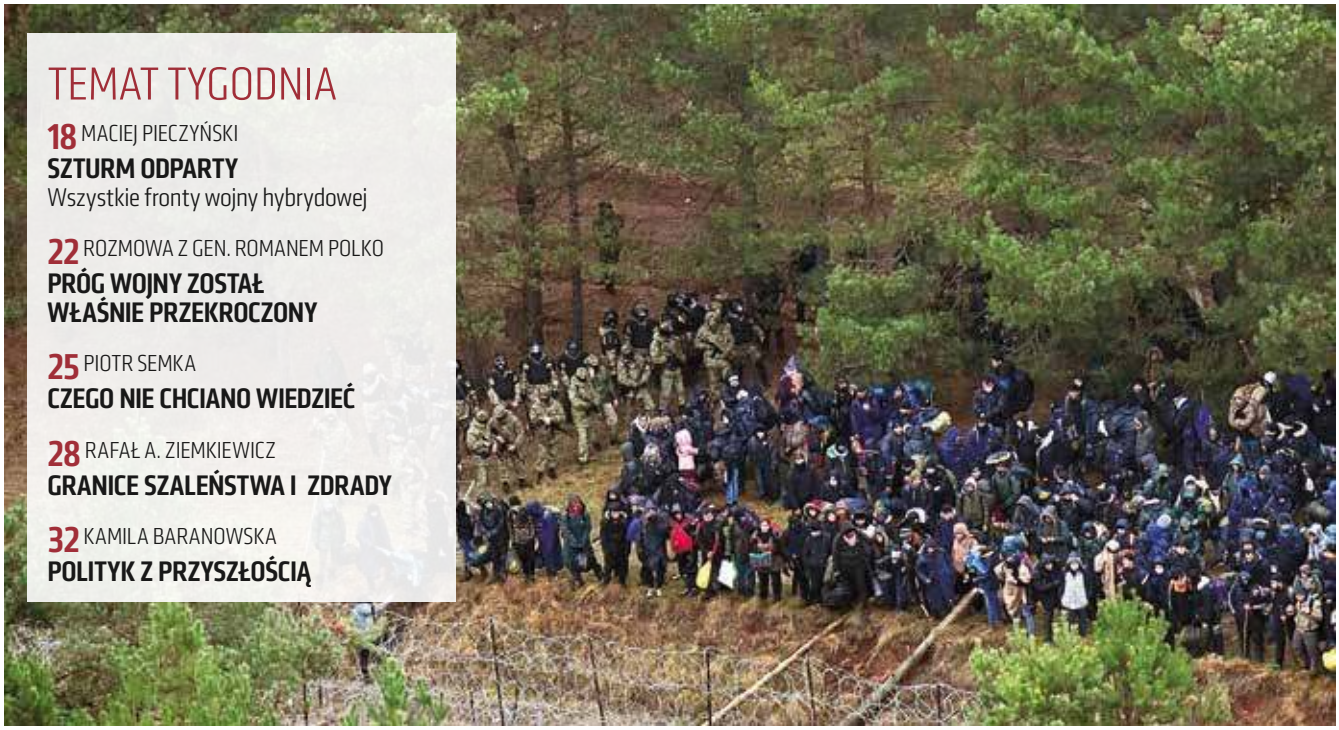

TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI
SZTURM ODPARTY
Wszystkie fronty wojny hybrydowej

22 ROZMOWA Z GEN. ROMANEM POLKO
PRÓG WOJNY ZOSTAŁ WŁAŚNIE PRZEKROCZONY

25 PIOTR SEMKA
CZEGO NIE CHCIANO WIEDZIEĆ

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRANICE SZALEŃSTWA I ZDRADY

32 KAMILA BARANOWSKA
POLITYK Z PRZYSZŁOŚCIĄ

KRAJ

34 TOMASZ ROWIŃSKI
PROABORCYJNE DEZINFORMACJE
Śmierć na sztandarach

36 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KATOLICYZM PRZYSZŁOŚCI

38 ŁUKASZ WARZECHA
RUGI PROFESORSKIE

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
UŻYWANE JEST W CENIE

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
APOKALIPSA FAMILIJNA
Kinowe nowości w streamingu

44 ELŻBIETA MORAWIEC
„HALKA" I BARBARZYŃCY

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 JACEK BARTYZEL
NAGRODA MACKIEWICZA – LAUDACJA DLA PAWŁA LISICKIEGO
Z troską i bólem o przyszłości Kościoła

56 JAKUB WOZINSKI
NIE BĄDŹMY PRYMUSAMI ZRÓWNOWAŻONEGO ROLNICTWA

HISTORIA

58 JERZY DĄBROWSKI
PRZEŚLADOWANIE RODOWICZÓW
Oprawcy z PRL kontra bohaterowie

ŚWIAT

64 WITOLD REPETOWICZ
NIE MA LEGITYMACJI ISIS, TO NIEWINNY
Państwo Islamskie to nie przeszłość. To zagrożenie wróci

66 JOANNA BOJAŃCZYK
ROYAL WEDDING W PETERSBURGU

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
CIEPŁO JUŻ BYŁO
Nadchodzą czasy „ubóstwa energetycznego"

SPORT

78 ŁUKASZ ZBORALSKI
WŚRÓD NAJLEPSZYCH
Polacy mocni na kortach

O ZDROWIU

80 KATARZYNA PINKOSZ
PODSKÓRNIE, CZYLI BEZPIECZNIEJ
Szpiczak plazmocytowy

82 ROZMOWA Z PROF. AGNIESZKĄ OWCZARCZYK-SACZONEK
FERALNE 96 TYGODNI

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (76), KOMUDA (86), KARWELIS, POSPIESZALSKI (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), NOWAK (89), CEJROWSKI (90)

eprasa.pl ad4328f552

Z Facebookiem Europejczycy zbierają pieniądze.

Ludzie od zawsze pomagają sobie i wspierają się nawzajem. Facebook jeszcze bardziej ułatwił wspieranie ważnych inicjatyw dzięki cyfrowym narzędziom, takim jak zbiórki pieniędzy. Od momentu uruchomienia tej funkcji ponad 27 mln Europejczyków utworzyło lub wsparło finansowo zbiórki pieniędzy na Facebooku organizowane, by wesprzeć ważne dla nich cele.

W Portugalii 5-letni syn Carli jest chory na FOXP1, rzadką chorobę genetyczną wpływającą na mowę oraz zdolności poznawcze i motoryczne. Choć dostępne są różne formy leczenia i terapii, wymagają one sporych nakładów finansowych.

Żeby pomóc synowi, Carla postanowiła w 2020 r. utworzyć na Facebooku grupę o nazwie Vamos Ajudar o Diogo. Dzięki różnym inicjatywom jej członkom udało się zebrać pieniądze na leczenie. Nieustanne wsparcie tej społeczności pomogło Carli i jej synowi.

Z Facebookiem Europejczycy zbierają pieniądze.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK

eprasa.pl ad4328f552

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło.**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **MON, Getty Images, Andrzej Iwańczuk/Reporter**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Polski Nieład (Podatkowy)", Piotr Gabryel, „DRz" 45/2021

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, jak zwykle zacząłem czytanie najnowszego numeru „Do Rzeczy" od „PROSTO ZYGZAKIEM", a tam o zawiłym systemie podatkowym. Hasło niskich podatków pozostanie pustym sloganem tak długo, jak długo system nie jest przejrzysty i łatwy do ogarnięcia. Wielość zagmatwanych, nierzadko sprzecznych ze sobą przepisów to pole dla naciągaczy, a podatnikowi daje uczucie krzywdy i braku sensu płacenia. Mieszkam w starej kamienicy w Krakowie z ośmioma mieszkaniami. Z racji prawa stanowimy wspólnotę mieszkańców obdarzoną numerem NIP i REGON. Pociąga to obowiązek składania rocznej deklaracji CIT, również bez osiąganych przychodów (od 2019 r. tylko on-line), poświadczonej podpisem elektronicznym. Koszt takiego podpisu to kilkaset złotych rocznie, można też skorzystać z profesjonalnego biura rachunkowego. Moje pytanie: Ile w Polsce jest wspólnot mieszkańców, które corocznie składają deklarację CIT z zerowym przychodem i ilu pracowników urzędów skarbowych to kontroluje?

Bardzo dziękuję za niezawodnie interesujące kolejne numery tygodnika.

Pozostaję z szacunkiem
Tadeusz Wasiutyński

„Nowi czerwonoarmiści", Małgorzata Wołczyk, „DRz" 40/2021

Szanowna Pani,
z wielką przyjemnością czytam Pani felietony. Czuję się przy czytaniu ich tak, jakby Pani mnie znała i do mnie pisała... Felieton o Pani Dziadkach, ich wychowywaniu wnucząt... Ja urodziłam się w 1956 r., mój Ojciec w 1914. Prawdopodobnie odpowiadałby wiekiem Pani Dziadkom. Ojciec został wysiedlony z podpoznańskiej wsi w Lubelskie, tam zajmował się partyzantką i tam poznał moją Mamę.

Niestety, został wydany nowej władzy jako ten nieprawomyślny, wróg nowej władzy. Odsiedział pięć lat w polskim, komunistycznym więzieniu, co rzuciło się cieniem na dalsze Jego życie. „Parszywa komuna" – to stwierdzenie przewijało się cały czas podczas rozmów z nim. Powiadał, że Sowieci to zdrajcy i nasi wrogowie.

Nie wiedziałam, komu mam wierzyć, bo przecież pani w szkole mówiła, że Rosjanie to nasi przyjaciele i bracia... Jednak przychylałam się do wierzenia Ojcu, a z tego chociażby powodu, kiedy opowiadał o wojnie (pod Modlinem został wzięty do niewoli i dość szybko wypuszczony, bo szeregowych żołnierzy wypuszczano szybko) czy o pobycie w więzieniu. Proszę mi uwierzyć, że z opowiadań wynikało, że więzienie było okrutniejsze od wojny. Fizycznie i psychicznie. Ale nie będę tu opisywała w szczegółach, jak Tatuś był traktowany. Wiem tylko, że dopiero jako osoba dorosła zrozumiałam Jego Prawdę, Jego „parszywą komunę", Jego ból, Jego żal.

Pani mi felietonem przypomniała Tatę, który już od 21 lat nie żyje. I całkowicie rozumiem Pani Dziadka, który „nie będzie tolerował w domu żadnej rumianej postkomunistycznej gęby", ot, pogadaliby sobie panowie pospołu...

Serdecznie pozdrawiam i jeszcze raz dziękuję.

Z poważaniem
Barbara Jóźwiakowska

Wyjaśnienie

W numerze „Do Rzeczy" 32/2021w tekście „Sto lat człowieczeństwa" opisując życie Wandy Półtawskiej, nietrafnie wskazałem na rok 1943 i Warszawę jako datę i miejsce jej aresztowania przez gestapo. W istocie panią Wandę aresztowano w 1941 r. w Lublinie.

Błąd wynikł z tego, że słuchając relacji Wandy Półtawskiej zawartej w filmie dokumentalnym „Gra o życie" (2016) o likwidacji dzielnicy żydowskiej, uznałem, że chodzi o Warszawę w 1943 r., a nie o Lublin.

Za pomyłkę bardzo przepraszam Panią Wandę i Czytelników.

Piotr Semka

eprasa.pl ad4328f552

ORLEN

Nawet dziecko wie...

#DobryKierowca dba o bezpieczeństwo pasażerów

Robert Kubica
kierowca wyścigowy i rajdowy

Dowiedz się więcej na www.orlen.pl

eprasa.pl ad4328l552

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niepodległość nie na sprzedaż

PIOTR SEMKA

Losy tegorocznego Marszu Niepodległości w Warszawie ważyły się w najbardziej napiętej sytuacji naszego kraju od 1981 r. Wtedy, 40 lat temu, Polska żyła w cieniu groźby inwazji sowieckich czołgów. Teraz żyjemy w sytuacji wojny hybrydowej, wszczynanej przez Białoruś i stojącą za nią Rosję Putina.

Spełnia się pełne niepokoju ostrzeżenie Lecha Kaczyńskiego z wiecu w Tbilisi w 1998 r.: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę". W tej sytuacji każda destabilizacja, każda okazja do prowokacji mogła nieść za sobą trudne do przewidzenia konsekwencje. Każdy rozsądny człowiek rozumiał, że w takich okolicznościach beztroskie składowanie kostki brukowej na rondzie Dmowskiego było groźne. Każdy, oprócz polityków opozycji, którzy z wystudiowaną ironią pytali, dlaczego kostka miałaby kogokolwiek prowokować. Każdy łatwo mógłby też pojąć, że zakaz Marszu Niepodległości wydany przez Rafała Trzaskowskiego grozi zamieszkami.

Państwo polskie stanęło na wysokości zadania, Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych przejął odpowiedzialność za marsz, służby mundurowe skutecznie zadbały o porządek, a uczestnicy posłuchali apeli o unikanie awantur.

Dwa incydenty z podpaleniem flagi RFN i portretu Donalda Tuska to jedyne, co „Gazeta Wyborcza" i TVN mogły nagłaśniać jako dowody, że w Warszawie „szalała nienawiść". Gotowce o tym, że „11 listopada Warszawa stała się europejską stolicą neonazizmu", z żalem wrzucono do kosza. Było tak jak co roku. Zdecydowaną większość uczestników marszu stanowili ludzie dalecy od ekstremizmu. A próby wszczynania rozrób siły porządkowe dusiły w zarodku. Rekordowa liczba 150 tys. maszerujących pokazała skalę determinacji Polaków, aby obronić swoją niepodległość.

Przed marszem kanclerz Angela Merkel dzwoniła dwukrotnie do Putina, prosząc go, by wpłynął na Alaksandra Łukaszenkę, by ten zakończył kryzys na granicy. Nic nie wiadomo, by szefowa rządu w Berlinie przed telefonem na Kreml skomunikowała się z premierem Mateuszem Morawieckim.

Próby rozładowania kryzysu bez koordynacji działań z Polską muszą niepokoić. To powtórka z sytuacji po agresji Rosji wobec Ukrainy. Wtedy Niemcy z Francją postawiły Kijów wobec faktu dokonanego stworzenia tzw. formatu normandzkiego, który miał rozładować napięcie. Nic takiego się nie stało. Rozejm na froncie pod Donieckiem i Ługańskiem przerywany jest wciąż incydentami zbrojnymi. Tylko Ukraina zrozumiała po siedmiu latach klinczu, że na Niemcy nie ma co liczyć.

„Merkel żebrze u Putina, a przyszły kanclerz Olaf Scholz z SPD nie ma nic do powiedzenia na temat kryzysu na granicy polsko-białoruskiej" – zjadliwie skomentowała sytuację bulwarówka „Bild". Ofertę współfinansowania przez Komisję Europejską budowy muru na wschodniej granicy Polski przywiózł do Warszawy szef rady europejskiej Charles Michel, a nie Ursula von der Leyen.

Pomoc Unii, NATO i Ameryki jest i będzie nam potrzebna. Ale bez naszej własnej determinacji – nikt inny nie będzie traktować obecnego zagrożenia Polski na serio.

W tym sensie 150-tysięczny marsz pod hasłem „Niepodległość nie na sprzedaż" nie mógł wybrać lepszego hasła. ©℗

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

POLACY MASZEROWALI

Nawet 100 tys. Polaków – według szacunków policji – przeszło 11 listopada ulicami Warszawy w Marszu Niepodległości. Ludzie nieśli tysiące biało-czerwonych flag, odpalali race. Nawet niechętne tej inicjatywie władze stolicy przyznały, że marsz przebiegał spokojnie. – Teraz decyduje się nasza przyszłość: czy będziemy wolni, czy będziemy pariasem dla innych – mówił na otwarciu marszu Robert Bąkiewicz, prezes stowarzyszenia Marsz Niepodległości. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Paweł Lisicki laureatem Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza

FOT. DO RZECZY

Redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki otrzymał tegoroczną Nagrodę Literacką im. Józefa Mackiewicza za książkę „Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu”. Uroczystość odbyła się w warszawskim Domu Dziennikarza.

Nagroda Literacka im. Józefa Mackiewicza przyznawana jest od 2002 r. najwybitniejszym polskim autorom za książki popularyzujące rodzimą kulturę, historię i tradycję. Została ufundowana, by upamiętnić postać i dzieła Józefa Mackiewicza, wybitnego pisarza i działacza politycznego. – Paweł Lisicki jest postacią, która od ponad ćwierćwiecza mocno zaznacza swoją obecność w kulturze polskiej jako eseista, powieściopisarz, dramaturg i dziennikarz. Po jego debiucie Czesław Miłosz zauważył, że Lisicki głęboko czuje teologiczny wymiar literatury – mówił w laudacji prof. Jacek Bartyzel.

„Dogmat i tiara” to książka poświęcona paraliżowi zasady dogmatycznej. Paweł Lisicki pisze w niej o „zjawisku, które widać gołym okiem, kiedy jawni heretycy nie tylko są tolerowani, lecz także wręcz robią kościelne kariery, kiedy wielu biskupów chce błogosławić czynnych homoseksualistów, a siostry zakonne – bronić aborcji”.

– Często zadaje mi się pytanie, co będzie dalej z Kościołem. Oczywiście nie wiem i nikt z nas tego nie wie. Pozostaje nam wiara w to, że było już tyle kryzysów i udało się je przezwyciężyć, że i tym razem będzie podobnie. Wiara nie może jednak sprawiać, że nie widzimy rzeczywistości. Staram się ją widzieć, nie uciekać od niej i nazywać ją po imieniu. Wierzę w to, że to nazwanie po imieniu i dotarcie do trudnej prawdy mimo wszystko daje nam siłę i przekonanie, że jest coś, co pozostanie z tych zgliszczy, a będzie to prawda – mówił Paweł Lisicki podczas odbierania nagrody. ©℗ ***(kga)***

CZYTAJ TAKŻE „LAUDACJA DLA PAWŁA LISICKIEGO” PROF. JACKA BARTYZELA NA STRONIE 54

AMERYKANIE OSTRZEGAJĄ: ROSJA SZYKUJE SIĘ DO WOJNY Z UKRAINĄ

Szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken oznajmił w środę, że USA są zaniepokojone raportami o wzmożonej aktywności rosyjskich wojsk przy granicy z Ukrainą. – Obawiamy się, że Rosja może popełnić poważny błąd, próbując powtórzyć to, co zrobiła w 2014 r., dokonując inwazji na Ukrainę – oświadczył sekretarz stanu USA po spotkaniu z szefem ukraińskiej dyplomacji Dmytrem Kułebą. Szef amerykańskiej dyplomacji stwierdził, że Ameryka nie zna intencji Rosji, stojących za ruchami jej wojsk przy granicy z Ukrainą. Zauważył jednocześnie, że siedem lat temu Rosjanie również zgromadzili duże siły wzdłuż granicy, po czym wkroczyli na terytorium Ukrainy, „fałszywie twierdząc, że zostali sprowokowani”.

Według agencji Bloomberg Stany Zjednoczone poinformowały już sojuszników z Unii Europejskiej, że kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej, wysłanie przez Rosję pomocy w postaci strategicznych bombowców w połączeniu z koncentracją dużych sił na granicy z Ukrainą może być jasną przesłanką, że Kreml szykuje się do zbrojnej inwazji na Ukrainę. Według agencji Bloomberg amerykański wywiad ma dysponować również innymi dowodami na nadchodzący atak rosyjskich wojsk. Do „zaprzestania agresji, przestrzegania zawieszenia broni, wypełnienia zobowiązań mińskich i wycofania swoich sił z suwerennego terytorium Ukrainy” wezwała też Rosję przedstawicielka USA w OBWE Courtney E. Austrian. Szef dyplomacji Ukrainy Dmytro Kułeba oznajmił zaś, że władze w Kijowie podobnie jak Amerykanie oceniają ruchy rosyjskich wojsk i zauważył, że na granicy ukraińsko-rosyjskiej Moskw rozmieściła już 90 tys. żołnierzy. ©℗ ***(jap)***

Zdjęcie satelitarne z 1 listopada 2021 r. Widać na nim artylerię samobieżną i inny sprzęt wojskowy oraz obecność dużych sił lądowych na północnym krańcu miasta Jelnia w obwodzie smoleńskim w Rosji FOT. HANDOUT/SATELLITE IMAGE ©2021 MAXAR TECHNOLOGIES/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ad4328f552

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ponura nowa Anglia

Terry Gilliam, współtwórca legendarnej grupy komików Monty Python i reżyser filmowy – m.in. genialnych „12 małp" i „Króla Rybaka" – został wyrzucony z londyńskiego Old Vic Theatre, a premierę sztuki, którą przygotowywał, odwołano. Przyczyną, oficjalnie podaną przez dyrekcję teatru, były poglądy znanego reżysera. Jakie konkretnie? Tego nie skonkretyzowano. Być może to, że skrytykował akcję „#MeToo", mówiąc, że szlachetne intencje wymknęły się spod kontroli i doprowadziły do „polowania na czarownice". A może to, że kpił sobie z „transmanii", mówiąc, że czuje się czarną lesbijką w trakcie przemiany? A może chodziło o to, że pochwalił komika Dave'a Chappela, na którego rozpętano właśnie nagonkę jako na „homofoba"?

W każdym razie teatr otrzymał sygnały, że jego zespół jest poglądami Gilliama „zaniepokojony", i na wszelki wypadek postanowił przyczynę „zaniepokojenia" usunąć.

W amerykańskim „The Post Millennial" czytałem ostatnio list starszej, mieszkającej w Nowym Jorku Chinki, której młodość upłynęła w czasach „rewolucji kulturalnej" Mao i jego hunwejbinów. List był prosty i w tej prostocie wstrząsający: to, co widzi dziś na starość w amerykańskiej szkole, do której uczęszczają jej wnuki, do złudzenia przypomina tamten terror. Terror nie odgórny, choć oczywiście prowadzony z błogosławieństwem władz i sił porządkowych, lecz będący dziełem spontanicznych, młodzieżowych bojówek, owładniętych żądzą zniszczenia starego świata.

Terry Gilliam nie jest jedyną ofiarą tej nowej tęczowej „rewolucji kulturalnej", przetaczającej się dziś przez Zachód, choć zapewne najbardziej szacowną. Podobnie „zaniepokojenie zespołu" wydawnictwa doprowadziło swego czasu do zablokowania druku nowej książki J.K. Rowling. „Zaniepokojeni" jej poglądami studenci uniwersytetu w Sussex zaszczuli i zmusili do odejścia profesor filozofii Kathleen Stock, a ostatnio „zaniepokojeni" syjonizmem studenci London School of Economics wypędzili w upokarzający sposób zaproszoną do jakiejś dyskusji ambasador Izraela.

To już nie jest „Old Merry England". Raczej wręcz przeciwnie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Balcerowicz na Watykanie

Ojciec Święty z pewnością ucieszył się, widząc w Papieskiej Akademii Nauk Społecznych Josepha Stiglitza. Jego niewiara w „niewidzialną rękę rynku", apele o racjonalną gospodarczą interwencję państwa, wreszcie pytania o koszty „transformacji gospodarczej" w Europie Środkowej i Wschodniej zapewne w pełni odpowiadają peronistowskiej formacji Franciszka i jego społecznemu orędziu. Jednak powołanie do Akademii Jeffreya Sachsa, mentora Balcerowicza, ideologa pokomunistycznej transformacji lat 90. w Polsce i krajach Europy Środkowej, może budzić tylko konsternację.

O owoce gospodarczych rekomendacji Sachsa to nie tylko likwidowane prędzej czy później przedsiębiorstwa, lecz także wyludnienie dotkniętej bezrobociem prowincji, skąd młodzi od lat migrują albo do metropolii, albo po prostu na Zachód. Efekt poślizgowy tych zjawisk to również kryzys rodziny, tam, gdzie rodziny rozdziela zarobkowa emigracja, albo tam, gdzie tymczasowość życia w ogóle odwodzi młodych od małżeństwa. W zasadzie skoro papież powołał Sachsa, czemuż by nie miał powołać Balcerowicza? „Tygodnik Powszechny" z pewnością byłby zachwycony.

Ale – zawieszając ironię – warto zastanowić się, dlaczego nie powołuje się do pontyfikalnej akademii katolickich ekonomistów, zajmujących się gospodarką jako elementem dobra wspólnego. Przecież ich nie brakuje, naturalnym kandydatem byłby na przykład Cezary Mech, twórca koncepcji „500+" (której, niestety, nie zrealizowano od razu, przed 15 laty, gdy Mech ją wprowadził do programu PiS). Franciszkowa doktryna „słuchania ludzi" jednak najczęściej okazuje się „słuchaniem mediów". To z nich płynie głos Człowieka Współczesnego. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby po nominacji Sachsa do Akademii Społecznej do Akademii Życia trafił Jerzy Owsiak. Na pewno dobrze by się wpisał w nową formułę tej instytucji. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

NARODOWY BANK POLSKI

Departament Edukacji i Wydawnictw NBP edukuje:

Inflacja to wzrost ogólnego poziomu cen w gospodarce. Umiarkowany wzrost cen jest normalnym zjawiskiem w rozwijającej się gospodarce. Za optymalny poziom inflacji w Polsce przyjmuje się roczne tempo wzrostu cen między 1,5 – 3,5 proc. (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy).

Wzrost cen w gospodarce może mieć przyczyny:

- popytowe,
- podażowe (kosztowe).

Z punktu widzenia banku centralnego kluczowe jest rozróżnienie pomiędzy krajowymi i zewnętrznymi (potencjalnie globalnymi) źródłami zmian cen.

We wrześniu 2021 r. inflacja w Polsce wyniosła 5,9 proc. w ujęciu rocznym, zatem kształtowała się na podwyższonym poziomie. Oznacza to, że przeciętnie koszt towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw domowych wzrósł właśnie o 5,9 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2020 r.

Analizy dotyczące cen poszczególnych towarów i usług kupowanych przez polskich konsumentów wskazują, że **we wrześniu 2021 r. zmiany cen towarów i usług administrowanych oraz paliw (obejmujących około 21 proc. całego koszyka towarów i usług konsumenta) odpowiadały za niemal 50 proc. rocznego wzrostu cen konsumpcyjnych. Zatem wzrost inflacji w ostatnim czasie wynikał z czynników podażowych (kosztowych) i zewnętrznych, na które polityka pieniężna prowadzona przez Narodowy Bank Polski nie ma żadnego wpływu.**

Podwyższona inflacja jest obecnie zjawiskiem globalnym, występuje nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach i jest to związane ze skutkami kryzysu pandemicznego. Zjawisko to ma charakter przejściowy. Inflacja będzie się obniżać wraz z wygasaniem czynników kosztowych, a **Narodowy Bank Polski nie dopuści do utrwalenia się w Polsce inflacji na podwyższonym poziomie**.

NARODOWY BANK POLSKI

eprasa.pl ad4328f552

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Na stos

William Golding w 1980 r. otrzymał Nagrodę Bookera za najlepszą powieść roku („Rytuały morza"), a trzy lata później został laureatem Literackiej Nagrody Nobla. W 1988 r. królowa Elżbieta nadała mu tytuł szlachecki. W 2005 r. superpostępowy brytyjski „Guardian" zaliczył jego „Władcę much" do stu najlepszych powieści w historii. Była dwukrotnie ekranizowana, w tym przez legendarnego Petera Brooka.

Teraz w Kanadzie w dystrykcie szkolnym Ottawa-Carleton z bibliotek wycofano wszystkie książki Goldinga. Dlaczego? Bo aktywistka walcząca z rasizmem w jakimś pisemku skrytykowała brak różnorodności (rasowej) w doborze autorów książek na liście lektur, a co więcej, jak się była łaskawa wyrazić, „Władca much" jest powieścią „o męskiej białej supremacji".

Trudno sobie wyobrazić rozmiary terroru, który w Ottawie i okolicach musieli wprowadzili zamordyści politpopu. Władze szkolne zamiast wytłumaczyć dziewczynce, że błądzi, że „Władca much" jest ponurą dystopią o tym, z jaką łatwością człowiek może pogrążyć się w barbarzyństwie, wywaliły książki noblisty z bibliotek. Na żądanie jednej zideologizowanej kobietki.

Ale trudno się dziwić. Z różnych komentarzy poświęconych zniknięciu książek Goldinga wynika, że to konsekwencja działań podjętych przez tamtejszych edukatorów ponad dwa lata temu. W ramach walki z krzywdzącymi stereotypami dotyczącymi rdzennej, czyli indiańskiej ludności i w akcie pojednania usunięto z bibliotek blisko 5 tys. książek, w tym biografie i opisy podróżników, którzy jako pierwsi dotarli na terytoria dzisiejszej Kanady.

Trzydzieści książek spalono podczas specjalnej, sfilmowanej ceremonii „oczyszczania ogniem", co nieuchronnie kojarzy się z podobnymi spektaklami w Niemczech Hitlera. A potem popiół rozsypano, deklamując formułkę: „Oddajemy Ziemi prochy rasizmu i dyskryminacji w nadziei na inkluzywny, bezpieczny i dostatni kraj".

Mamy więc do czynienia z fanatyczną religią, która ma już swoich kapłanów, ceremoniarzy, dogmaty i obrzędy. Zgroza. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl ad4328f552

Okrętowy system zarządzania walką może zadecydować o przewadze na morzu

Program „Miecznik", dotyczący pozyskania dla Marynarki Wojennej trzech fregat, jest największym zamówieniem dla krajowego przemysłu obronnego. Zgodnie z założeniami resortu obrony fregaty mają być wyposażone w systemy radiolokacyjne, artyleryjskie i rakietowe. Zakres zadań, które mają wykonywać, został szeroko określony, dlatego włoska firma Leonardo, jedna z czołowych na świecie w branży zbrojeniowej, została wybrana jako jeden z potencjalnych dostawców Zintegrowanego Systemu Walki, co jest wynikiem ponad 60-letniego doświadczenia firmy w produkcji tego typu rozwiązań

Nowoczesna technologia morska, którą dysponuje Leonardo, jest używana przez 70 marynarek wojennych na całym świecie, gdzie została wykorzystana aż na tysiącu okrętach. Warto zauważyć, że armaty i systemy artyleryjskie Leonardo są najbardziej nowoczesnymi na świecie i stały się już wzorcem, punktem odniesienia. Systemy artyleryjskie Leonardo są w użyciu także na pokładzie ORP „Ślązak" – są to armaty 76 mm Super Rapid i dwa systemy 30 mm typu Marlin.

Mózgiem okrętu jest System Zarządzania Walką (Combat Management System – CMS), będący częścią Zintegrowanego Systemu Walki – taki system firma Leonardo oferuje polskiej Marynarce Wojennej. Obejmuje on szeroką gamę czujników i radarów oraz wspomniany CMS, które muszą wspierać kluczowe funkcje, takie jak zapewnianie świadomości sytuacyjnej obejmującej powierzchnię, wodę i powietrze, a także rozpoznanie, planowanie i podejmowanie decyzji, dowodzenie i kontrolę systemów uzbrojenia.

W tym zakresie Leonardo oferuje nowoczesny CMS typu ATHENA i wielofunkcyjny radar z technologią aktywnego skanowania elektronicznego (AESA) z rodziny Kronos z nieruchomymi antenami ścianowymi. ATHENA to najbardziej nowoczesny system zarządzania walką dla okrętów, przeznaczony do wykonywania każdego rodzaju misji bojowych. Zaprojektowano go tak, aby łatwo integrować każdy rodzaj czujników, broni i systemów wsparcia. Zapewnia dowódcy zespołu okrętów strategiczną i taktyczną świadomość sytuacji, zarządza wszystkimi obecnymi w jego rejonie środkami sił zbrojnych oraz zasobami własnymi okrętu dla realizacji celów i misji marynarki wojennej lub sił połączonych, gdyż system zapewnia pełną interoperacyjność ze wszystkim innymi systemami sił zbrojnych na morzu, lądzie i w powietrzu.

Ponadto okręty wyposaża się w sonary, np. Leonardo, lekki sonar holowany (ATAS) z aktywną anteną o zmiennej głębokości zanurzenia, wielosensorowe radary systemu kierowania ogniem oraz system identyfikacji swój-obcy (IFF) w pełni obsługujący tryb 5, zgodny z najnowszym standardem NATO.

Taki wybór systemów oraz doświadczenie włoskiego giganta technologicznego w realizacji podobnych programów budowy fregat FREMM pozwalają oceniać ofertę Leonardo jako jedną z bardziej kompletnych.

„Poprzez Leonardo Poland, spółkę, która powstała, aby rozwijać współpracę z polskim przemysłem obronnym i rządem, w tym z resortem obrony, wspieramy działania programu „Miecznik"; Leonardo jest w stanie wyposażyć polskie fregaty w zintegrowany system zarządzania walką dostosowany do wyrażonych przez Marynarkę Wojenną potrzeb, w tym zestawy sensorów i efektorów oraz System Zarządzania Walką, który dzięki otwartej architekturze może być dostosowany do wszystkich potrzeb operacyjnych i całego wyposażenia okrętów, w tym armat i systemów artyleryjskich. Jest to ważny element naszej propozycji" – powiedział Marco Lupo, prezes Leonardo Poland.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ad4328f552

OSCAR DLA TEJ PANI!

Piękny popis przenikliwości, mądrości, kultury i klasy dała celebrytka Barbara Kurdej-Szatan, która na Instagramie zwyzywała od najgorszych Straż Graniczną. Strażników nazwała „mordercami", a także „maszynami bez serca, bez mózgu, bez niczego, ślepo wykonującymi rozkazy", a obelgi okrasiła masą wulgaryzmów poprzetykanych wykrzyknikami. Nie chciało nam się liczyć, czego było tam więcej – przekleństw na „k" czy wykrzykników. W każdym razie wniosek z tego wpisu jest taki, że pani Kurdej-Szatan wbrew powszechnym opiniom jest całkiem niezłą aktorką. Od paru lat skutecznie wmawiała wszystkim, że jest miłą i sympatyczną blondynką z reklamy telefonów, będąc w rzeczywistości kimś zgoła innym, że tak eufemistycznie to ujmiemy. A zatem Oscar dla pani Basi!

JAK ONA PŁACZE

Jeśli pani Kurdej-Szatan myślała, że sprawa jej obrzydliwego wpisu rozejdzie się jakoś po kościach, to mocno się przeliczyła. Bo w sytuacji, gdy bardzo nieciekawie dzieje się na wschodniej granicy, słowa Kurdej-Szatan wkurzyły ludzi jeszcze bardziej niż zwykle. Zareagowała sieć telefonii komórkowej, którą reklamuje celebrytka (i której zawdzięcza swą popularność), dystansując się od jej słów. Głos zabrał także prezes TVP Jacek Kurski, który oświadczył, że celebrytka nie wystąpi już w żadnej produkcji TVP. Jakby tego było mało, prokuratura wszczęła dochodzenie, zarzucając jej znieważenie funkcjonariuszy Straży Granicznej. Do Kurdej-Szatan zaczyna chyba powoli docierać, jakiego bałaganu sobie narobiła. A przecież – jak pożaliła się koleżankom z programu, w którym obecnie występuje – chciała dobrze. Jej koleżanki opowiadają, że Basia płacze i łzy wylewa nad tym, co ją spotkało. Dowiadujemy się, że „jej słowa zostały źle odebrane", a „ona działała przecież w dobrej intencji" i „nie chciała nic złego zrobić".

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ CROMADA

Podobno też „czuje smutek, że to zostało tak rozdmuchane". Na koniec w ramach ratowania resztek wizerunku postanowiła przeprosić Straż Graniczną za swoje słowa i dodała fragment o tym, jak bardzo szanuje ich pracę. Nie bardziej niż swoją, o którą właśnie zaczęła się poważnie martwić. I tylko dlatego te przeprosiny, niestety.

CO ZA TUPET!

Edzia Górniak poczuła się dotknięta i oburzona tym, że ktoś miał czelność zapytać ją o to, kiedy wyda jakąś płytę, zamiast opowiadać swoje mądrości na tematy wszelakie. Najnowszy jej pomysł to wykłady, które zamieszcza na swoim kanale Akademia Przebudzenia na YouTube. – Pani Edyto, kiedy będzie płyta? Fajnie, że ma pani pasję, ale czekamy na nowe piosenki, a nie na jakąś Akademię Przebudzenia, w dodatku wtedy, kiedy wszyscy kładziemy się spać – napisał Tomasz Reich.

Wtedy Edzia nie wytrzymała! „Ciekawe, z czego bierze się taki cynizm. Wszystko w życiu ma swój powód przecież. Warto się z takiej roszczeniowej postawy wyzwolić. Nikt na świecie nie jest po to, by cię zadowalać. Nikt nie jest także po to, by ciebie wyręczyć, ty sam musisz się uzdrowić z nieżyczliwej postawy. Utworów muzycznych w moim wykonaniu masz ponad 200. Jeśli w istocie za nimi tęsknisz, to jest mi bardzo miło. Jeśli jednak w obecnych czasach wspieranie ludzi na wiele sposobów, oddając im czas swojego życia, jest dla ciebie stratą czasu, to wybierz inne platformy, gdzie znajdziesz medialną gumę do żucia" – napisała jakże oburzona Edzia. Rozumiemy jej oburzenie. Przecież zapytać piosenkarkę o jej twórczość zamiast o to, co sądzi np. o szczepionkach, to absolutny szczyt bezczelności i tupetu!

PIASEK NAS URZĄDZI

Piasek uznał, że powinien zabrać głos w sprawie sytuacji na wschodniej granicy. – Jest strasznie. Nie pozjadałem wszystkich rozumów, więc nie umiem komentować tego w taki sposób, żeby podpowiadać komuś rozwiązania – przyznał piosenkarz i przez chwilę można było mieć nadzieję, że mówi serio. Nadzieja matką głupich, co okazało się już w następnym zdaniu. – Chcę powiedzieć, że pewnie wystarczyłoby postawić obóz dla uchodźców i tym ludziom za ułamek kwoty, którą będzie się teraz przeznaczało na ochronę granic, zapewniać pomoc, rozpatrywać ich wnioski azylowe i oczywiście tych, których nie jest się w stanie z różnych powodów wpuścić, to odsyłać do kraju – stwierdził. Jakie to proste, prawda? Że też nikt w całej Unii Europejskiej na to nie wpadł? Kto nami rządzi? Bo powinien Piasek! ©℗

eprasa.pl ad4328f552

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, mamy kolejny wielki sukces w walce o wolność słowa, debaty akademickiej, równouprawnienia oraz pozytywnej dyskryminacji. Otósh na jednym z uniwerków w tym kraju miała odbyć się debata wokół raportu, w którym stwierdzono, iż osoby fallusodododatnie są w tym kraju dyskryminowane i jest im źle xD Na szczęście władze uczelni postanowiły odwołać wydarzenie.

Jak dla nas to jest bardzo dobra decyzja. W ogóle nie do pomyślenia za to jest fakt powstawania takich raportów, które są na rękę chyba tylko panu Putinowi, iż destabilizują sytuację w tym kraju i prowokują do intelektualnych zamieszek.

Wiadomo bowiem, iż jest to ten, no, aksjomat, iż fallusoosoby w Polsce są uprzywilejowane, np. mogą dłużej pracować, a więc zarabiają więcej, a na emeryturze żyją krócej, a więc krócej też są biedne niż waginoosoby. To of kors tylko jeden z przykładów. A mówienie, iż fallusoosobom, zwłaszcza białym i heteronormatywnym, jest w tym kraju źle, to zwykłe nadużycie.

Bardzo nas martwi, iż nie dość, że w 2021 r., to jeszcze w 21. wieku w polskich szkołach odbywa się akcja zbiorowego śpiewania hymnu tego kraju. A co więcej, to do akcji są jeszcze włączone przedszkola.

To jest przecież nacjonalistyczna indoktrynacja od najmłodszych lat. Czy naprawdę chcemy tworzyć komanda dzieci – nacjonalistów, które potem co, poślemy w forpoczcie kolejnego Marszu Niepodległości?

Z okazji 11.11 dzieci powinny być uczone jakichś bardziej przystępnych treści dotyczących ciemnych kart historii tego kraju, jak np. jego udziału w Holokauście, podboju Moskwy, konfliktów wewnętrznych czy licznych prowokacji wymierzanych wobec mniejszości.

A w ramach nauczania nowoczesnego patriotyzmu można zabrać dzieci na jakąś akcję zbierania psich kup, kasowania biletów czy segregacji śmieci. Można pozytywnie? Można, no tylko się trzeba trochę postarać.

Trwa ogólnonarodowa debata, czy piłkarz Lewandowski powinien otrzymać tzw. Złotą Piłkę. Przypomnijmy tylko, iż niedawno otrzymał już Złotego Buta. Naszym zdaniem są to fatalne przykłady nierównego alokowania zasobów i pogardy dla osób wykluczonych bądź dyskryminowanych.

Przeciesh taki Lewandowski i tak zarabia bardzo dużo pieniędzy, więc powiedzcie, po co mu jeszcze taka Złota Piłka? Co on z nią potem zrobi? Komu to potrzebne?

Czy naprawdę złota przeznaczonego na taką piłkę nie można by wykorzystać w inny, lepszy sposób? Tak, aby nikt się nie poczuł urażony? Albo z tego samego surowca wykonać kilkaset mniejszych złotych piłek, aby mogło je dostać więcej piłkarzy oraz piłkarek – bo o nich jakby wszyscy zapominają w tej dyskusji. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Akwarium z rybkami

No nie, Ania, ta historia się kupy nie trzyma.

No ale jak, Włodek? Przecież wszystko jest, jak się umawialiśmy, żeby nam do naszej narracji pasowało. Są uchodźcy, jest dziecko zapłakane, Straż Graniczna ich tam popychała...

To teraz zobacz sobie, co opowiadałaś dziennikarzom tydzień temu. I dwa tygodnie. Tutaj masz wydruki. Widzisz jakieś podobieństwa?

No... Niby tak, ale tu mieli kota, tu pieska, a tu papugę.

No właśnie. To jest jedyne, co te historie różni.
I jeszcze ta papuga.

Bo ja właśnie chciałam, żeby był jakiś oryginalny akcent. I taki trochę egzotyczny.

Dziewczyno, wyobrażasz sobie, żeby ktoś dźwigał klatkę z papugą przez pięć tysięcy kilometrów?

No, nie... Ale w samolocie to chyba mogli mieć?

Ano właśnie. I już mamy samolot, a jak samolot, to się zacznie gadanie. Zmień tę papugę.

Mam! Może akwarium z rybkami? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To jest Marsz Nienawiści. Przerażające obrazy, hejt w czystej formie. A organizuje to polskie państwo. Przerażające".

BARTOSZ WĘGLARCZYK, *redaktor naczelny Onetu, na Twitterze o Marszu Niepodległości*

eprasa.pl ad4328f552

Front białoruski przebiega także z dala od Białorusi. A w bojach bierze też udział osoba głowy państwa. Prezydent Andrzej Sebastian ofuknął Turczynów, że pomagają w przemycie migrantów. Nie minęło czasu mało wiele, jak ogłosili, że do samolotów Turkish Airlines lecących do Mińska mogą wsiadać jedynie dyplomaci. Zwykli obywatele Jemenu, Iraku i Syrii mogą zapomnieć o wizytach „turystycznych" w Mińsku.

Sprawa ma drugie dno. Turczyny zdały sobie sprawę, że Lechistan kupuje u nich za ciężką gotówkę drony i zastanawia się nad następnymi zakupami nad Bosforem. W związku z tym ludzie prezydenta Andrzeja Sebastiana dali ludziom Erdoğana do zrozumienia, że w tej sprawie można się rozmyślić. Turcy w tej sytuacji wolą, żeby przedstawiciele Lechistanu nie rozmyślali zbyt wiele.

W miniony czwartek o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej rozmawiała Rada Bezpieczeństwa ONZ. Więc polski ambasador przy ONZ przed tym wydarzeniem biegał, dzwonił, lobbował…. Zaraz, wróć! Polski ambasador przy ONZ widziany był na trybunie podczas uroczystości z okazji Święta Niepodległości w Warszawie. Ani chybi Krzysztof Szczerski opanował sztukę bilokacji.

A więc to prawda: Bóg jest Niemcem! Pewne info dzięki portalowi Złonet, którego cyngiel (no, raczej taki mały cyngielek) napisał, że Donald Tusk w zeszłym tygodniu był w Niemczech i spotkał się z „samą górą" (cytat oryginalny). Nie bez powodu nasi zachodni sąsiedzi latami inwestowali w klamry do pasów z napisem „Gott mit uns".

Rozmowy z Bogiem – któż inny mógłby być „samą górą" – sprawiły, że Zły Donald pozostał za granicą dłużej. I obchodził Święto Niepodległości tam, gdzie każdy Europejczyk – w Brukseli. Według nas Donald powinien pozostać w Brukseli do 6 marca. Wtedy bowiem przypada rocznica uznania przez Belgię niepodległości państwa polskiego. W roku 1919. Jak widać, niezbyt się śpieszyli.

A teraz będzie wersja prawdziwa. Bo te opowieści o „wizytach zagranicznych" Tuska w interesie Polski to pic na wodę, fotomontaż. W Brukseli, tak się składa, nikt nic nie wie o dyplomatycznych misjach Złego Donalda. Wszyscy natomiast wiedzą, że on po prostu wraca tu z Polski do codziennej pracy. W końcu jako szef Europejskiej Partii Ludowej ma psi obowiązek jakoś zarobić na swoje sześć tysiów ojro miesięcznie. Tylko czy Złonet dałby taki nagłówek – „Tusk poleniuchował w weekend w Polsce, teraz wraca do pracy w Brukseli"?

Parlament Europejski też obchodził święto polskiej niepodległości. Z tej okazji przyjęto rezolucję, w której europosłowie wzywają Polskę do praktykowania aborcji oraz troszczą się o „obrońców praw człowieka", którzy są „coraz bardziej wrogo i brutalnie traktowani". To prawda. Niewiele przecież brakowało, żeby Marsz Niepodległości się nie odbył. A i my płacąc w Warszawie za wodę i śmieci, czujemy się coraz bardziej wrogo traktowani przez władzę. Znaczy Rafcia.

Wracając do Brukseli – jest problem. W całej Europie rośnie liczba zachorowań na COVID-19, w europarlamencie żądają od przybyszów paszportów szczepionkowych, a tu nagle na głosowanie kazano zjechać do Bruxa wszystkim osobiście. Pierwszy raz od 21 miesięcy. Tak zarządził przewodniczący PE David Sassoli. Może jako socjalista chciał wprowadzić w życie „covidowe mutacje wszystkich krajów – łączcie się"?

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z frontu brukselskiego płyną ważniejsze wieści. Jak wiadomo, szefowa Komisji Europejskiej, niejaka Ursula von der Leyen, objęła stanowisko z łaski Polaków. To nie jest nasze zdanie, to cytat z niemieckich mediów. Ulka nie zna jednak polskich przysłów. A jedno z nich brzmi: „Łaska pańska na pstrym koniu jeździ". Otóż podstępni Polacken zaczęli sondować, czy jest możliwość wysadzenia Ursuli z siodła. I wiecie co? W Europie jest całkiem liczne grono zainteresowanych.

Co ciekawe, zainteresowanie takim zamachem przejawiają nawet sami rodacy Ursuli. Bo zerwała się im ze smyczy. A brutalniej mówiąc, wyczerpała się chemia między dawnymi psiapsiółkami, czyli Angelą i Ursulą. I to tak bardzo, że ustępująca kanclerz demonstracyjnie nie podała ręki Ursuli. Co wychwyciły kamery oraz my.

Kariery jednych pań mogą się przedwcześnie skończyć, a innych – przyspieszyć. Z naszych informacji wynika, że w wyścigu do stanowiska szefa europarlamentu na drugą połowę kadencji wygrywa dziś deputowana z Malty, Roberta Metsola. Ma same zalety. Jest kobietą, jest z Europejskiej Partii Ludowej, nie cierpi rządu w Warszawie, no i sama pochodzi z państwa tak małego, że nie będzie fikać. Wybory za dwa miesiące. Wspomnicie nasze słowa.

Trwają przymiarki do nowej obsady ambasady w Berlinie. Jak pisaliśmy już, do posady przymierzany jest chudnący w oczach Krzysztof Rak. Ale podobno naczelnik państwa wolałby na ważnym stanowisku kobietę. Czyli wpisuje się w trendy europejskie.

Mało dziś było o Eine Totaloppositon. Już się poprawiamy. Więc tweet kochanego posła Szczerby z 11 listopada: „Mieszkańcy Saskiej Kępy informują. »Patrioci« wracając z błoni Stadionu, masowo szturmują alkohole 24. Strach wyjść po bułkę". Potwierdzamy. Na Saskiej Kępie zazwyczaj jest odwrotnie: mieszkańcy szturmują tylko piekarnie. Po bułki. Alkohole 24 stoją puste. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W GRUDNIU W TYGODNIKU „DO RZECZY”

40-LECIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

PKO Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl ad4328f552

eprasa.pl ad4328f552

FOT. SASHA MORDOVETS/GETTY IMAGES

Szturm odparty

Maciej Pieczyński

Mińsk i Moskwa winę za eskalację napięcia zrzucają na Warszawę. Jednak Zachód stoi murem – nie tyle za Polską, ile za murem na własnej granicy

Kilkuset migrantów próbowało siłą wedrzeć się do Polski niedaleko przejścia granicznego Kuźnica-Bruzgi w ubiegłym tygodniu. Pierwszy tak zmasowany szturm udało się odeprzeć wspólnymi siłami wojska, Straży Granicznej i policji. Pierwszy, bo już następnej nocy doszło do kolejnych prób masowego przekroczenia granicy. W okolicy Krynek około stu migrantów sforsowało ogrodzenie. Dwukrotnie liczniejsza grupa przedarła się do Polski kilkadziesiąt kilometrów dalej na południe, w rejonie Białowieży. Kilkadziesiąt osób przekroczyło granicę niedaleko Dubicz Cerkiewnych. „Jeśli przeszli w okolicy Krynek – gdzie są bardzo solidne zasieki i multum wojska – to ich tam nie było kilkudziesięciu, a minimum kilkuset" – skomentował na Twitterze Exen, czyli Mateusz Wodziński, mieszkaniec Łapicz, relacjonujący w Internecie sytuację na granicy.

Rzeczniczka podlaskiego oddziału Straży Granicznej mjr Katarzyna Zdanowicz zapewniła, że wszystkie te osoby zostały z powrotem przekierowane, doprowadzone na Białoruś. Migranci, którym nie udało się przekroczyć szturmem granicy w rejonie Kuźnicy, rozbili obozowisko. Początkowo ich liczbę szacowano na 800, ale się zmniejsza – prawdopodobnie migranci próbują przedzierać się mniejszymi grupami na innych odcinkach. Jak widać, samo ogrodzenie ich nie zatrzymuje. A to oznacza, że tylko obecność wojska, Straży Granicznej i policji może zapewnić bezpieczeństwo okolicznym mieszkańcom.

BIAŁORUSINI INSTRUUJĄ I ZASTRASZAJĄ

Białoruskie służby bezpośrednio w szturmie nie uczestniczyły, ale ich rola jest bezdyskusyjna. Migranci otrzymują od nich instrukcje dotyczące przygotowania medialnej osłony ataków na granicę Polski – informował o tym rzecznik ministra-koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. Z kolei MON upublicznił nagrania, na których widać, jak białoruskie służby zastraszają „uchodźców", oddając strzały w ich obecności. Mińsk za wszelką cenę chce zmusić ich do szturmu. Oczywiście nie wszyscy wymagają takiej motywacji – w szeregach migrantów jest wielu agresywnych młodych mężczyzn, w tym byli żołnierze, dezerterzy, być może terroryści, współpracownicy białoruskich czy rosyjskich służb.

Siergiej Ługowski, prowadzący „Panoramy", głównego programu informacyjnego państwowej telewizji Biełaruś 1, zapowiadając materiał o szturmie migrantów na granicę pod Kuźnicą, mówił o „faszystowskich działaniach polskiego reżimu". Mińsk oficjalnie przyznaje, że mamy do czynienia z wojną hybrydową. Tyle że według tej narracji stroną agresywną jest Warszawa. Nawet szturm na granicę Polski media Łukaszenki przedstawiają jako brutalną napaść na biednych migrantów, z których „faszystowski reżim" próbuje

eprasa.pl ad4328f552

uczynić broń do walki z Białorusią. Dwutysięczny tłum zmierzający w stronę przejścia granicznego reporter „Panoramy" Andriej Sycz nazwał „kolumną nadziei", na czele której maszerowały „matki z dziećmi". Kolumnę tę białoruskie służby przepędziły z drogi do lasu – wiadomo przecież, że z perspektywy Mińska lepiej, aby migranci szturmowali zieloną granicę. Po pierwsze, na przejściu granicznym, aby dotrzeć do Polski, musieliby najpierw przejść legalną kontrolę od strony Białorusi – a wówczas Łukaszenka musiałby przyznać, że jest organizatorem migracji, a nie tylko życzliwym jej obserwatorem. Po drugie, forsowanie płotu z zasiekami jest bardziej spektakularne – w takiej sytuacji łatwiej pokazać cierpienia uchodźców i brutalność Polaków.

Tak też się stało. Z relacji Andrieja Sycza wyłania się obraz zdesperowanych rodzin z dziećmi, które po prostu szły na Zachód, odpowiadając na zaproszenie Merkel, jeszcze w 2015 r. deklarującej przyjęcie uchodźców. Na tej drodze do lepszego życia zderzyli się ze ścianą europejskich „siłowików", którzy „łamią nie tylko wszystkie prawa, lecz także ogólnoludzkie normy". Ani słowa o nielegalnym charakterze migracji, ani obrazka pokazującego agresję migrantów. Nie mając żadnych poważniejszych dowodów na okrucieństwo „faszystów", Sycz stwierdził, że polscy żołnierze próbowali wystraszyć uchodźców gazem łzawiącym oraz hałasem skrzydeł wojskowego helikoptera. Według białoruskich mediów ci biedni ludzie postanowili przedrzeć się do Polski zwartą grupą w obawie o swoje życie – bo przecież, jak wiadomo, polscy pogranicznicy masowo mordują migrantów.

ROSJANIE KAŻĄ PŁACIĆ OKUP

Łukaszenka wydarzenia na granicy skomentował w wywiadzie dla Igora Korotczenki, redaktora naczelnego czasopisma „Obrona Narodowa" („Nacjonalnaja Oborona"), wydawanego przez rosyjskie MON. Zapowiedział, że migrantów będzie coraz więcej. Oczywiście nie on ich sprowadza, tylko mafie. On tylko ich nie zatrzymuje – z zemsty za sankcje unijne, co otwarcie przyznał. Zasugerował, że sytuacja jest niebezpieczna, ale z winy Polaków, którzy prowadzą wojnę z migrantami, prowokując jednocześnie żołnierzy białoruskich. Ci ostatni, jak zapewnił, zachowają spokój. Bo wiadomo, że jeśli Białorusinom powinie się noga, do akcji będzie musiała wkroczyć Rosja, a to przecież „wielkie mocarstwo atomowe". Ta zawoalowana groźba w stronę Warszawy to jednocześnie informacja dla Moskwy o treści: „Pilnuję naszej wspólnej zachodniej flanki, ale muszę mieć w razie potrzeby wasze wsparcie".

Na wsparcie może liczyć. Po szturmie na polską granicę jednoznacznie po stronie Mińska opowiedzieli się czołowi przedstawiciele Kremla. Rzecznik Putina Dmitrij Pieskow zapewnił, że Mińsk i Moskwa są w stałym kontakcie w sprawie sytuacji na granicy, poprzez wszystkie możliwe kanały, w tym poprzez kanały służb specjalnych. Putin przeprowadził rozmowę z Łukaszenką. „Dziś polskim politykom, którzy winią Mińsk za problemy z irackimi migrantami, należałoby przypomnieć, jak to przy aktywnym udziale Warszawy był zniszczony Irak" – stwierdziła rzeczniczka MSZ Maria Zacharowa. „Zaproponowała", by Polska przyjęła 2 tys. uchodźców – tylu, ilu polskich żołnierzy „napadło" na Irak. Jej szef Siergiej Ławrow stwierdził, że skoro Polska i Litwa nie chcą przepuścić migrantów, to UE powinna zapłacić za ich utrzymanie Białorusi – podobnie jak to miało miejsce z Turcją w 2015 r. Rosyjskie media niejednokrotnie już przywoływały ten przykład. Przy czym w zależności od potrzeb „nową Turcją" była albo, jak u Ławrowa, Białoruś, albo Polska. Wedle tej drugiej wersji Polska, podobnie jak sześć lat temu Erdoğan, chce wyłudzić unijne pieniądze w zamian za zatrzymanie zalewu migrantów. Tak czy inaczej Putin staje murem za Łukaszenką. Polskę atakuje również kremlowska propaganda. Władimir Sołowiow, czołowy kremlowski propagandysta, niejednokrotnie krytyczny wobec Łukaszenki, stwierdził, że Polska świadomie eskaluje histerię wojenną, prowokując białoruskich pograniczników do użycia przemocy, żeby zyskać pretekst do nowych sankcji na Mińsk. Skrytykował nawet polską opozycję, twierdząc, że ulega ona militarystycznej narracji rządu.

CZTERY TEZY PROPAGANDY

Propaganda Mińska daje się streścić w czterech tezach. Pierwsza: Zachód ma moralny obowiązek przyjąć przybyszów z Bliskiego Wschodu, ponieważ najpierw zniszczył ich państwa w kolejnych wojnach, a następnie, ustami Merkel, zaprosił ich do siebie w 2015 r.

Druga: polscy faszyści i rasiści próbują zatrzymać marsz uchodźców, bijąc ich i zabijając. Stąd wynikają dwie kolejne tezy, a właściwie cele, które stawia przed sobą propaganda Łukaszenki. Pierwszy cel: skłócić Polskę z Unią. Używając lewicowej narracji o prześladowanych uchodźcach, przekonać Zachód, że powinien ukarać Warszawę i zmusić ją do przyjęcia imigrantów. Drugi cel: doprowadzić do wewnętrznego rozłamu w polskim społeczeństwie i wywrzeć nacisk na tamtejszy rząd za pomocą pożytecznych idiotów z proimigracyjnej opozycji. Na razie tylko ten drugi cel udaje się Łukaszence z powodzeniem realizować. Jednak z pewnością Mińsk ma nadzieję, że osiągnie również pierwszy.

Łukaszenka będzie dążył do eskalacji. Jeśli prowokacja się uda i to z polskiej strony padną strzały, to on zatriumfuje. W świat pójdzie obraz polskiego agresora i ofiar wśród uchodźców czy – w tej sytuacji równie niewinnych – funkcjonariuszy białoruskich służb. Siłą rzeczy trudniej będzie wtedy na unijnych salonach utrzymać narrację o konieczności obrony granic – na Zachodzie znów do głosu dojdzie proimigranckie lobby. UE i NATO stracą zaufanie do swojego sojusznika, który nie potrafi utrzymać nerwów na wodzy. To wszystko doprowadzi do kłótni i podziałów wewnątrz Zachodu, który w takim stanie będzie łatwiejszym celem. Również dla Putina, który właśnie testuje wytrzymałość wschodniej flanki UE i NATO. Nie brudzi sobie rąk, używając do czarnej roboty Łukaszenki. W razie potrzeby zawsze będzie mógł się odciąć i zrzucić winę na Mińsk – bo przecież to Mińsk jest bezpośrednim organizatorem (być może też pomysłodawcą) kryzysu migracyjnego. Całe odium spadnie na „Baćkę". Wygra on tylko wówczas, gdy powiedzie się wspomniana prowokacja. W przeciwnym razie jego jedynym sukcesem będzie odwrócenie uwagi od problemów wewnętrznych Białorusi oraz jazgot pożytecznych idiotów nad Wisłą, których nawet Bruksela nie słucha. Poza tym jednak – same klęski. Pogłębi się izolacja Mińska na arenie międzynarodowej – słaby Łukaszenka będzie musiał jeszcze bardziej podporządkować się Putinowi. A przecież ambicje dyktatora sięgają wyżej niż fotel gubernatora obwodu białoruskiego w Federacji Rosyjskiej. Będzie też musiał coś zrobić z tysiącami zawiedzionych migrantów. Rozwiązanie tej kwestii (fizyczna likwidacja?) trochę potrwa i nie obędzie się bez problemów. Dlatego Łukaszence tak bardzo zależy na tym, aby te tysiące przepchnąć do Polski. Idzie zima. Ci ludzie będą umierać. Łukaszenka wolałby,

eprasa.pl ad4328f552

żeby ginęli na terenie Polski – wtedy winę zrzuci na Warszawę. Ich śmierć na oczach polskich pograniczników po białoruskiej stronie płotu nie pomoże „Baćce".

Zachód wie, że klucz do Mińska leży na Kremlu. W ubiegłym tygodniu do Putina dwa razy dzwoniła Angela Merkel z prośbą o interwencję. W odpowiedzi usłyszała, że powinna rozmawiać z Łukaszenką. Najpewniej Putin widząc, że presja migracyjna ma sens, czeka na bardziej pokorną prośbę i ustępstwa Zachodu. Chętnie odegra rolę rozjemcy, nie za darmo, oczywiście. W rozmowie poruszył temat Donbasu i obecności NATO na Morzu Czarnym. Negocjacje ruszyły. A tymczasem wśród przedzierających się do Polski migrantów bardzo łatwo przemycić „zielone ludziki". Obecność dywersantów zwiększy szansę na zwycięstwo prowokacji – to zaś pozwoli Rosji stawiać się w roli obrońcy. Pytanie jednak: Co będzie oznaczało to zwycięstwo? Przepychanka pomiędzy Polską a Białorusią, nawet strzelanina, będzie na rękę Putinowi, któremu nikt nie udowodni bezpośredniego współsprawstwa. Kreml będzie mógł wówczas wystąpić jako obrońca zaatakowanej przez Zachód Białorusi. W ten sposób uzasadni zacieśnienie integracji i budowę baz rosyjskich na terenie bratniej republiki. Czyli: dalszy nacisk na Zachód. Pełnowymiarowy konflikt z NATO byłby jednak dla Rosji zbyt dużym ryzykiem.

BRUKSELA POLSKĘ WSPIERA

Najważniejsze więc, by nie ulegać prowokacjom i trzymać zwarty front. Oparty nie na urzędnikach Frontexu (których obecności na granicy, co ciekawe, domagają się również rosyjskie media – a nuż uda się odkryć jakieś nadużycia polskich służb!), lecz na realnej sile: militarnej NATO i polityczno-propagandowej UE. Kryzys migracyjny to być może jedyna sprawa, w której Bruksela stoi murem za Warszawą. A dokładniej: stoi murem za murem na granicy UE. Nauczona na błędach roku 2015 nie chce już tolerować niekontrolowanego napływu migrantów, którzy – tak jak wówczas – chcą iść do Niemiec, a Polska to dla nich tylko przystanek na drodze do „lepszego świata". Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel zaapelował o działanie UE w sprawie sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Poinformował też: „Rozpoczęliśmy debatę na temat unijnego finansowania fizycznej infrastruktury granicznej. To musi być zrealizowane niezwłocznie". Jednocześnie wezwał Białoruś do przestrzegania prawa międzynarodowego.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wezwała państwa członkowskie, aby zaakceptowały rozszerzony system sankcji wobec władz białoruskich, które „są odpowiedzialne za ten hybrydowy atak". Szefowa KE wprost stwierdziła, że to Mińsk cynicznie używa migrantów do wywierania nacisku na UE. Sankcje mają uderzyć m.in. w linie lotnicze, „które prowadzą działalność w zakresie handlu ludźmi". Również przewodniczący Parlamentu Europejskiego David Sassoli jednoznacznie potępił reżim Łukaszenki za „wykorzystywanie migrantów" w swoich celach. Wezwał przy tym Polskę do przyjęcia oferty UE, „aby w uporządkowany sposób pomagać osobom znajdującym się w trudnej sytuacji i zapobiegać dalszej eskalacji". Nie ma jednak wątpliwości, że obrona granic nawet dla unijnych elit jest najważniejsza.

Niestety, propagandzie Mińska i Moskwy zdaje się ulegać Watykan. „Stolica Apostolska zachęca władze w całej Europie do przyjęcia odpowiedzialności za migrantów i uchodźców" – powiedział sekretarz Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej ds. stosunków z państwami abp Paul R. Gallagher, występując wspólnie z Siergiejem Ławrowem na konferencji prasowej podczas swojej oficjalnej wizyty w Moskwie. To jednak wyjątek w szeroko rozumianym świecie Zachodu.

Na temat szturmu na polską granicę Ursula von der Leyen rozmawiała z Joe Bidenem. „Poszerzymy sankcje na Białoruś. USA również wprowadzi nowe sankcje, które wejdą w życie na początku grudnia. Sankcje europejskie będą skierowane nie tylko na osoby, lecz także na firmy" – powiedziała przewodnicząca Komisji Europejskiej po rozmowie z prezydentem USA. „Tak długo, jak białoruski reżim odmawia honorowania swoich międzynarodowych zobowiązań, podważa bezpieczeństwo i pokój w Europie oraz prześladuje ludzi pragnących wolności, nadal będziemy naciskać na Łukaszenkę i nie osłabimy wezwań do pociągnięcia go do odpowiedzialności" – zadeklarował rzecznik Departamentu Stanu USA Ned Price. Zapewnił, że Waszyngton „mocno potępia polityczne wykorzystywanie i przymuszanie zagrożonych osób oraz bezduszne i nieludzkie organizowanie przepływów migracyjnych przez swoje granice". Nawet niechętny obecnej polskiej władzy lewicowy prezydent USA nie ma najwidoczniej wątpliwości, że w tym konflikcie racja stoi po stronie Warszawy, a nie Łukaszenki. Solidarność z Polską wyraziły Litwa i Łotwa, stojące również na linii frontu. Twardo po stronie Warszawy stoją Swiatłana Cichanouska i generalnie antyłukaszenkowska opozycja. NATO oficjalnie wyraziło zaniepokojenie eskalacją na granicy. „Wykorzystywanie migrantów przez reżim Łukaszenki jako taktyki hybrydowej jest niedopuszczalne" – czytamy w oświadczeniu. UE może pomóc sfinansować uszczelnienie granicy. Bo w razie dalszej eskalacji najbardziej przydatne – przynajmniej teoretycznie – byłoby NATO. Gdyby doszło do strzelaniny, wreszcie okazałoby się, na ile skuteczny jest artykuł 5. Biorąc pod uwagę fakt, że na Zachodzie panuje pełna zgoda co do agresywnych zamiarów Łukaszenki, ewentualna wymiana ognia musiałaby wręcz zostać uznana za atak na sojusz jako całość. Pytanie tylko, jak wyglądałoby sojusznicze wsparcie – użycie siły zbrojnej to tylko jeden z jej wariantów.

Już teraz możliwe jest uruchomienie art. 4, który przewiduje, że „strony będą się konsultowały, ilekroć zdaniem którejkolwiek z nich zagrożona będzie integralność terytorialna, niezależność polityczna lub bezpieczeństwo którejkolwiek ze stron". Za tą opcją opowiadają się zarówno wiceszef MSWiA Maciej Wąsik, jak i Donald Tusk. Generalnie kryzys migracyjny może uświadomić też obecnej amerykańskiej administracji, jak ważne jest wzmocnienie flanki wschodniej Jest też szansa na zatrzymanie napływu migrantów na samą Białoruś – Turkish Airlines potwierdziły, że nie będą odtąd przyjmować na pokłady samolotów do Mińska obywateli Iraku, Syrii i Jemenu, z wyjątkiem posiadaczy paszportów dyplomatycznych.

Niezależnie od tego, jaka opcja zostanie wybrana, jedno jest pewne: Polska w tej chwili może liczyć na wsparcie Zachodu. Przynajmniej deklaratywne, ale to już pewien sukces. Warszawa wygrała wojnę informacyjną Obraz tłumów szturmujących zasieki raczej umocnił Brukselę w przekonaniu co do pełnej odpowiedzialności Mińska za kryzys. W sprawie uszczelnienia granic Bruksela i Waszyngton wyjątkowo nie będą przeszkadzać Warszawie ani jej atakować. Bo to również o granicę Zachodu idzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O ISLAMISTYCZNYCH TERRORYSTACH PRZENIKAJĄCYCH TAKŻE DO POLSKI WIĘCEJ W TEKŚCIE WITOLDA REPETOWICZA NA STRONIE 64

eprasa.pl ad4328f552

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

eprasa.pl ad4328f552

Próg wojny został właśnie przekroczony

Z gen. Romanem Polko, generałem dywizji Wojska Polskiego, komandosem, byłym dowódcą elitarnej jednostki GROM
rozmawia Karol Gac

KAROL GAC: Panie generale, jak pan ocenia to, co dzieje się przy granicy polsko-białoruskiej?

GEN. ROMAN POLKO: To jest tak naprawdę wojna. Można ją nazwać hybrydową, z wykorzystaniem „zielonych ludzików" i „ludzkiej broni", ale nie nazwa ma znaczenie, lecz świadomość, że chociaż nie widać czołgów na granicy, próg wojny został właśnie przekroczony. Oczywiście można czekać w koszarach na tę „prawdziwą", podręcznikową wojnę, która da sojuszowi sygnał do zastosowania art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, ale wtedy możemy podzielić los Ukrainy, która w tej „wojnie-niewojnie" straciła Krym i utraciła kontrolę nad Donbasem.

Celem tej wojny jest dalsze destabilizowanie Europy, już i tak osłabionej i zajętej koronawirusem, szalejącą inflacją i bezpieczeństwem energetycznym po drastycznych podwyżkach cen gazu dyktowanych przez Rosję. Wszystko po to, by zrealizować ambicje Putina zmierzające w kierunku odbudowy sowieckiego imperium. Ostrzegał przed tym śp. prezydent Lech Kaczyński w swoim pamiętnym przemówieniu w Tbilisi, po rosyjskiej agresji na Gruzję. Nawet wtedy wielu uważało, że to przesada. Jaka Ukraina? Jaki atak na Polskę? Dzisiaj już wiemy jaki.

Jesteśmy świadkami sytuacji bezprecedensowej, historycznej. To nie jest pierwszy raz, gdy migranci są wykorzystywani instrumentalnie przez różne grupy: terrorystyczne, przemytnicze. Dziś jednak ten proceder został zinstytucjonalizowany. Państwo jest organizatorem przemytu, a Białoruś działa jak organizacja przestępcza. Nie spotyka się to z żadną sensowną odpowiedzią międzynarodową. ONZ apeluje do Polski i Białorusi, co już jest kuriozalne, by dogadały się w sprawie migrantów, aby im pomagać. W ten sposób stawia się niejako znak równości między naszymi państwami zamiast jednoznacznego potępienia tego, co ma miejsce, i wskazania winnego wywołanego kryzysu. Powstaje też pytanie o NATO, jego reakcję na zaistniałą sytuację. Wiele mówiono ostatnio o wojnie psychologicznej, walce przy użyciu informacji. Czas przejść od debat i konferencji do czynów. Inicjatywa, którą realizuje Łukaszenka, nie spotyka się z adekwatną odpowiedzią, a wręcz dochodzi do sytuacji kuriozalnej, że mamy do czynienia z friendly fire. Nasi żołnierze i pogranicznicy, którzy mierzą się z niezwykle trudną sytuacją, zamiast ze wsparciem ze strony państwa i społeczeństwa, co jest standardem, spotykają się z różnego rodzaju atakami i inwektywami.

Sytuacja jest niezwykle dynamiczna, a prowokacje coraz dalej idące. Dokąd to wszystko zmierza i co może być czerwoną linią?

Łukaszenka ściąga na swoje terytorium dziesiątki, jeśli już nie setki tysięcy migrantów, których planuje przerzucić – zapewne wraz z „zielonymi ludzikami" i dywersantami – na terytorium Unii Europejskiej. Na szczęście, ze względu na determinację naszych władz i służb, ta operacja nie przebiega tak, jak Łukaszenka oczekiwał. Doszło wręcz do sytuacji, w której migranci zaczęli generować problemy na Białorusi. W efekcie służby białoruskie, w świetle reflektorów, starają się przełamać naszą granicę. Niestety, prowokacje tych służb trafiają w Polsce na podatny grunt, bo mamy piątą kolumnę, która atakuje polskich żołnierzy czy funkcjonariuszy Straży Granicznej. Białoruskie prowokacje dążą do otwarcia ognia i ofiar śmiertelnych, ponieważ jeśli ktoś przeładowuje broń, to druga strona musi mieć żelazne nerwy, by nie odpowiedzieć ogniem. Nigdy przecież nie wiadomo, czy ktoś nie chce po prostu zabić. Widać eskalację, ale to jednocześnie pokazuje zarówno determinację, jak i obawy Łukaszenki, że ta strategia obróci się przeciwko niemu. Mamy obecnie punkt krytyczny, ale jeśli wytrzymamy i wszyscy dadzą odpowiednie wsparcie naszym pogranicznikom i wojskom, to mamy szansę to zatrzymać.

Jak pan ocenia dotychczasowe działania rządu, w tym wprowadzenie stanu wyjątkowego?

Nieczęsto się zdarza, by można było powiedzieć, że nie zabrakło nam wyobraźni. Kiedy pojawiły się pierwsze apele, aby wpuścić tych ludzi, to jednak tej wyobraźni władzy nie zabrakło. Przecież kiedy wprowadzano stan nadzwyczajny, to również pojawiały się głosy, że nic wielkiego się nie dzieje. Dzisiaj wyraźnie widzimy, co dzieje się na granicy i że jest to stan nadzwyczajny. Chyba nawet najwięksi krytycy władz nie mają już żadnych wątpliwości. To, co zrobiły nasze władze, a co powinniśmy wszyscy, to wsparcie dla naszego wojska i Straży Granicznej, które są na pierwszej linii. Należą im się brawa, a nie krytyka i wyzwiska.

Jak zatem ocenić niektórych polityków czy celebrytów, którzy nie tylko atakowali, lecz także oczerniali żołnierzy oraz funkcjonariuszy Straży Granicznej?

Kiedy słyszę takie głosy ze strony ludzi, którzy nigdy nie zajmowali się bezpieczeństwem i strategią, a są wrażliwi emocjonalnie, to nawet w jakiś sposób byłbym w stanie ich usprawiedliwić. Aktor nie musi się znać na tych sprawach. Jednak kiedy słyszę te same głosy wypowiadane przez polityków, strategów, a nawet przez dwóch generałów, którzy brali udział w misjach i wiedzą, na czym polega gra psychologiczna, to trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. To zupełny brak odpowiedzialności.

Dziś w pierwszej kolejności walczymy o to, by nasz kraj był bezpieczny, w drugiej – by wstrzymać kanały przerzutowe do Europy. Tam doskonale wiedzą, czym się skończy kolejna fala nielegalnych migrantów. Będą chaos, radykalizacja, kolejne struktury przestępcze, zapewne

eprasa.pl ad4328f552

również akty terroru. Na szczęście Europa popiera stanowcze działania na swojej wschodniej granicy i pogląd, że problemy Iraku czy Afganistanu należy rozwiązywać na miejscu, nie w Europie. Dlatego też od polityków, urzędników, wojskowych oczekiwałbym w tej chwili wsparcia i konkretnych pomysłów, jak rozwiązać obecny kryzys, a nie dokładania kolejnych problemów służbom, które muszą się z nimi borykać na pierwszej linii.

To jak wobec tego traktować zachowanie generałów Różańskiego i Skrzypczaka?

Długo walczyłem o to, aby apolityczność wojska nie oznaczała jego kneblowania. Oczekuję od generałów, podobnie jak społeczeństwo, przedstawiania konkretnej wizji, planów i analizy oraz budowania morale wśród żołnierzy, a tego w ich wypowiedziach zabrakło. Pójście za nurtem emocjonalnym to błędna droga. Mam nadzieję, że szybko nastąpi refleksja i będą wspierać służby, które sami kiedyś kształtowaliśmy, a za które jesteśmy odpowiedzialni. Gdybyśmy nie mieli wsparcia w Jugosławii, Iraku czy Afganistanie, to trudniej by nam było prowadzić te działania w przekonaniu, że walczymy w słusznej sprawie. Żołnierze przy granicy realizują misję w słusznej sprawie, powstrzymując się od otwarcia ognia, by nie eskalować konfliktu. Im się należą szacunek i wsparcie, a nie obraza i moralizatorskie pouczanie ludzi, którzy są oderwani od bieżących problemów.

Co jest najważniejsze w obecnej sytuacji?

Odpowiedzialność i solidarność całego społeczeństwa w trosce o własne bezpieczeństwo. Rząd robi, co może – buduje zaporę, przerzucił siły na wschodnią granicę. Bojkotowanie tych działań, jak np. w przypadku budowania zapory, to już działanie dywersyjne. To, co należałoby zrobić, to większa ofensywa na arenie międzynarodowej poprzez Unię Europejską i NATO oraz odpowiednie naciski na ONZ. Można odnieść wrażenie, że skoro Rosja jest silna w ONZ, to nie można mówić o problemach na wschodniej granicy. Nie może tak być, by naciski jednego państwa powodowały zakłamanie sytuacji. Do tego trzeba dodać wzmocnienie mediów i dziennikarzy na Białorusi, którzy pokazują rzeczywistość taką, jaka jest. I wreszcie ciągle pokazywać i podkreślać, że obecny problem to nie tylko sprawa Polski, Litwy czy Łotwy, lecz także całej Unii, a nawet NATO.

Uważam, że art. 5 powinien być uruchomiony, bo jeśli będziemy czekać na „podręcznikową" wojnę, to się jej nie doczekamy, a „zielone ludziki" będą destabilizować kraj

Mówił pan na początku, że to jest wojna. Może więc powinniśmy aktywować art. 5 traktatu północnoatlantyckiego?

Zdecydowanie tak. Artykuł 5 to nie są tylko czołgi na granicy. Skoro obszarem wojny jest cyberprzestrzeń, to jest to cyberprzestrzeń i wojna psychologiczna. Uważam, że art. 5 powinien być uruchomiony, bo jeśli będziemy czekać na „podręcznikową" wojnę, to się jej nie doczekamy, a „zielone ludziki" będą destabilizować kraj. Nie wiemy, ilu ich przeszło na naszą stronę, by prowadzić swoje działania w celu demolowania Europy.

A jak długo żołnierze powinni powstrzymywać się od otwarcia ognia? Pojawiły się już głosy, by np. oddawać strzały ostrzegawcze.

Na szczęście żołnierze WOT są dowodzeni przez specjalsów, którzy mają doświadczenie z Iraku czy Afganistanu i nerwy im nie puszczają. Nie można w żadnym razie dać się sprowokować, ale trzeba działać w sposób stanowczy i w trosce o własne bezpieczeństwo. Nie ma tu uniwersalnych recept. Każda sytuacja jest inna i w każdej trzeba inaczej reagować, ale przy tym poziomie prowokacji nie wykluczam, że żołnierz, który będzie przekonany, że go chcą zabić, użyje broni.

Zmieńmy temat. Jak pan ocenia główne założenia ustawy o obronie ojczyzny, którą zaprezentowali minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak i Jarosław Kaczyński?

Bardzo mi się podoba, że ustawa z 1967 r., która mocno mnie irytowała, gdy jeszcze byłem w służbie, poszła do kosza i w mądry sposób uporządkowano kwestie prawne. Zostaną zlikwidowane podstawowe absurdy, co dla wojska jest szczególnie ważne. Warto też podkreślić przyjęcie modelu amerykańskiego dotyczącego polityki kadrowej, w tym większej liczby szeregowych. Tworzy się możliwość służby rocznej, podczas której młodzi ludzie będą mogli się sprawdzić. Będą generowane rezerwy i zbudowany zostanie system powszechnej obrony ojczyzny. To dobry kierunek.

Padła też zapowiedź zwiększenia liczebności sił zbrojnych do co najmniej 250 tys. żołnierzy zawodowych. Jakie to ma znaczenie?

Wojny wygrywają rezerwy, stąd kierunek ustawy, by je generować, jest tutaj kluczowy. Trzeba jednak pamiętać, że dzisiejszych wojen nie wygrywa się czołgami i butami żołnierzy. Nie wyobrażam sobie, by ten plan został zrealizowany w krótkim czasie, więc ważne, by miał ogólne poparcie. W czasach słusznie minionych mieliśmy 400-tysięczną armię, która momentami liczyła około miliona żołnierzy. Chciano zadeptać wroga. Obecne założenia to budowa większej armii, ale dobrze wyposażonej i profesjonalnej. Otwarte pozostaje jednak pytanie o fundusze.

Zapowiedziano też, że wprowadzona zostanie dobrowolna zasadnicza służba wojskowa. Dobrze, że obowiązkowy pobór nie zostanie przywrócony?

Z niewolnika nie ma pracownika. Entuzjastom obowiązkowego poboru warto przywołać liczne patologie, które się z tym wiązały. To była feudalna, siermiężna armia, gdzie żołnierzy traktowano jak idiotów. Lepiej, gdy ściągamy ochotników, którzy chcą się realizować w armii. W przeciwnym wypadku mielibyśmy więcej szkód niż pożytku. Wojska Obrony Terytorialnej pokazały, że można zrobić coś pozytywnego. Jestem pod ogromnym wrażeniem tych ludzi z pasją, których brakuje mi czasem wśród żołnierzy zawodowych. Sądzę, że w Polsce jest wielu ludzi, którzy chcieliby coś zrobić dla ojczyzny. Trzeba iść w tym kierunku, a nie przymusowego poboru.

Wiemy też, że Wojska Obrony Cyberprzestrzeni maja stanowić nowy rodzaj sił zbrojnych, co jest odpowiedzią na zagrożenia XXI w.

To właściwy krok, ale powstaje pytanie, jak je będziemy budować. Większy potencjał widzę w ludziach, którzy na co dzień nie służą w wojsku, ale są mistrzami w swojej dziedzinie. Wojska w cyberprzestrzeni mają się na kim oprzeć i powinno się je budować we współpracy z silnymi firmami informatycznymi, a nie na słabo opłacanych informatykach, którzy będą pozorować pracę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Czego nie chciano wiedzieć

Piotr Semka

Wszystkie przestrogi, że początkowe indywidualne próby przekroczenia granicy zamienią się z czasem w masowy napór, były odrzucane. Teraz, gdy już to nastąpiło, warto zdefiniować, jakie lekcje historyczne całkowicie zatarły się w pamięci zbiorowej sporej części Polaków

Niedawno wezwałem do akcji wysyłania paczek świątecznych dla żołnierzy Straży Granicznej. Wydawało mi się to oczywistością. W sytuacji zagrożenia suwerenności Polski takie oddolne gesty budują poczucie sensu misji i społecznego poparcia dla funkcjonariuszy służb broniących granic. Nie przyszło mi do głowy, że ktokolwiek może uznać to za coś niestosownego lub groteskowego. A jednak oprócz wielu reakcji pozytywnych znacznie więcej było szyderstw lub demonstracji niechęci do strażników granicy RP. Kpiarsko pytano, czy polscy żołnierze głodują, że trzeba ich dożywiać paczkami. Inni oburzali się, jak można porównywać funkcjonariuszy „ścigających dzieci po lasach" z biednymi, zziębniętymi emigrantami.

Uderzyło mnie odwrócenie hierarchii sympatii. Ktoś pilnujący naszej granicy wydawać się powinien emocjonalnie bliższy niż ktoś, kto łamie prawo, wdzierając się na teren Polski w sposób nielegalny, nawet jeśli kieruje nim pragnienie lepszego życia. Oczywiście tę różnicę starano się zatrzeć poprzez skupianie uwagi odbiorców mediów na kobietach i dzieciach – osób wyjątkowo słabych lub narażonych na śmierć. Trzeba było dopiero kolejnej fazy operacji Białorusi przeciwko Polsce, aby potwierdziło się podejrzenie, które dotąd zbywano za pomocą moralnego szantażu.

Od niedzieli polską granicę próbują forsować spore grupy składające się w 80 proc. z młodych ludzi w sile wieku. Agresywnych i cynicznie grających współczuciem dla dzieci. Wszystkie wcześniejsze przestrogi, że początkowe indywidualne próby przekroczenia granicy zamienią się z czasem w masowy napór, były odrzucane. Teraz, gdy już to nastąpiło, warto zdefiniować, jakie nienowe prawdy odrzucano i jakie lekcje historyczne całkowicie zatarły się w pamięci zbiorowej sporej części Polaków.

SZEŚĆ LAT ZAPOMNIENIA

W 2015 r. przebieg wydarzeń na granicy węgiersko-serbskiej był podobny, choć niedokładnie taki sam. Wówczas Turcja przestała blokować granice i umożliwiła setkom tysięcy osób, które opuściły Syrię, Irak czy Afganistan, przemarsz w kierunku Serbii. Kandydaci na emigrantów byli kierowani przez nieformalne grupy, które stawiały sprawę jasno: chcemy dostać się do Niemiec, gdzie jest dobre życie. Najbardziej naiwni wierzyli, że w RFN czekają na nich gratisowe wille i samochody, a ci bardziej trzeźwo myślący zakładali, że osiągną status emigranta z bardzo wysokim poziomem pomocy socjalnej. To, co wówczas oburzyło bardzo wielu Węgrów, to przekonanie większości przybyszy, że Węgry mają natychmiast zgodzić się na przemarsz przez terytorium węgierskie w kierunku Niemiec ze złamaniem wszystkich normalnych zasad dotyczących przekraczania granicy.

Gdy Węgrzy zaczęli stawiać ogrodzenie i wzmacniać siły policyjne w strefie przygranicznej, w Europie rozpoczęła się histeria i fala obraźliwych komentarzy na temat polityki Viktora Orbána. Jedna z niemieckich firm produkujących drut kolczasty ogłosiła, że wstrzymuje dalsze dostawy dla rządu w Budapeszcie. Jak z emfazą ogłoszono w specjalnym oświadczeniu – drut kolczasty jest przeciwko wrogim najeźdźcom, a nie przeciw zrozpaczonym kobietom i dzieciom.

Już wówczas co bardziej trzeźwi obserwatorzy wskazywali, że w relacjach znad granicy węgierskiej fotoreporterzy i kamerzyści zazwyczaj skupiali się na kobietach i dzieciach, podczas gdy zdecydowaną większość stanowili jednak mężczyźni w sile wieku. Zupełnie ignorowano zjawisko handlarzy ludźmi, którzy stymulowali nastroje i działania w grupach atakujących węgierską granicę. Za to do niebotycznych rozmiarów rozdęto incydent, w którym węgierska operatorka kamery popełniła godny potępienia gest kopnięcia jednej z imigrantek.

Wtedy w 2015 r. imigranci dopięli swego. Węgrzy podstawili pociągi, które zawiozły ich do Niemiec, gdzie panowała euforia Willkommenskultur. Trzeba było dłuższego czasu, by Niemcy zorientowali się, że tak masowa emigracja spowodowała ileś przypadków ataków na zwykłych Niemców. Ataków tym bardziej

eprasa.pl ad4328f552

szokujących, że brali w nich udział ludzie, którzy skorzystali z niemieckiej wielkoduszności. Jeszcze więcej czasu wymagało, by Angela Merkel zrozumiała, jakie są skutki łaskawości dla emigrantów. Bo ona stanęła na czele akcji dyplomatycznej, która skłoniła prezydenta Turcji Recepa Erdoğana do ponownego zablokowania granicy w zamian za sowite fundusze wypłacane mu przez Unię.

Ani Angela Merkel, ani inni politycy UE nie przyznali, że Węgry miały rację. Po sześciu latach sytuacja z Węgier powtórzyła się na nowo na granicy polsko-białoruskiej. W tym wypadku jest jeszcze gorzej niż na granicy węgiersko-serbskiej.

O ile w 2015 r. Serbowie byli bierni i pozwalali grupom emigrantów przedostawać się na granicę Madziarów, o tyle w wypadku Białorusi służby naszych sąsiadów sterowały i pomagały w naruszeniu naszej granicy. A jednak europejskie gazety, w tym niemieckie, od początku przyjmowały ton sugerujący, że w tym spektaklu są dwa równoważne „szwarccharaktery". Chodziło oczywiście o stawianie na jednym poziomie prowokacji służb Łukaszenki i bezwzględności polskiej służby granicznej. Dopiero gdy konflikt zaczął gwałtownie zwyżkować, w niemieckich gazetach pojawiły się pełne zaniepokojenia opinie. Ale Unia jako całość dalej stawiała wyżej niechęć do Polski, niż była gotowa do pomagania rządowi w Warszawie. Komisja Europejska odmówiła pieniędzy na pomoc w budowie muru granicznego, a lewica w europarlamencie przeforsowała nawet postulat obcięcia funduszy dla Frontexu, który dostał za swoje, bo pochwalił Polskę za determinację w ochronie granic Unii.

Wszystko to obnażało wewnętrzne zakłamanie. Politycy Unii wiedzą już, że imigracja bez barier to groźne zjawisko, ale gdy „pechowcy" mają to nieszczęście, by zderzyć się z taką falą, dominuje ton, w którym polscy strażnicy graniczni czy urzędnicy Frontexu kojarzeni są z „siepaczami z 1972 r., prześladującymi biednych i zmarzniętych Wietnamczyków".

KTO PAMIĘTA O „HANOI JANE"?

Kiedy w latach 80. czytałem książkę Normana Podhoretza pt. „Dlaczego byliśmy w Wietnamie", mimo całej wiedzy o naiwności Zachodu zdumiewałem się nad skutecznością operacji psychologicznej, która pomogła komunistom wygrać ten konflikt. Udało się pchnąć bardzo wielu Amerykanów do wrogości wobec własnej armii. Wystarczyło porównać stosunek Amerykanów do walk swoich żołnierzy w Korei w latach 50., do sukcesów kampanii antywojennej, która przedstawiała US Army jako zbrodniarzy. Symbolem tej przemiany był wyjazd w 1972 r. gwiazdy amerykańskiego kina Jane Fondy do Hanoi, stolicy komunistycznego Wietnamu. Fonda pozowała w hełmie wietnamskim na stanowisku baterii przeciwlotniczej, z której strzelano do amerykańskich bombowców. Jak z goryczą wskazywali weterani, w tym samym czasie w Hanoi w ciężkim więzieniu torturowano amerykańskich więźniów, których nakłaniano do wystąpienia na konferencji prasowej i potępienia polityki Waszyngtonu.

Nawet tak drastyczne lekceważenie lojalności wobec własnego państwa nie spowodowało bynajmniej końca kariery skandalistki. Nadal dostawała atrakcyjne role w Hollywood, a protesty weteranów przeciwko „Hanoi Jane" zbywano w mediach jako przykład zacietrzewienia.

Polskie elity, z racji doświadczeń historii zimnej wojny – zdawałoby się – powinny być wyjątkowo wyczulone na techniki sowieckiej dezinformacji i manipulacji. A jednak porównania z zaczadzeniem części amerykańskich elit w epoce Wietnamu mało komu przychodziły na myśl. Aktorzy, pisarze i gwiazdy reklamy porównały straż graniczną do esesmanów, tak jak w epoce Wietnamu koszary US Army oblewano wiadrami świńskiej krwi.

Trzeba było dopiero nienawistnych tyrad obrażających polskich żołnierzy w wykonaniu Władysława Frasyniuka, a potem Barbary Kurdej-Szatan, by pojawiły się dość słabe zresztą protesty. Doskonale miały się za to deklaracje, że Kaczyński i Łukaszenka wspólnie korzystają z konfliktu, że Polacy są solidarni z imigrantami, a budowanie muru na granicy to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Charakterystyczne były podobne cechy relacjonowania konfliktu w liberalnych mediach – zarówno tego w Wietnamie, jak i tego na granicy z Białorusią. W wypadku wojny wietnamskiej też koncentrowano się na kobietach i dzieciach, pomijając agresywną politykę komunistycznych władz Wietnamu. Tak samo też zresztą odwoływano się do sumienia żołnierzy, zachęcając ich do tego, by ignorowali rozkazy. I wreszcie tak samo jak w wypadku konfliktu wietnamskiego liberalne lewicowe media często powtarzały twierdzenia propagandy komunistycznej jako prawdę objawioną, tak i teraz np. reporterki z opozycyjnych mediów uznawały każde drastyczne relacje zatrzymanych uchodźców jako fakty, które nie wymagają sprawdzenia. Mało kto chciał je konfrontować z opiniami straży granicznej. Odwracano też chętnie głowę od niewygodnej obserwacji, że tłumy uchodźców jako jednostki mogą być osobami oszukanymi lub manipulowany-

eprasa.pl ad4328f552

Grupa migrantów na polskiej granicy
FOT. HANDOUT/POLISH MINISTRY OF DEFENCE/GETTY IMAGES

mi, ale nie zmienia to faktu, że migranci sterowani przez białoruskich kagebistów mogą być dla Polski bardzo groźni.

Osobnym zjawiskiem był brak zdecydowania polskiego Kościoła, jakie stanowisko zająć wobec tego konfliktu. Widać było wyraźnie, że biskupi są bardzo wyczuleni na proemigrancką linię papieża Franciszka. Bardzo łatwo wysuwano np. postulat korytarzy humanitarnych, choć tworzenie takich śluz w sytuacji, gdy jest się obiektem agresji wyjątkowo perfidnego przeciwnika, może być trudne do zrealizowania. Padały sformułowania, które dziś zdumiewają swoją niefrasobliwością. W sierpniu bp Krzysztof Zadarko, szef Rady Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek, głosił: „Nie wyobrażam sobie zagrożenia ze strony ludzi, którzy uciekają przed śmiercią".

Zrozumieć można było troskę o tych imigrantów, których straż graniczna znajdowała w lesie w stanie wychłodzenia. Ale nie można już tak łatwo wyjaśnić, dlaczego doświadczony biskup w ogóle wyklucza możliwość sytuacji, w której uchodźcy mogą zostać użyci jako taran przeciwko Polsce. Zdumiewający był też jeden z fragmentów sprawozdania ze spotkania kard. Nycza i bp. Zadarki z organizacjami, które pomagają uchodźcom. Jak pisał bp Zadarko: „Uczestnicy spotkania zgodzili się, że wielu funkcjonariuszy państwa stało przed niezwykle trudnymi wyborami moralnymi, rodzącymi się na styku obowiązku pełnienia służby a głosem sumienia i potrzebą ratowania życia". Zdanie to można interpretować jako legitymowanie dla sugestii lewicy, że działania broniące granicy są niemoralne i skazują żołnierzy na konflikt sumienia. Jeśli się takie sądy formułuje, to trzeba podać konkretne przykłady, a nie sugerować, że to, co robią funkcjonariusze na granicy, jest niemoralne.

Czasami też głos akcentujący powinności chrześcijańskie bywa szokująco naiwny. Oto w czasie kryzysu na Podlasiu pojawił się w Polsce Rocco Buttiglione. Polityk, który w trakcie tworzenia Komisji Europejskiej został utrącony za to, że wyznał, iż jest przeciw małżeństwom homoseksualnym. Jego wypowiedź liberalne media akcentowały z wyjątkowym zapałem, gdyż Buttiglione zyskał w Polsce wiele sympatii z racji ataków na niego za deklaracje zgodne z chrześcijańskim sumieniem. Jednak tym razem Buttiglione w rozmowie z dziennikarzem Katolickiej Agencji Informacyjnej przyrównał politykę walki z nielegalnym naporem emigrantów do biblijnej przypowieści o dobrym Samarytaninie. I wskazywał: „Nie możecie pozwolić imigrantom umierać na granicy. Potem może będziecie mogli ich odesłać do ich własnych krajów, regionów albo uda się wypracować jakieś dobre międzynarodowe rozwiązanie, nad tym już trzeba myśleć. Ale teraz, tu i teraz, szczególnie przy tak niskich temperaturach, kiedy życie tych ludzi jest zagrożone, oni po prostu muszą otrzymać schronienie".

Oczywiście każda sytuacja, w której polscy policjanci czy funkcjonariusze Straży Granicznej znajdują kogoś w stanie wychłodzenia czy zagrożenia życia, wymaga humanitarnej reakcji. Tu nie ma sporu. Ale Buttiglione nie wyjaśnia, co będzie, jeżeli kolejne tysiące imigrantów będą przepuszczane i trafiać będą do polskich obozów. Powtórzy się przecież sytuacja, która występuje na wyspie Lesbos w Grecji czy na włoskiej Lampedusie. Sugerowanie, że po jakimś czasie będzie można ich odesłać do ich własnych krajów, jest naiwne. Nie po to płacili grube pieniądze za dostanie się w okolice Niemiec, aby wracać do swoich biednych, zagrożonych kolejną wojną ojczyzn. Z kolei pomysły na rozdzielanie imigrantów między różne kraje są przez Polaków odrzucane, ponieważ nie chcą, by Polska była krajem imigracyjnym.

ŁUKASZENKA DOSTAŁ TRZY MIESIĄCE

Tylko ci, którzy stoją twarzą w twarz z rosyjsko-białoruskimi prowokacjami na granicy, mogliby opowiedzieć, jak naiwne są postulaty posłów opozycji czy działaczy organizacji pozarządowych. Te postulaty są bardzo często wyrazem czy to niechęci do rządu, czy wyznawaniem bardzo szczytnych ideałów, ale nijak mają się do realiów wojny hybrydowej. Dało to białoruskiemu KGB luksus aż trzech miesięcy rozwoju kryzysu.

Jest diaboliczną cechą wojny hybrydowej to, że agresor wykorzystuje szlachetne porywy serca do realizowania planów, które niosą zniewolenie i destabilizację. I znów przypomina się porównanie z wojną wietnamską. Wielu amerykańskich duchownych oglądało w telewizjach zdjęcia cierpiących mieszkanek Wietnamu, Laosu czy Kambodży, widziało zdjęcia płaczu dzieci przerażonych strzelaniną i reagowało hasłem: „Zakończyć wojnę w Indochinach za wszelką cenę". Wojna, owszem, się zakończyła, Amerykanie wyjechali, ale np. Sajgon zaczynał być kontrolowany przez wietnamską bezpiekę, która setki tysięcy ludzi wtrącała do więzień. W wypadku Kambodży zakończenie wojny powodowało zamienienie przez zwycięskich Czerwonych Khmerów Kambodży w jeden wielki obóz koncentracyjny. Wtedy wielu idealistów spod szyldu „Stop War NOW" nabrało wody w usta. Czy ktoś wyciągnie wnioski z tego tym razem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Granice szaleństwa i

Rafał A. Ziemkiewicz

Fakt, że główny ciężar ataku Łukaszenki przesunął się z krajów bałtyckich na Polskę, niewątpliwie jest skutkiem ochoczego podchwycenia przez polską opozycję i jej media Łukaszenkowskiej propagandy

Już po raz kolejny w sytuacji nagłego spadku poparcia dla PiS służby Łukaszenki organizują prowokacje na granicy. Naturalną reakcją każdego Polaka jest poczucie solidarności z polskimi żołnierzami broniącymi granicy [...], stąd prowokacje Łukaszenki muszą wzmacniać rząd. Dlaczego więc Łukaszenka wzmacnia rząd PiS? Bo jest z nim dogadany" – ten groteskowy komentarz Romana Giertycha do zorganizowanego szturmu migrantów na polską granicę wydaje się najlepszym przykładem intelektualnej i politycznej degrengolady, której uległa lewicowo-liberalna opozycja, co właśnie sprawa wschodniej granicy pokazuje szczególnie jaskrawo.

Brnie opozycja w spiskowe teorie, które swego czasu tak chętnie przypisywała, jako przejaw obskurantyzmu i ciemnoty, politycznym przeciwnikom, nie przypadkiem – jest to rozpaczliwe szukanie wyjścia ze ślepej ulicy, w którą formacja Giertycha ochoczo weszła i w którą posunęła się dość daleko. Rozpaczliwe, bo sensacja o rzekomym „dogadaniu" Łukaszenki ma się nijak do największego problemu liberalnej lewicy: jednoznacznego, wręcz histerycznego przyjęcia narracji „refugees welcome" – czyli zachowanie dokładnie sprzeczne z ową „naturalną reakcją każdego Polaka".

POLSKIE PĘKNIĘCIE

Rzecz w istocie trudno wyrazić w kategoriach racjonalnej polityki. Zachowanie opozycji wyrządziło Polsce wymierne szkody – fakt, że główny ciężar ataku Łukaszenki przesunął się z krajów bałtyckich na Polskę, niewątpliwie jest skutkiem ochoczego podchwycenia przez polską opozycję i jej media Łukaszenkowskiej propagandy. W przeciwieństwie do Litwy i Łotwy Polska, stuknięta imigracyjnym młotem, nie okazała spoistości, przeciwnie – głębokie pęknięcie. Politycy liberalnej lewicy, celebryci, elity artystyczne i akademickie okazali się tak przepełnieni nienawiścią do rządzącego PiS (a raczej do tego, co w ich oczach PiS reprezentuje, czyli do polskiego patriotyzmu, religijności i tradycji), że ochotniczo wzięły udział w operacji „Śluza" w roli „piątej kolumny" białoruskiego satrapy.

Ale to może już nie dziwić – przywykliśmy, że opozycja hołduje zasadzie „im gorzej, tym lepiej", zakładając, że znienawidzony PiS można będzie odsunąć od

eprasa.pl ad4328f552

zdrady

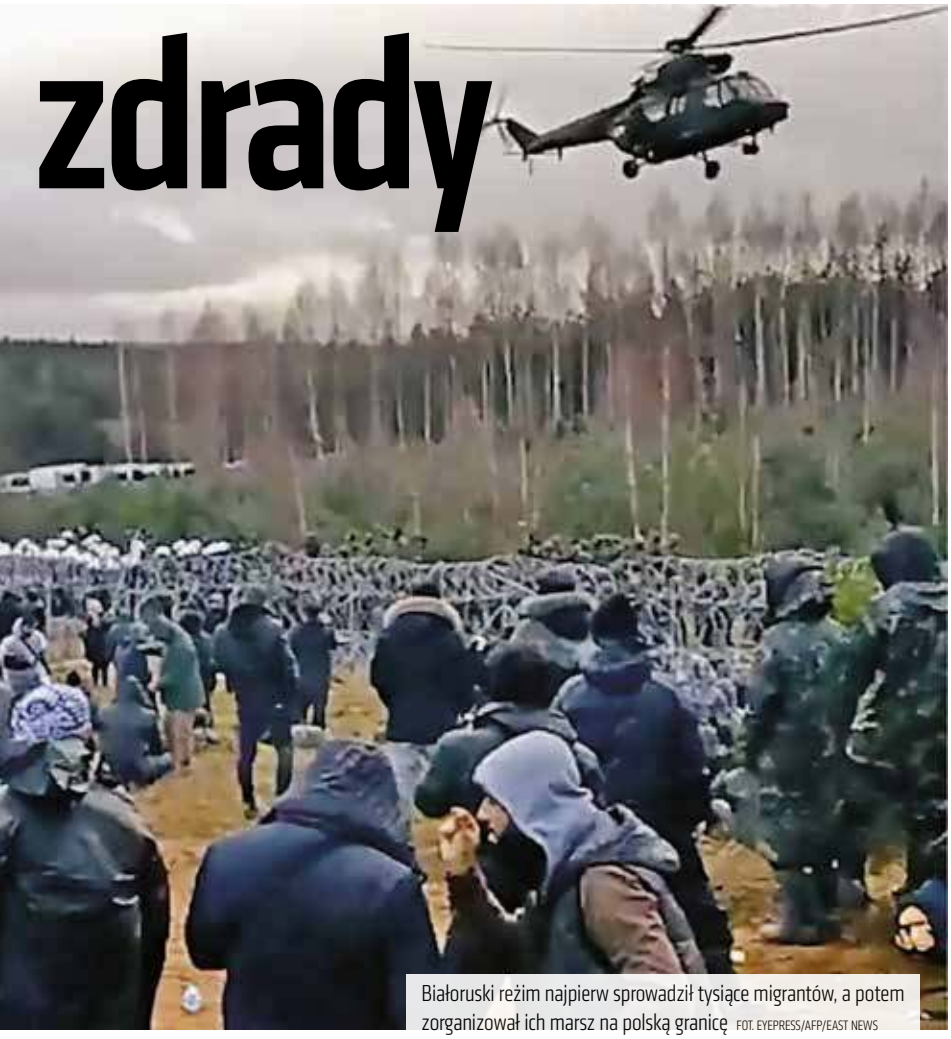

Białoruski reżim najpierw sprowadził tysiące migrantów, a potem zorganizował ich marsz na polską granicę FOT. EYEPRESS/AFP/EAST NEWS

władzy wyłącznie wtedy, gdy Polacy odczują znaczące pogorszenie życia. Tym, co dziwi, jest fakt, że opozycja znacznie bardziej niż rządzącym zaszkodziła sobie samej.

Od pierwszej chwili narracją stacji TVN24 oraz innych mediów obsługujących emocje liberalno-lewicowej „bańki" i zarazem je kreujących stała się linia propagandy Łukaszenki i Putina. Szturmujący granice to „uchodźcy" (do dziś opozycyjne media dodają uparcie „z Afganistanu", choć dawno już zostało udowodnione, że to nieprawda), których Polska ma obowiązek wpuścić i zaopiekować się nimi. Pomijając już nawet prawnicze łamańce mec. Dubois, Pietrzaka i samego Giertycha, ważniejszy od sytuacji prawnej nielegalnie znajdujących się na polskiej ziemi obywateli państw Bliskiego Wschodu z białoruskimi wizami pobytowymi ma być obowiązek „moralny". Nie udzielając azylu proszącym o niego uchodźcom, polski rząd i Polacy „nie zdają egzaminu z człowieczeństwa" i zasługują na najwyższą pogardę, a wykonujący „nieludzkie" polecenia władzy pogranicznicy i żołnierze stają się mordercami kobiet i dzieci, takimi samymi jak hitlerowskie Einsatzgruppen.

MORALNY AMOK

Do momentu, gdy napór migrantów ograniczał się do granic łotewskiej i litewskiej, lewicowo-liberalne media relacjonowały sprawę w tonie spokojnym i rzeczowym, z sympatią dla zaatakowanych przez Łukaszenkowski reżim Bałtów. W chwili, gdy rzekomi uchodźcy pojawili się pod polskim Usnarzem, zaczął się moralny amok. Powtarzanie „duszoszczypatielnych" opowiastek, płynących z propagandowych młynów w Mińsku i Moskwie, o rozłączonych rodzinach, zmarzniętych dzieciach, rodzących w polu matkach, o bezwzględności wypychających ich z Polski pograniczników, szybko wprawiło lewicowo-liberalne salony w stan histerii. „Artyści" zarzucili media obrazkami, na których „uchodźców" wpisywano w obrazy Matki Boskiej i Świętej Rodziny, a krzyż i granice Polski w druty kolczaste, „intelektualiści" zarzucili je pseudoszlachetnymi apelami, w których – również wzorem mediów Łukaszenki – rzekome zbrodnie popełniane przez Polaków na „uchodźcach" połączono z od dawna insynuowanym Polakom „zabijaniem Żydów" w czasie ostatniej wojny. „Gdy patrzę na to, co robimy na granicy, zaczynam rozumieć, jak mogło dojść do Holokaustu" – zaczęły jedna po drugiej deklarować celebrytki na swoich społecznościowych profilach. Stan skrajnej furii, do którego doprowadziła się znana z reklam telefonii komórkowej i seriali celebrytka, która bluzgnęła wulgarnymi słowami z mnóstwem wykrzykników, pokazuje, do jakiego stopnia środowiska antypisowskie zdołały nakręcić się w nienawistnych wobec Polski emocjach.

Przejawiały się one nie tylko w sposób groteskowy, jak owe bluzgi celebrytek, palenie „pomordowanym uchodźcom" zniczy pod biurami PiS czy błazeńska gala wręczenia nagród Nike z transparentami „Gdzie są dzieci?" czy „Refugees Welcome" i huraganowymi brawami dla poryków nominowanego literata o „tym faszystowskim g....., w którym tkwimy". Przybierały też formy jawnie przestępcze, takie jak próby – udaremnione na szczęście – masowego ujawniania danych osobowych żołnierzy i funkcjonariuszy oraz apele o zasypywanie „morderców" pogróżkami czy też próby manifestacyjnego niszczenia umocnień granicznych.

W tym wszystkim kompletnie zniknął głos formalnego lidera opozycji, Donalda Tuska, próbującego – niekonsekwentnie zresztą – zająć stanowisko zgodne z przekazem płynącym z Berlina i Brukseli, tym razem stanowczo odmiennym niż „herzlich willkommen" Angeli Merkel sprzed pięciu lat. Zignorowany przez lewicowo-liberalne media i salony wybrał swoją typową taktykę ucieczki, by „nie kojarzyć się" z problemem, próbował odwrócić uwagę od granicy ku polexitowi, a potem tragedii ofiary błędu lekarzy z Pszczyny, wreszcie przyjął przekaz podobny jak cytowany na wstępie Giertych i oskarżył PiS, że z całej sytuacji czerpie polityczne korzyści, zwiększając swą popularność.

To oczywiście fakt, ale nie wynika on przecież z niczego innego, tylko właśnie z opisanej wyżej histerii środowisk antypisowskich, idącej najdokładniej pod prąd oczekiwaniom i nastrojom społecznym.

eprasa.pl ad4328f552

Osobną sprawą, którą wystarczająco już na naszych łamach wyjaśnialiśmy, by tu zajmować się nią po raz kolejny, jest fałszywość wszystkich przesłanek i haseł owej histerii – rzekomi „uchodźcy" nie są uchodźcami, migrantów nikt nie wywozi do lasu, tylko sami się tam kryją, by nie zostać zatrzymanymi przez Polaków, bo to zamyka drogę do niemieckich zasiłków, nie są to kobiety i dzieci, wykorzystywane tylko cynicznie jako żywe tarcze, ale w miażdżącej większości mężczyźni w wieku poborowym, a cały proceder jest drobiazgowo zaplanowany i kontrolowany przez zajmującą się nielegalnym przerzutem ludzi mafię etc. Zostawmy to na boku. Najciekawszy jest mechanizm, który doprowadził do politycznego samobójstwa lewicowo-liberalnej opozycji i to samobójstwa, by użyć policyjnej formuły, „ze szczególnym udręczeniem".

O tych sprawach także wielokrotnie na naszych łamach pisaliśmy, wskazując poszczególne elementy budujące spiralę obłędu – ale oto wszystkie one właśnie połączyły się i dały efekt, którego już w żaden sposób odwrócić się nie da.

BŁĄD PLATFORMY

Fatalnym błędem PO okazuje się pójście na łatwiznę – oddanie rządu dusz nad swoim elektoratem antypisowskim mediom. Media ze swej natury mają interesy odmienne od polityków. Partia, aby wygrać wybory, musi zebrać 4–5 mln głosów. Całodobowa telewizja informacyjna walczy o widownię mniejszą o rząd wielkości, a gazeta czy tygodnik w najlepszym wypadku o 100 tys. odbiorców. Media skupiają się więc na budowaniu wąskiej grupy oddanych sobie wyznawców, a żeby mocniej ich związać ze sobą, starają się maksymalnie podkręcać ich emocje. Przekonywanie niezdecydowanych takich „tożsamościowych" mediów nie interesuje, bo ci i tak ich nie kupują ani nie włączają.

Natomiast partia polityczna musi skupiać się właśnie na niezdecydowanych, umownie nazywanych „wyborcami centrowymi", bo to oni decydują o ostatecznym wyniku, a ci „tożsamościowi" zagłosują na „swoich" i tak, jako że nie mają na kogo przenieść swojego głosu.

Tymczasem po roku 2015 PO i inne partie liberalnej lewicy zachowywały się tak, jakby udział w wyborach brali wyłącznie „targetowi" odbiorcy TVN, „Gazety Wyborczej" i mediów Ringier Axel Springer. Licytowali się w radykalizmie, by zasłużyć na pochwałę „swoich" mediów, aż całkowicie oddali im tworzenie opozycyjnej narracji. Siłą rzeczy, narracja ta musiała ulec skrajnej radykalizacji, zamykając trwale opozycję we własnej „bańce".

Jakież to emocje obsługiwały zaś antypisowskie media? Emocje środowisk, które uważają się za opiniotwórcze elity, których opiniotwórczość została w 2015 r. i kilkakrotnie później zakwestionowana przez wyborców i które dotąd zmagają się z wywołaną tym traumą. Znany doskonale psychologii mechanizm kompensacji sprawił, że sposobem radzenia sobie z tą traumą stało się pielęgnowanie środowiskowego kompleksu wyższości. „Elity" i topniejąca z wolna grupa aspirującego do nich świeżego awansu społecznego lat 90. pogrążyły się jeszcze głębiej w urojeniu wyższościowym, które właśnie było przyczyną ich odrzucenia przez „klasy niższe".

Ponieważ w sprawach wymiernych odrzucenie i klęska były oczywiste, naturalną koleją rzeczy urojenie owo bazować musiało na sprawach niewymiernych – głównie na poczuciu moralnej i etycznej wyższości, której przypisanie sobie u zarania III RP legło u podstaw zjawiska „michnikowszczyzny". Polski ciemnogród odrzucił nas, światłych, odnoszących sukcesy, dorównujących wymogom europejskości, bo jesteśmy dla niego za dobrzy. W takim ujęciu imperatywem najwyższym jest pielęgnowanie w sobie tego, co odrzucone – bez kalkulowania, bez oglądania się na skutki i na sens. A nawet wręcz przeciwnie – trzeba robić właśnie to, co idzie wbrew nikczemnym oczekiwaniom tłuszczy. Kłuć ją w oczy moralną wyższością.

MOTŁOCH I MORALNA WYŻSZOŚĆ

Sprawa uchodźców okazała się do tego nadawać idealnie, nawet gdy porzuciły ją już, dotąd zawsze będące wzorcem, liberalne salony Zachodu. Kłucie w oczy ciemnych Polaków katolików ich własnymi symbolami, przy jednoczesnym unoszeniu się nad własną dobrocią, to przecież nic innego niż odnowienie dyskursu, w którym żądający rozliczeń z komunizmem czy lustracji byli ciemnym, żądnym zemsty i „polowań na czarownice" motłochem, a piewcy amnezji i „historycznego kompromisu" tymi moralnie lepszymi, bo zdolnymi „przebaczać" i „szukać porozumienia ponad podziałami". Tylko że to, co było kiedyś, w czasach potęgi michnikowszczyzny skutecznym propagandowym szablonem, teraz uwięziło jej resztki w przeciwskuteczności.

A zarazem, wskutek opisanej wyżej abdykacji opozycji, której zwyczajnie nie chciało się tworzyć narracji wykraczającej poza proste „PiS to zło" i strategii mądrzejszej niż „PiS szybko minie, wystarczy poczekać, aż ludzie się opamiętają", zaczął działać mechanizm opisany potocznym powiedzonkiem o ogonie kręcącym psem. Licytujące się w radykalizmie redakcje oddały władzę nad całą opozycją coraz bardziej szalonym radykałom, odstraszającym normalnych Polaków coraz bardziej agresywną i wulgarną retoryką oraz projektującym coraz to mniej akceptowane przez ogół sposoby okazania przez wąską elitę wyższości nad polskim motłochem.

Jeśli w nienawiści do PiS można było posunąć się poza granice zdrady, to chyba nie ma już powrotu do sojuszu z normalnością

Fakt, że Tusk po swym powrocie całkowicie się temu poddał, raczej starając się szaleńcom ze swego obozu schodzić z drogi, niż się im przeciwstawiać, wskazuje, że proces jest już nie do zatrzymania, a tym bardziej nie do odwrócenia. Jeśli w nienawiści do PiS, przeniesionej na nienawiść do Polski, można było posunąć się poza granice zdrady, bo przecież atakowanie żołnierzy i strażników, którzy bronią kraju przed agresją wschodniego satrapy zasługuje na to miano niewątpliwie, to chyba nie ma już powrotu do sojuszu z polską normalnością. Jeśli Tuskowi wydaje się, że najpierw, biorąc udział w licytacji na radykalizm i wygrywając ją, zmarginalizuje rywali do przywództwa w antypisie, a potem przed wyborami powtórzy manewr Kaczyńskiego z roku 2015, chowając radykałów i wystawiając na front jakieś nowe, sympatyczne i niezgrane twarze, to się poważnie myli. Nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

JAK BYĆ PRAWDZIWYM ŚWIADKIEM CHRYSTUSA W OBLICZU KRYZYSU KOŚCIOŁA?

~~22,90~~
17,90

Jakże niewielu jest dziś biskupów dostrzegających głęboki kryzys Kościoła! Pasterzy, którzy chcąc ratować swe owce, mówią „tak, tak – nie, nie"! Biskup Strickland należy właśnie do tej kontrrewolucyjnej mniejszości. I dlatego warto go czytać.

Krystian Kratiuk
dziennikarz i publicysta

Odbierz dodatkowy rabat*

5%

na hasło:
DO RZECZY

Zapisz się do Katalogu Dobrych Książek i otrzymuj specjalne gratisy oraz promocje! Zamów książkę na **www.esprit.com.pl** lub zamów telefonicznie: **12 267 05 69**. Darmowa dostawa od 99 zł.

*Kod rabatowy ważny do 30 listopada 2021

eprasa.pl ad4328f552

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

Polityk z przyszłością

Kamila Baranowska

Mariusz Błaszczak odkąd został szefem MON, buduje wizerunek polityka stworzonego do piastowania najwyższych urzędów w państwie. Z urzędem premiera włącznie

Plotki o tym, że to właśnie Mariusz Błaszczak jest politykiem, który w razie sytuacji kryzysowej mógłby zastąpić na stanowisku premiera Mateusza Morawieckiego, wracają co jakiś czas. Ostatnio znów z większym nasileniem. Nawet jeśli dzisiaj jest to mało prawdopodobne, to już same te spekulacje pokazują, jak długą drogę w dość krótkim czasie przeszedł Mariusz Błaszczak. Przynajmniej wizerunkowo, bo realnie Błaszczak zawsze znaczył w PiS dużo.

Wizerunek Błaszczaka nadwyrężył satyryczny serial kabaretowy „Ucho Prezesa", w którym obecny szef MON został przedstawiony jako kapciowy prezesa – nieposiadający własnego zdania, ślepo zapatrzony w swojego szefa i zawsze bez szemrania realizujący jego polecenia, a do tego nieporadny i niezbyt lotny. Choć politycy PiS podkreślali, że to karykaturalny i mocno przerysowany obraz, to po cichu sami się podśmiewali i przyznawali, że ta łatka przyklei się do Błaszczaka na długo. „Ucho Prezesa" było emitowane od 2017 do 2019 r. Dziś, w roku 2021, mało kto już pamięta o tamtym Błaszczaku. Dziś Błaszczak to szef MON, który nadzoruje obronę granicy polsko-białoruskiej i przygotowuje wielką reformę armii. Wycofany i skupiony wyłącznie na sprawach obronnych, w mediach wypowiadający się jedynie na tematy związane z pełnioną funkcją, trzymający się z daleka od bieżących politycznych przepychanek. I to przynosi efekty. W ostatnim październikowym sondażu zaufania do polityków Błaszczak uplasował się na wysokim czwartym miejscu. Jest też jednym z zaledwie kilku polityków, którzy zebrali więcej ocen pozytywnych niż negatywnych (34 do 30 proc.).

O takich politykach jak Błaszczak często mówi się, że buduje ich urząd, który sprawują. – On jest bardzo konsekwentny w tym, co robi. Skupił się na pracy w resorcie i buduje swój wizerunek jako hiperprofesjonalisty, który w każdej chwili może wskoczyć wyżej. Jeśli dodamy do tego jego relację z Kaczyńskim, to można powiedzieć, że jego polityczna siła jest dzisiaj dużo większa, niż się wszystkim wydaje. Ludzie spoza PiS go często lekceważą, to błąd – ocenia polityk PiS.

MŁODZIEŻÓWKA PC

W samym PiS nikt Błaszczaka od dawna nie lekceważy. Jego siłą była i jest lojalność względem prezesa Kaczyńskiego. Często z rozpędu jest zaliczany do frakcji tzw. zakonu PC, czyli polityków, którzy towarzyszyli braciom Kaczyńskim od samego początku ich politycznej drogi, a często znali się jeszcze z czasów Solidarności. Tymczasem Błaszczaka Kaczyńskiemu miał przedstawić śp. Przemysław Gosiewski jako młodego, zdolnego działacza młodzieżówki Porozumienia Centrum. – Pamiętam pana ministra jako działacza młodzieżówki Porozumienia Centrum. Z jego pracy jestem bardzo, ale to bardzo zadowolony. Ten awans jest po prostu swego rodzaju nagrodą – zachwalał go Jarosław Kaczyński, gdy w 2007 r.

eprasa.pl ad4328f552

Błaszczak z szefa kancelarii premiera (był nim wówczas Jarosław Kaczyński) przechodził do pracy w Kancelarii Prezydenta u Lecha Kaczyńskiego. Sam Błaszczak też nawiązał wtedy do początków swojej politycznej działalności. – W PC spełniałem swoje marzenia o polityce, o tym, że Polskę można zmieniać. Moją olbrzymią radością jest, że doczekaliśmy tych dni, że naprawdę rząd PiS może Polskę zmienić. Chcę realizować wszystko, co realizuje rząd premiera Jarosława Kaczyńskiego – podkreślał.

Błaszczak po studiach zatrudnił się w Urzędzie Miasta Legionowa, skąd pochodzi. Startował nawet w wyborach na prezydenta tego miasta, ale bezskutecznie. Wiedząc, że chce pójść w kierunku polityki i samorządu, dokształcał się intensywnie w tym zakresie – zrobił studia podyplomowe z zakresu samorządu i rozwoju lokalnego na UW i z zarządzania w administracji w Wyższej Szkole im. Leona Koźmińskiego, szkolił się także w Krajowej Szkole Administracji Publicznej, kształcącej przyszłych urzędników państwowych. Jego samorządowa kariera nabrała rumieńców, gdy trafił do Warszawy. Za czasów Lecha Kaczyńskiego był wiceburmistrzem Woli i burmistrzem Śródmieścia, później zasiadał jeszcze w sejmiku mazowieckim.

Cały czas ciągnęło go jednak do większej polityki. W 2005 r., gdy wybory wygrał PiS, Błaszczak nie dostał się do Sejmu. Jarosław Kaczyński i tak powierzył mu jednak ważne i prestiżowe stanowisko szefa KPRM, gdzie miał być jego oczami i uszami, monitorującymi pracę premiera Kazimierza Marcinkiewicza.

– Dla mnie to był wtedy nieznany człowiek [...], Jarosław Kaczyński postanowił, że chce mieć wpływ na to, co się dzieje u mnie – wspominał po latach Kazimierz Marcinkiewicz w rozmowie z Wirtualną Polską. – Był w miarę sprawny, nie miałem z nim problemów ani też nie miałem z nim większego kontaktu – dodawał.

SPRAWY ZAŁATWIAĆ PO CICHU

Jarosław Kaczyński już wtedy postrzegał Błaszczaka nie tylko jako lojalnego współpracownika, lecz także sprawnego polityka. Zresztą prezes PiS mówi, że ma w partii całe pokolenie sprawnych 50-latków, które obok Błaszczaka tworzą postaci takie jak urzędujący premier Mateusz Morawiecki, Joachim Brudziński czy Jacek Sasin. O trudnych relacjach Błaszczaka z tym ostatnim krążą w PiS prawdziwe legendy. Mówiąc eufemistycznie, między Sasinem a Błaszczakiem specjalnej chemii nie ma, co jest o tyle ciekawe, że obaj znają się jeszcze z czasów studiowania na tym samym Wydziale Historii UW. Potem ich drogi skrzyżowały się w samorządzie – Sasin był zastępcą Błaszczaka, gdy ten był burmistrzem warszawskiego Śródmieścia. – Studiowali historię na tym samym wydziale w tym samym czasie. Sasina pamiętają wszyscy, bo rzucał się w oczy, był dość popularny. Błaszczak zawsze stał gdzieś z tyłu, mało kto go zapamiętał – opowiada nam jeden z polityków PiS. Konkurowali więc od zawsze. Choć – jak dodaje mój rozmówca – gdyby Błaszczak naprawdę nie cierpiał Sasina do tego stopnia, jak opisują to media, to dużo wcześniej zadbałby o to, by przyblokować jego karierę. Bo wpływy i pozycję u Kaczyńskiego przez lata miał nieporównanie mocniejsze.

W PiS mówią, że Błaszczak zwyczajnie nie lubi konfliktowych sytuacji, bo to nie leży w jego charakterze, woli załatwiać swoje sprawy po cichu, bez medialnego rozgłosu. Tak było, gdy na stanowisku szefa MON zastąpił Antoniego Macierewicza. – Była dziwna sytuacja, bo Macierewicz był nadal szefem komisji smoleńskiej i nie chciał się wynieść z Klonowej, gdzie urzędował jako szef MON. Nie pomagały ponaglenia i prośby. Sprawa zaczęła już przewijać się w mediach, więc było ryzyko skandalu. Błaszczak rozegrał to, oznajmiając, że przenosi główną siedzibę MON do budynku przy al. Niepodległości, i wszyscy przyjęli to do wiadomości, nie łącząc tego z Macierewiczem. Błaszczak nie chciał z nim otwartej wojny, uznał, że po prostu z różnych względów nie warto – opowiada nam polityk partii rządzącej.

Błaszczak przez lata budował swoją pozycję w PiS, także dbając o własne zaplecze polityczne, które zaczął budować, rządząc warszawskimi strukturami PiS. Obudował się młodymi działaczami, radnymi i samorządowcami, którzy zawdzięczają mu kariery i stanowiska.

– Dla dziennikarzy holowanie swoich ludzi to zawsze powód do krytyki, ale w polityce takie rzeczy budzą raczej uznanie. Kiedy Jarosław Kaczyński powołał Błaszczaka na stanowisko szefa MSWiA, wiedział, że on wejdzie do resortu razem ze swoimi ludźmi, którzy są sprawdzeni i zaufani. Podobnie było, gdy przeszedł do MON, tam też wszedł od razu z całą ekipą – mówi nasz rozmówca z PiS. Dziś jego ludzie są nie tylko w MON, lecz także w spółkach zbrojeniowych, innych spółkach Skarbu Państwa (np. Poczcie Polskiej) czy na wojskowych uczelniach. Choć nadzorem nad zbrojeniówką musiał podzielić się z Sasinem i jego superresortem aktywów państwowych, to wywalczył sobie, że to MON odpowiada za ich obsadę kadrową. Rozległe wpływy Błaszczaka w rozmaitych spółkach szczegółowo opisał portal Onet we wspólnym śledztwie z „Gazetą Wyborczą" i Radiem Zet.

Wynika z niego, że o to, by pozostawały nienaruszone, Błaszczak musiał walczyć nie tylko z Sasinem, lecz także ze wspierającym go Mateuszem Morawieckim.

WYMIANA CHWILOWO WSTRZYMANA

Z premierem Błaszczak relacje ma poprawne. Ostatnio w mediach dominują przekazy i zdjęcia obu polityków ramię w ramię współpracujących podczas kryzysu na granicy. Chwilowo ich współpraca przysłoniła spekulacje o wymianie Morawieckiego na Błaszczaka. Rozpytywaliśmy w PiS, na ile to realny scenariusz. Na razie mało kto w niego wierzy. Morawiecki ma wciąż pełne poparcie prezesa i obiektywnie nie ma dziś powodów, by miał dokonywać nagłych zmian. Choć, jak twierdzą niektórzy, sytuacja może być dynamiczna. – Nie wiadomo, co dalej z pieniędzmi z Unii, nie wiadomo, co jeszcze jest w e-mailach, wiadomo zaś, że ostatnia rekonstrukcja to było przycięcie wpływów Morawieckiego. Partia takie rzeczy odnotowuje, więc nie dziwią pojawiające się spekulacje – mówi nam polityk PiS. – To się nie może udać – zaprzecza inny z naszych rozmówców. – Błaszczak przy wszystkich swoich partyjnych zasługach nie ma tego czegoś, co powinien mieć kandydat na premiera, jest nudny, nie da się wokół niego zbudować żadnej narracji, żadnej opowieści dla ludzi – wskazuje. I dodaje: – Za Beatą Szydło stała opowieść o społecznym wymiarze polityki i pomocy zwykłym ludziom, za Morawieckim opowieść o rozwoju, stawianiu na gospodarkę i relacje międzynarodowe. Jaką ciekawą i atrakcyjną wyborczo historię można wykreować wokół Mariusza Błaszczaka? – pyta retorycznie.

Obserwując jego ostatnie zaangażowanie w reformę armii oraz w konflikt na granicy, można odnieść wrażenie, że pierwsze kroki, by to zmienić, zostały właśnie poczynione.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Politycy opozycji wylegli na ulice z hasłem „Ani jednej więcej" FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Proaborcyjne dezinformacje

Tomasz Rowiński

Po śmierci młodej kobiety w Pszczynie opozycja postanowiła zagrać aborcyjną kartą, by kolejny raz wyprowadzić ludzi na ulicę. Dezinformowano też na temat sytuacji prawnej w Polsce w kwestii ochrony życia i zdrowia matki oraz dziecka w prenatalnej fazie życia

Zacznę od wypowiedzi może nie autorytatywnej, ale ważnej w kontekście wrześniowej tragedii w Pszczynie, gdzie w szpitalu zmarła kobieta i jej mające się zaraz urodzić dziecko. – „Jestem daleka od sformułowania, że śmierć tej pacjentki to prosta konsekwencja wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Sformułowanie »konsekwencja« oznacza zależność przyczynowo-skutkową, czyli gdyby nie wyrok, to pacjentka by nie zmarła. O takim związku nie możemy tutaj mówić" – powiedziała mec. Jolanta Budzowska, pełnomocnik rodziny zmarłej. Tymczasem w imię tej właśnie sprawy politycy opozycji – głównie Koalicji Obywatelskiej i Lewicy – zmobilizowali swoje elektoraty do manifestacji atakujących wyrok TK, obóz władzy i obrońców życia.

Włodzimierz Czarzasty 7 listopada mówił: „Oceniam to jednoznacznie. Po pierwsze, Prawo i Sprawiedliwość z tchórzostwa nie zajęło się projektem zaostrzenia prawa aborcyjnego. PiS bał się ludzi na ulicach, kobiet, środowisk opozycyjnych. W związku z tym przeprowadził to przez dyspozycyjny wobec partii rządzącej Trybunał Konstytucyjny. Zmienione zostało prawo. I to prawo niesie śmierć. Lekarze po prostu boją się podejmować interwencję. I boją się nie tego, że popełnią błąd, ale PiS-owskich siepaczy, którzy tych lekarzy wsadzić będą chcieli do więzienia. Ja już rok temu, gdy prawo to zostało ustanowione, mówiłem, że zasiano śmierć. Teraz nadszedł czas żniw. Mamy pierwszy przypadek".

Swoją opinię wyraził także lider KO Donald Tusk, pisząc: „Jesteśmy świadkami zrzucania odpowiedzialności na lekarzy. Lekarze są także w jakimś sensie ofiarami tego nieludzkiego prawa i podejścia do kwestii ciąży, matki, płodu".

Najdalej posunęła się Barbara Nowacka z KO, która próbowała rozszerzyć trwającą w mediach awanturę o jeszcze jeden tragiczny przypadek. „Anna ze Świdnicy. Zmarła w czerwcu. »Kazali jej rodzić martwe dziecko« – mówi mąż. Kaczyński, Przyłębska, fanatycy, PiS i Konfederacja – o to Wam chodziło?" – napisała polityk. Odpowiedział jej Krzysztof Bosak z Konfederacji, demaskując ewidentną wrzutkę

eprasa.pl ad4328f552

mającą podgrzać jeszcze atmosferę: „Jest Pani hieną, sugerując, że ta śmierć była przez wyrok TK. Gdyby porozmawiała Pani z lekarzami, zamiast szczuć, to dowiedziałaby się Pani, że czasami mimo najlepszych wysiłków takiego nieszczęścia nie da się uniknąć. PS W artykule [linkowanym przez Nowacką – przyp. red.] nie ma sugestii, że przyczyną śmierci było prawo" – napisał jeden z liderów Konfederacji.

CO NAPRAWDĘ STAŁO SIĘ W PSZCZYNIE?

Przyjrzyjmy się teraz kolejności zdarzeń w Pszczynie. Kobieta i jej dziecko zostali przyjęci do szpitala 21 września, ponieważ matce odeszły wody płodowe. Dziecko żyło, jednak dzień potem stwierdzono jego obumarcie. W związku z tym przeprowadzono cesarskie cięcie, po którym – tego samego dnia – kobieta zmarła. Sekcja zwłok wykazała, że doszło do wstrząsu septycznego.

„Cały czas zgłaszała, że się źle czuje – mówiła mediom jedna z kobiet, które przebywały na oddziale ze zmarłą. – Lekarz mówił jej, że nie widzi nic niepokojącego. Potem znowu gorączka i kroplówka, i nic więcej. W nocy klęczała na ziemi i wymiotowała. Powiedzieli jej, że ma wejść na łóżko, bo pacjentki muszą się wyspać i być wypoczęte. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że Iza zmarła. Dla mnie to jest bulwersujące, karygodne, ona mogła żyć. Gdyby lekarze podjęli działania, gdyby się nią zaopiekowano. Pozostawiono ją samą sobie".

Mecenas Budzowska także szerzej skomentowała sprawę: „W tym przypadku lekarze czekali na obumarcie płodu. A dlaczego właściwie tak zrobili? Czekali prawdopodobnie dlatego, żeby uniknąć zarzutu o dokonanie nielegalnej aborcji. Znaczy, że bali się i nie skorzystali z tej możliwości". Jednocześnie zaraz dodała uzupełniającą ocenę okoliczności: „Lekarze od pierwszej godziny zdawali sobie sprawę z grożącego zakażenia septycznego. Płód i tak nie miał szans na przeżycie w ocenie lekarzy, podkreślam lekarzy ze szpitala w Pszczynie, a zatem usunięcie płodu byłoby zgodne jak najbardziej z przepisami, tylko wymagało decyzji od lekarzy".

„W chwili obecnej lekarze nie pełnią w placówce swoich obowiązków" – mogliśmy przeczytać w komunikacie wydanym 5 listopada przez szpital.

O tym, że problem prawdopodobnie leży gdzieś zupełnie indziej, napisała 8 listopada w mediach społecznościowych Katarzyna Gęsiak z Ordo Iuris: „Tragedia w Pszczynie wskazuje na naglącą potrzebę głębokiej reformy służby zdrowia i rzetelnej edukacji prawnej jej pracowników. Do podobnych wniosków doszli śledczy w Irlandii po równie tragicznej śmierci ciężarnej pacjentki w 2012 r.".

JAKI JEST STANDARD?

Ministerstwo Zdrowia wydało 7 listopada komunikat, który przypominał lekarzom, jakie są standardy reagowania w sytuacji zagrożenia życia zdrowia matki i dziecka.

„W przypadku sytuacji zagrażającej życiu lub zdrowiu kobiety (np. podejrzenia zakażenia dotyczącego jamy macicy, krwotoku itp.) zgodne z prawem jest niezwłoczne zakończenie ciąży w oparciu o obowiązujące przepisy Ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży (Dz.U. nr 17, poz. 78 z późn. zm.). Ustawa ta wprost wskazuje na przesłankę zagrożenia życia lub zdrowia matki. Trzeba podkreślić, że są to przesłanki rozłączne. Wystąpienie tylko jednej z nich jest wystarczającą prawną przesłanką do podjęcia reakcji przez lekarza. Oczywiste jest, że pacjentka na każdym etapie prowadzenia ciąży musi być informowana o aktualnych ryzykach związanych ze zdrowiem i życiem" – czytamy w nim.

Nie można jednak sprowadzać możliwości ratowania zdrowia i życia kobiety do wykonywania aborcji. Logika ustawy o ochronie życia opiera się na zasadzie podwójnego skutku. To znaczy, że nawet gdyby Trybunał Konstytucyjny uznał, że żadna z dwóch przesłanek do aborcji – które są przecież odstępstwem od ochrony życia – nie jest zgodna z polską ustawą zasadniczą, to i tak kobieta ma prawo do tego, by podjęto wobec niej wszystkie konieczne działania mające ratować jej życie.

Zasada podwójnego skutku dopuszcza np. sytuację usunięcia macicy zaatakowanej przez nowotwór, nawet gdy kobieta jest w ciąży. Oznacza to śmierć dziecka. Niepodjęcie działań medycznych mogłoby spowodować bowiem śmierć zarówno matki, jak i dziecka. W przypadku aborcji celem jest po prostu zabicie nienarodzonej jeszcze osoby, której życie jest traktowane przedmiotowo. Warto zauważyć, że samo zabicie dziecka nie rozwiązuje problemu medycznego trudnej sytuacji okołoporodowej. Zasada podwójnego skutku mówi, że podstawą muszą być działania terapeutyczne i ratunkowe ukierunkowane, jeśli tylko to możliwe, na życie matki i dziecka. Śmierć dziecka może być najwyżej niezamierzonym, choć czasem przewidzianym skutkiem działań ratunkowych matki. Jednocześnie, gdy prawo uniemożliwia stosowanie automatyzmu aborcyjnego w trudnych sytuacjach, potrzeba, by państwo pomogło lekarzom w wypracowywaniu lepszej kultury proporcjonalności środków ratunkowych. Także podniosło ich rozumienie praw pacjenta, ale i lekarza, o czym mówiła cytowana wcześniej Katarzyna Gęsiak.

Zapobiegłoby to ewentualnym przypadkom „efektu mrożącego", który oznacza zaniechanie dostępnych możliwości działania ze względu na zagrożenie konsekwencjami prawnymi. Z opisu wydarzeń, jak również z opinii prawnego pełnomocnika rodziny nie wynika, by do tego doszło właśnie w Pszczynie. Niebezpieczeństwo wystąpienia takich sytuacji jest jednak możliwe przede wszystkim z powodu kłamstw rozsiewanych masowo przez liberalnych i lewicowych polityków, potem bezrefleksyjnie powtarzanych w mediach społecznościowych.

W roku 2016, gdy w Sejmie debatowano o projekcie „Stop aborcji", równocześnie opozycja i feministki przekonywały społeczeństwo, że kobiety będą karane za poronienia. Od sprawy wyroku TK jest podobnie. Tak długo powtarzano, że kobiety rzekomo nie będą ratowane z powodu wycofania przesłanki eugenicznej, że wierzy w to dziś wielu Polaków. A to oznacza, że informacja o podstawowym prawie do ratowania życia dziecka i matki w sytuacji ciąży jest poddawana metodycznej dezinformacji. Jeśli – co byłoby przerażające – tej proaborcyjnej propagandzie mieliby ulegać też lekarze, to odpowiedzialność moralna i polityczna powinna spaść na tych, którzy to kłamstwo szerzą. Na pewno za tym kłamstwem i ewentualnym „efektem mrożącym" nie stoją środowiska pro-life, które – często bezskutecznie z powodu obojętności mediów liberalnych – starały się po wyroku TK roku dotrzeć do społeczeństwa z prawdziwymi informacjami na temat praw kobiet i ich dzieci.

Brutalnie, ale nie bez racji sprawę podsumował w mediach społecznościowych Rafał A. Ziemkiewicz: „Odpowiedzialny za jej śmierć jest konował-lewak, który ma profil w necie pełen piorunków, tęcz i ośmiu gwiazdek. Kto jest winny? PiS i Kościół". To także część prawdy o dzisiejszej Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Katolicyzm

Paweł Chmielewski

Wiara chwieje się na naszych oczach, także w Polsce. Dlatego pilnie potrzeba działań ożywiających pobożność i wiarę opartą na Tradycji Kościoła

Globalny synod o synodalności trwa w najlepsze – także w Polsce. Zgodnie z oczekiwaniami Stolicy Apostolskiej ważnym elementem debaty o przyszłości Kościoła jest ekumenizm. Do znamiennego wydarzenia doszło w pierwszych dniach listopada na Jasnej Górze. Na zorganizowanym tam forum „Impuls" obok trzech biskupów i wielu znanych publicystów wystąpili też przedstawiciele środowisk charyzmatycznych. Inicjatywa jest doskonałą okazją, by zadać kilka ważnych pytań o stan i perspektywy dla katolicyzmu w Polsce.

Czytelnicy tygodnika „Do Rzeczy" wiedzą doskonale, że Kościół katolicki na całym świecie znajduje się od kilkudziesięciu lat w stanie bardzo poważnego chaosu doktrynalnego i duszpasterskiego. W wielu krajach Europy najwyższe stanowiska na uczelniach katolickich zajmują osoby, które podważają fundamenty wiary. W Stanach Zjednoczonych Komunię Świętą rozdaje się politykom i aktywistom wspierającym zabijanie dzieci nienarodzonych. W Ameryce Łacińskiej katolicka teologia przesiąka nową formą marksistowskiej teologii wyzwolenia. Wszędzie szerzy się mentalny wirus permisywizmu seksualnego, który przez cynicznych manipulatorów przedstawiany jest jako antidotum na skandal wykorzystywania seksualnego. Indyferentyzm i relatywizm religijny uchodzą za właściwy wyraz procesu dialogu ze światem. Także w Polsce wiara chwieje się na naszych oczach. Łatwość i szerokość przyjęcia praktyki udzielania Komunii Świętej na rękę pokazały, jak zatrważająco płytkie jest rozumienie sakramentów i historii Kościoła.

CHAOS I KONFUZJA

W tej sytuacji pilnie potrzebne są działania obliczone na ożywienie pobożności i opartej na Tradycji Kościoła wiary – tak w Polsce, jak na całym świecie. W obliczu wlewających się do Kościoła szerokim strumieniem błędów, herezji, ideologii i kłamstw konieczne wydawałoby się bardzo jasne zdefiniowanie najważniejszych prawd, których intelektualna, moralna i duchowa akceptacja stanowi o byciu katolikiem. Być może gdzieś w Polsce są podejmowane przez biskupów i księży działania nakierowane na osiągnięcie takiego celu. Zorganizowane jednak dotąd ogólnokrajowe debaty w ramach Synodu Biskupów o synodalności tworzą wrażenie chaosu i tożsamościowej konfuzji. Wydaje się, że w Polsce nie jesteśmy pewni kierunku, w którym należy pójść, a nawet dajemy się kierować w gruncie rzeczy przypadkowym siłom, jeśli te mają chociaż pozór ożywczości. W ten sposób odczytuję spotkanie, które w dniach 5–7 listopada odbyło się na Jasnej Górze. Chodzi o wydarzenie „Impuls. Forum świeckich w Kościele", które zdefiniowane zostało przez organizatorów jako nakierowane na „podjęcie wezwania papieża Franciszka do odpowiedzialnego zaangażowania w proces synodalny". To inicjatywa oficjalna, bo odbywała się pod egidą Rady KEP ds. Apostolstwa Świeckich. Wzięło w niej udział trzech biskupów: Adrian Galbas, Andrzej Przybylski oraz Artur Ważny. Całość prowadził prof. Aleksander Bańka, lider Centrum Duchowości Ruchu Światło-Życie z Katowic, a zarazem delegat KEP na otwarcie Synodu Biskupów o synodalności.

Na spotkanie złożyły się liczne wykłady i debaty, w których uczestniczyli także znani księża, publicyści i dziennikarze. Chociaż forum zostało teoretycznie zaadresowane do świeckich w ogóle, to organizatorzy nie uznali za stosowne zaprosić nikogo, kto związany jest z szeroko pojętym nurtem tradycjonalistycznym – mimo że głos tego środowiska odgrywa dużą i wciąż rosnącą rolę zarówno w debacie medialnej, jak i w życiu kościelnym. Forum zostało za to zdominowane przez osoby związane ze wspólnotami charyzmatycznymi. Prelekcje wygłaszali m.in.: Karol Sobczyk, lider wspólnoty Głos na Pustyni; Michał Jeleń, lider wspólnoty Abba; Jacek Weigl z Apostolskiego Ruchu Wiary; Antoni Tompolski, członek zarządu stowarzyszenia Alfa Polska. Wszystkie te osoby, wspólnoty i organizacje są w różnym stopniu związane z protestantyzmem. Idzie zarówno o cele programowe, jak i związki personalne.

Wspomniani mówcy są istotnymi reprezentantami ruchu uosabiającego zjawisko, które określa się zwykle mianem

eprasa.pl ad4328f552

przyszłości

FOT. ADOBE STOCK

pentekostalizacji katolicyzmu. Chodzi o przyjmowanie przez katolików postaw i praktyk duchowych, które wypracowane zostały w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przez zielonoświątkowych protestantów, głównie w Stanach Zjednoczonych.

Środowiska, które zdominowały jasnogórską debatę, łączy idea przełamywania podziałów konfesyjnych na drodze, która może prowadzić do wytworzenia pewnego rodzaju chrześcijaństwa ponaddenominacyjnego. Takie chrześcijaństwo byłoby oparte głównie na emocjonalnym przeżywaniu wiary, związane z nieustannym wyczekiwaniem cudów (np. uzdrowień) i przekonaniem o wchodzeniu członków tych ruchów w bezpośredni kontakt z Duchem Świętym – na mocy różnorakich specyficznych praktyk modlitewnych i psychologicznych. Dla zwolenników ruchów charyzmatycznych różnice doktrynalne pomiędzy katolikami i chrześcijanami niekatolickimi są głęboko drugorzędne, za punkt wyjścia budowania chrześcijaństwa przyszłości czyni się nie Tradycję Kościoła katolickiego, ale wspólne przeżycia chrześcijan doświadczających lub przypisujących sobie doświadczanie szczególnego działania Ducha Świętego.

Fenomen ten zarówno w odniesieniu do Polski, jak i do świata wielokrotnie opisywał ks. prof. Andrzej Kobyliński, również na łamach tygodnika „Do Rzeczy"; do jego publikacji odsyłam czytelnika zainteresowanego szczegółami tego problemu. Tutaj wystarczy zaznaczyć, że konglomerat przekonań stanowiących trzon ruchu charyzmatycznego ma bardzo poważne implikacje dla sposobu życia wiarą katolicką. W praktyce na margines zepchnięte muszą zostać tak podstawowe zagadnienia jak na przykład: rozumienie sakramentów, zwłaszcza Eucharystii, problem czyśćca, znaczenie i rola kapłaństwa urzędowego i wiele innych.

PENTEKOSTALNA DOMINACJA

Dynamika rozwoju wspólnot zielonoświątkowych na całym świecie jest niezwykła. Prawdopodobnie niedługo to właśnie chrześcijanie pentekostalni będą liczebnie dominować na wielu kontynentach. Dotyczy to zarówno obszarów południa, Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji, jak i krajów zachodnich. Również w Polsce bardzo szybko w siłę wzrastają wspólnoty charyzmatyczne. Jasnogórskie forum „Impuls" obrazuje ich rosnący wpływ: oficjalny organ KEP wydaje się właśnie w ruchu pentekostalnym upatrywać dużych możliwości ewangelizacyjnych. Biorąc pod uwagę trendy globalne oraz pozytywne nastawienie Stolicy Apostolskiej do ruchu charyzmatycznego, biskupi mogą nabierać wyraźnej skłonności do preferowania i promowania takich grup, bardzo dobrze wpisujących się w model synodalności Kościoła.

Kościół katolicki w Polsce znajduje się w miejscu, w którym pilnie musi zadać pytanie o to, jakiego katolicyzmu chce w przyszłości. Tak jak pisałem na początku tego tekstu, w skali globalnej proces atomizacji doktrynalnej jest już daleko posunięty i cały czas przyspiesza. Stolica Apostolska przez wiele lat albo nie chciała, albo nie potrafiła temu zapobiec, dzisiaj ponadto wieloma decyzjami ten proces wzmacnia. Jeżeli Konferencja Episkopatu Polski będzie umacniać i promować ruchy charyzmatyczne, to niezależnie od ich potencjału duszpasterskiego długoterminowo doprowadzi to do silniejszego niż obecnie włączenia się Polski w główny nurt rozwoju katolicyzmu, czyli w erozję jedności doktrynalnej. W związku z cechującą te środowiska podatnością na emotywizm i subiektywizm oraz ze względu na wpisaną w nie otwartość na protestantyzm także nad Wisłą zachowywanie wiary zgodnej z całą Tradycją Kościoła okazać się może rychło zjawiskiem rzadkim i postrzeganym jako drugoplanowe. Biorąc pod uwagę wzmiankowany wyżej kontekst globalny, może to oznaczać, że po latach takiego rozwoju odbudowanie w Polsce katolicyzmu o jasno zdefiniowanych granicach będzie zadaniem niemożliwym lub przynajmniej skrajnie utrudnionym.

NIECHĘĆ DO WSPÓLNOT TRADYCYJNYCH

W najbliższych dekadach utrzymanie modelu katolicyzmu masowego znanego z ubiegłego stulecia może być niemożliwe. Trudna do przeoczenia wydaje się konieczność oparcia przyszłej ewangelizacji na indywidualizacji przeżywania wiary. Warto jednak się zastanowić, czy dotychczasowa polityka KEP w tym zakresie przysłuży się katolicyzmowi w dłuższej perspektywie. Chodzi zarówno o coraz wyraźniejsze popieranie ruchu charyzmatycznego, jak i o narastającą niechęć do wspólnot tzw. tradycyjnych, które skupiają się często – choć nie tylko – wokół liturgii trydenckiej. Wspólnoty te wprawdzie nierzadko dystansują się od wielu decyzji Stolicy Apostolskiej, co jest w obliczu obecnego kryzysu łatwo zrozumiałe. Dokładają jednak zwykle wszelkich starań, by, po pierwsze, pozostać w pełnej jedności z następcą św. Piotra, a po drugie – by akceptować w całym zakresie pełnię nieomylnego nauczania Kościoła katolickiego. Można zaryzykować twierdzenie, że to właśnie obecność tych środowisk stanowi gwarancję zachowania także w Polsce katolickiej tkanki niepodatnej na jeden z najważniejszych problemów współczesnego Kościoła, czyli rozpadu jasności rozumienia i przeżywania wiary. W aktualnym kontekście wewnątrzkościelnym otwarte wspieranie tych środowisk może być trudne. Mając jednak na uwadze przyszłość katolicyzmu w naszym kraju, ten trud, jak sądzę, warto podjąć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl ad4328f552

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Rugi profesorskie

Łukasz Warzecha

Wygląda na to, że trwająca latami batalia Andrzeja Zybertowicza o uzyskanie tytułu profesorskiego kończy się pozytywnie

Mało jest historii w życiu publicznym, które kończą się szczęśliwie. Z taką jednak mamy do czynienia w przypadku Andrzeja Zybertowicza, doradcy prezydenta Andrzeja Dudy, jednego z najpopularniejszych i najbardziej rozpoznawalnych naukowców w Polsce, który latami starał się o uzyskanie naukowego tytułu profesora.

O jego sytuacji pisaliśmy w „Do Rzeczy" dwukrotnie: w maju 2019 r. i w lipcu 2020 r. Zmieniła się ona o tyle, że w 2019 r. powołana została Rada Doskonałości Naukowej, która stopniowo przejmowała obowiązki od Centralnej Komisji ds. Tytułów i Stopni Naukowych (CK), w ramach której z kandydaturą dr. Zybertowicza działy się rzeczy zadziwiające. Warto je przypomnieć.

Najpierw zatem, w 2019 r., mieliśmy głosowanie odpowiedniej sekcji CK, która opowiedziała się przeciwko Zybertowiczowi stosunkiem głosów: 24 – przeciw, 11 – za, 4 – wstrzymujące się. Niektóre reakcje były żenujące. Na przykład prof. Tadeusz Gadacz – były zakonnik, członek Nowoczesnej, radny sejmiku małopolskiego z ramienia Koalicji Obywatelskiej – entuzjazmował się wówczas na Facebooku, że „środowisko naukowe stanęło na wysokości zadania". Jakkolwiek prof. Gadacz nie był tu osobą decyzyjną, to jego komentarz był w ewidentnej sprzeczności z kryteriami, którymi powinna była się kierować komisja. Przedmiotem recenzji oraz oceny nie mogą być bowiem aktywność polityczna czy publicystyczna kandydata, ale wyłącznie jego dorobek naukowy. Niestety, w atmosferze nieustającej konfrontacji nie tylko publiczność spoza środowiska naukowego, lecz także duża jego część oczekuje, że przyznawanie tytułów będzie uzależnione od kwestii najczyściej politycznych.

Od takiego podejścia powinni być całkowicie wolni recenzenci dorobku, powoływani przez CK, a dziś – przez RDN. Tak się, niestety, w tym przypadku nie stało. Spośród pięciu początkowo zamówionych recenzji wszystkie kończyły się rekomendacją przyznania tytułu, ale dwie – nieżyjącego już prof. Marcina Króla i prof. Szymona Wróbla – otwarcie kpiły z recenzowanego. Niemalże entuzjastycznie te sarkastyczne recenzje przytaczały „Gazeta Wyborcza" i OKO.press.

W konkluzji swojej recenzji prof. Wróbel stwierdzał: „Pracę ściśle naukową Zybertowicza oceniam krytycznie, jego działalność organizacyjną i dydaktyczną więcej niż pozytywnie. Osobiście uważam, że raz wyzwolona wola stania się profesorem jest nie do zatrzymania. Jeśli Andrzej Zybertowicz uznał, że są powody, aby przyznać mu profesurę, to zapewne tak jest". To nie poważna opinia, ale kabaret.

Profesor Król napisał recenzję absurdalnie wręcz krótką, zdawkową, na odczepnego. A przypomnieć trzeba, że za sporządzenie recenzji ich autorzy otrzymują wynagrodzenie, nie jest to zatem praca społeczna. Wywód prof. Króla kończyło następujące podsumowanie: „Opinia moja jest wyjątkowo krótka, ponieważ przedstawione do oceny prace naukowe są nieliczne, a ich konkluzje na tyle niedopracowane, że trudno o polemikę. Jednak prace te są. Andrzej Zybertowicz kandyduje do tytułu profesora i trudno mu podstaw do tego zamiaru odmówić. Przy wszystkich zatem zastrzeżeniach opowiadam się za nadaniem Andrzejowi Zybertowiczowi naukowego tytułu profesora".

Na następnym etapie powstały trzy tzw. superrecenzje – wszystkie trzy

eprasa.pl ad4328f552

negatywne, sporządzone przez prof. Mirosławę Marody (Instytut Studiów Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego), prof. Krzysztofa Gorlacha (Instytut Socjologii Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego) i prof. Rafała Drozdowskiego (Wydział Socjologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza). W czerwcu ubiegłego roku, na podstawie tych analiz, głosowano ponownie. Wniosek przepadł tym razem stosunkiem głosów 18 – za, 21 – przeciw, 5 – wstrzymujących się. Jak zatem widać, było blisko.

„ZEMSTA POLITYCZNA"

Sytuacja zrobiła się wówczas już jednak tak ewidentnie polityczna, że głos zabrało dwóch członków komisji, zwracając się do przewodniczącego CK prof. Jana Furtaka. Profesor Bogusław Śliwerski, jak najdalszy od sympatii wobec obecnej władzy, pisał: „Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby głosować za odmową poparcia wniosku, gdyby nie sposób podejścia do niego jako swoistego rodzaju »zemsty politycznej« na Kandydacie w okresie trwającej kampanii wyborczej" (chodziło o kampanię prezydencką). Profesor Śliwerski wytknął też superrecenzentce, prof. Marody, poważne uchybienia formalne w jej analizie dorobku Andrzeja Zybertowicza: „W przypadku wniosków profesorskich nie istnieje wymóg posiadania głównego osiągnięcia naukowego. Recenzentka pomyliła wymogi dotyczące wniosku habilitacyjnego z wnioskiem o nadanie tytułu! To jest oburzające, a w konkluzji nieuczciwe wobec Kandydata, który może tego typu dokument zaskarżyć. Nie wolno oceniać wyłącznie jednej książki". Tymczasem prof. Marody tak właśnie zrobiła, skupiając się na pozycji „Samobójstwo oświecenia" i zarzucając autorowi, że w dużej mierze powielił pracę amerykańskiego medioznawcy prof. Neila Postmana (1931–2003) „Technopol: triumf techniki nad kulturą". Ten ostatni zarzut prof. Śliwerski również zdecydowanie odrzucał.

Profesor Tadeusz Żukowski z kolei był członkiem Akademickiego Klubu Obywatelskiego im. Lecha Kaczyńskiego, ale z AKO wystąpił. Na swojej uczelni ma opinię naukowca całkowicie niezależnego, kierującego się wyłącznie kryteriami naukowymi.

Profesor Żukowski pisał: „Zazwyczaj problemem Sekcji, której jestem członkiem, jest zbyt łagodne traktowanie dorobku naukowego kandydatów do tytułu. Pierwszy raz stałem się świadkiem zabiegów, których celem jest zupełnie coś przeciwnego".

Profesor Żukowski przypomniał również swoje słowa wygłoszone podczas pierwszej dyskusji nad wnioskiem w sprawie dr. Zybertowicza: „Stwierdziłem między innymi, że są kryteria stosowane do wniosków profesorskich i specjalne kryteria przyjęte do wniosku profesorskiego dr. hab. Zybertowicza. Gdyby te ostatnie uczynić obowiązującymi, Sekcja musiałaby poprzeć nie więcej niż dziesięć procent z dotychczas popieranych". Komentując zdalne spotkanie sekcji CK z czerwca ubiegłego roku, prof. Żukowski uznał, że „»establishment polskich socjologów« robi wszystko, żeby dr hab. Zybertowicz nie uzyskał nominacji na profesora mimo oczywistych faktów".

„KRYZYS RECENZJI"

Karta odwróciła się wraz z przejściem sprawy do Rady Doskonałości Naukowej, której przewodniczącym został prof. Józef Węgrzyn, biolog molekularny, wcześniej wiceprzewodniczący CK. W najnowszym wydaniu czasopisma „Forum Akademickie" ukazał się obszerny wywiad z prof. Węgrzynem pod znamiennym tytułem „Wyraźnie widzimy kryzys recenzji".

Szef RDN tłumaczy: „Główny jednak problem to jakość recenzji. Trafia do nas dużo recenzji, które właściwe nie są recenzjami, oceną danej pracy czy dorobku, ale raczej ich streszczeniem czy omówieniem. Recenzja musi zawierać ocenę i uzasadnienie. Zarówno ocena pozytywna, jak i negatywna powinny być dobrze uzasadnione. Przecież różne powody mogą decydować i o pozytywnej, i o negatywnej konkluzji. Zdarza się krytyka bez uzasadnienia, zdarzają się krytyczne recenzje z pozytywnymi konkluzjami, przy czym nie mam tu na myśli sytuacji, w której recenzent rzetelnie punktuje słabości określonych fragmentów pracy, które wymagają drobnych korekt, zachowując pozytywną ocenę całości. W recenzji nie chodzi o wymienienie dorobku kandydata, który jest przecież wykazany we wniosku, i nie ma potrzeby tego powtarzać". Nietrudno tę krytykę odnieść do sprawy dr. Zybertowicza.

Jak się okazuje, problemem systemu recenzji jest również schematyzm, wynikający albo z lenistwa recenzentów, albo z ich przepracowania: „Czasami recenzenci tak dalece posługują się schematem, że zapomną w jakimś miejscu zmienić nazwisko recenzowanego naukowca i zostawiają to z poprzedniej recenzji, np. piszą o dorobku jednego człowieka, a na końcu jest wniosek o awansowanie innej osoby. Już całkiem karykaturalna jest sytuacja, gdy recenzenci korzystają z tego samego schematu od lat i nie zauważyli, że zmieniły się przepisy i podstawy prawne. Zatem cytują artykuły z ustawy o stopniach i tytułach, w przypadku wniosków profesorskich oceniają dorobek w zakresie kształcenia kadry, co dziś nie jest już wymagane, natomiast nie uwzględniają nowych wymogów – choćby wymogu istotnej aktywności naukowej w więcej niż jednej uczelni czy innej instytucji naukowej, czego wymaga się dziś przy habilitacji" – mówi szef RDN.

W rozmowie pada wreszcie pytanie o sprawę Andrzeja Zybertowicza, stanowiącą wyjątkowo jaskrawy przykład recenzenckiej patologii. Profesor Węgrzyn wyjaśnił, że ostatecznie odbyło się głosowanie w prezydium RDN – a więc na najwyższym możliwym szczeblu, choć pojawiały się nawet pomysły, żeby wystąpić o recenzję za granicą.

Szef RDN mówi: „Zapowiedziałem, żeby w głosowaniu brać pod uwagę tylko przesłanki merytoryczne, dotyczące dorobku naukowego, pomijając osobiste sympatie polityczne i ocenę pozanaukowej działalności społecznej kandydata. Poprosiłem, żeby każdy zagłosował według swojej wiedzy i sumienia".

Głosowanie zakończyło się wynikiem siedmiu głosów za, a trzech – przeciw. Tym samym wniosek o nadanie tytułu został skierowany do prezydenta RP. Przygoda doktora, w wkrótce profesora Andrzeja Zybertowicza z oporem mainstreamu naukowego establishmentu dobiegła końca.

Z tej historii powinno się jednak wyciągnąć systemowe wnioski. Sam szef RDN wskazuje na tak liczne wady systemu recenzenckiego (obejmującego nie tylko tzw. recenzje awansowe, lecz także doktorskie czy artykułów naukowych), że można sobie zadać pytanie, czy utrzymywanie go w obecnej postaci w ogóle ma sens. Oprócz bowiem problemu uprzedzeń politycznych jest jeszcze całe mnóstwo innych kłopotów, a opisywany przez szefa RDN mechanizm jawi się w jakiejś części jako wielka fikcja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

FOT. ADOBE STOCK

Używane jest w cenie

Agnieszka Niewińska

Dzięki internetowym platformom możemy mówić o renesansie handlu rzeczami z drugiej ręki. W sieci kupujemy nie tylko ubrania second-hand, lecz także sprzęt sportowy czy wyposażenie domu

To był handlowy weekend – cieszy się Alicja, 30-latka pracująca w firmie inżynierskiej. Od dłuższego czasu za pośrednictwem platform ogłoszeniowych wystawia na sprzedaż rzeczy, których już nie potrzebuje.
– W sobotę rano miałam na sprzedaż 30 przedmiotów. W poniedziałek została mi połowa z nich. Ktoś przyszedł po głośniki, ktoś inny kupił apteczkę, stół, suszarkę. W weekendy dużo osób ogląda ogłoszenia – opowiada. – Sprzedaję rzeczy, których bym nie wyrzuciła, bo są sprawne, nadają się do użytku, tylko że ja ich już nie potrzebuję. Nie chcę ich trzymać, bo lepiej się czuję, gdy w domu mam więcej przestrzeni. Podobnie w szafie – im mniej ubrań, tym łatwiej podjąć decyzję, w co się ubrać.

Barbara, emerytka z Warszawy nie za bardzo wierzyła, że ktoś może być zainteresowany gratami, które ma na strychu. – A dużo się tego nazbierało: umywalka, której nigdy nie zamontowaliśmy, bo zmieniła się koncepcja, stary panel prysznicowy, oświetlenie sprzed dwóch dekad – wylicza. Córka zrobiła zdjęcia zalegających u niej przedmiotów i wrzuciła do sieci. – Teraz jestem przekonana, że nie ma takiej rzeczy, która by się komuś nie przydała. Po oświetlenie przyjechał pan z sąsiedniego miasta. Potrzebował tanich lamp do mieszkania na wynajem. Wielki wazon w kształcie kielicha mieszczący 12 litrów wody zakupiła pani, która podczas imprezy chciała do niego przelać martini. Nawet nietypowe, bo skrócone o 10 cm drzwi się komuś przydały. Kupił je przedsiębiorca, który urządzał hostel – opowiada.

Ostatnie lata to powrót do okazjonalnych dzielnicowych wyprzedaży, pchlich targów, wymienialni ubrań, książek czy zabawek. Coraz częściej jednak rzeczy zyskują drugie życie właśnie dzięki Internetowi.

SEZON NA ROLKI, CZAS NA GRZEJNIKI

Największa platforma internetowa z ogłoszeniami, czyli OLX, może się pochwalić 13 mln unikalnych użytkowników w miesiącu. – To oznacza, że co trzeci Polak jest na OLX. Tylko w kategorii „dom i ogród" mamy miesięcznie 4 mln użytkowników i 5 mln odpowiedzi na ogłoszenia. W kategorii „sport i hobby" codziennie dochodzi do 85 tys. interakcji

eprasa.pl ad4328f552

między sprzedającymi a kupującymi – dopytują o przedmiot, negocjują cenę, umawiają się na odbiór – mówi Paulina Rezmer z biura prasowego serwisu OLX.

Dodaje, że ogłoszenia na OLX są jak barometr sytuacji zakupowej w kraju. – Cykl życia ogłoszeń i poszczególnych kategorii rządzi się też sezonowością. W pandemii przybyło ogłoszeń o sprzedaży maszyn do szycia, wszelkiego rodzaju produktów przydatnych przy DIY, czyli robótkach ręcznych, majsterkowaniu, a także gier planszowych, sprzętu sportowego, takiego jak deskorolki, rolki czy rowery. Poszukiwany był sprzęt biurowy – biurka, krzesła, lampki, bo wielu z nas musiało zorganizować sobie miejsce pracy w domu. Wiosną przybyło ogłoszeń w kategorii wyposażenia ogrodu. Kiedy hotele były zamknięte, urządzaliśmy miejsce wypoczynku w ogrodzie czy na balkonie. Poszukiwaliśmy trampolin, leżaków, hamaków – wylicza Paulina Rezmer.

WYPRZEDAŻ Z WŁASNEJ SZAFY

Od lat chętnie kupujemy używane samochody, ale przy boomie remontowym, z którym mieliśmy do czynienia w pierwszym roku pandemii, nie brakowało chętnych na materiały i wyposażenie z drugiej ręki. Kiedy w budowlanym markecie na wybrany grzejnik, drzwi czy blat trzeba było czekać czasem kilka czy kilkanaście dni, to niekiedy szybciej, i z pewnością taniej, znajdowaliśmy potrzebne wyposażenie z drugiej ręki. Problemy z dostawami półprzewodników mogą okazać się z kolei okazją dla tych, którzy w szufladach mają stare telefony, tablety czy konsole, bo poszukiwana zaczęła być elektronika, nawet ta wymagająca naprawy.

Chociaż liczba sklepów stacjonarnych z używaną odzieżą spada (według danych Dun & Bradstreet od 2009 r. zamkniętych zostało 38 proc. second-handów), to nie maleje zainteresowanie odzieżą z drugiej ręki. Tyle że przeniosło się ono właśnie do sieci. Najpopularniejszą aplikacją do sprzedaży i zakupu ubrań jest Vinted – platforma intensywnie promująca się na polskim rynku. Vinted to aplikacja, która ma litewskie korzenie, ale w tej chwili jest obecna w 15 krajach. W Polsce ma zarejestrowanych ok. 5 mln użytkowników. Do dyspozycji poszukujących ubrań z drugiej ręki jest też polska aplikacja – LESS. – Obecnie mamy ok. 800 tys. użytkowników i ta liczba ciągle rośnie – informuje biuro prasowe LESS.

Chociaż buszowanie w sieci w poszukiwaniu rzeczy używanych wymaga czasu, to można trafić na prawdziwe okazje. Dżinsy, za które w sieciówce zapłacimy ok. 100 zł, w aplikacji można upolować za 10–15 proc. tej ceny. Nawet doliczając do tego koszt przesyłki czy prowizję serwisu (Vinted w ramach programu „ochrona kupujących" pobiera prowizję od sprzedaży), to wciąż jest znacznie taniej niż w przypadku zakupu nowych spodni.

Z badań przeprowadzonych w listopadzie 2019 r. przez firmę doradczą Accenture wynika, że 38 proc. ankietowanych kupiło w ciągu roku używaną odzież lub obuwie. W kolejnym badaniu przeprowadzonym we wrześniu 2020 r. ankietowani byli pytani o to, czy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy skorzystali z aplikacji i stron internetowych umożliwiających kupno i sprzedaż produktów z drugiej ręki od innych użytkowników. Twierdząco odpowiedziało aż 45 proc. ankietowanych.

– Duży wpływ na większe zainteresowanie zakupem czy sprzedażą rzeczy z drugiej ręki miała pandemia. Wielu spośród tych, którzy pracowali zdalnie z domu, przejrzało swoje szafy i zdało sobie sprawę, że części ubrań po prostu nie potrzebują. W tej chwili do dyspozycji mają wiele serwisów i aplikacji, które pozwoliły im te ubrania sprzedać lub wymienić. Dzięki temu posprzątali swoje szafy i zyskali dodatkowe pieniądze – mówi Rafał Reif, szef działu mody i handlu Accenture w Polsce.

Lisa-Marie Berns, PR manager Vinted w Niemczech, Europie Południowej i Wschodniej, ma podobne obserwacje. – Choć popularność rzeczy używanych rosła już od pewnego czasu, to pandemia wydaje się mieć istotny wpływ na nawyki konsumpcyjne – mówi. I przytacza badania, które Vinted przeprowadził we wrześniu 2021 r. na próbie 900 kobiet w wieku 18–45 lat. – Zakup rzeczy używanych wzrósł z 63 proc. w IV kwartale 2020 r. do 77 proc. w III kwartale 2021 r. Z kolei sprzedaż wzrosła z 66 proc. w IV kwartale 2020 r. do 70 proc. w III kwartale 2021 r. – wskazuje Berns.

Rafał Reif prognozuje, że rynek odzieży używanej będzie rósł – zarówno w Polsce, jak i na świecie. – Segment ubrań używanych nie zastąpi sprzedaży nowej odzieży, ale będzie dla niej alternatywą. Coraz więcej osób będzie uzupełniać swoje szafy ubraniami używanymi – sprzyja temu fakt, że zmieniło się nasze postrzeganie. Wcześniej ubrania z drugiej ręki uchodziły stereotypowo za gorsze, a ich kupowanie przede wszystkim przypisywano osobom o niższych dochodach. Obecnie to się zmienia i rośnie grupa chętnie kupująca ubrania używane, szczególnie młodych, dla których zakup używanych ubrań to coś normalnego. Niekiedy nawet chętniej sięgają po ubrania z drugiej ręki, bo pozwala im to na znalezienie rzeczy oryginalnej, której nie będzie miał nikt inny – zaznacza Reif.

Większe zainteresowanie klientów odzieżą używaną śledzą też jej producenci. – Luksusowe marki zaczęły się przyglądać temu, co się dzieje z ich ubraniami, kim jest klient, który kupuje je z drugiej ręki. W segmencie marek popularnych pojawiły się pierwsze próby łączenia sprzedaży nowych produktów z używanymi. W Stanach Zjednoczonych dżinsy z drugiej ręki, obok tych nowych, zaczęła sprzedawać firma Levis – mówi ekspert Accenture.

W Polsce szerokim echem odbiło się wprowadzenie używanej odzieży do oferty sprzedażowego serwisu Zalando. Polska była jednym z pierwszych krajów (obok Niemiec, Hiszpanii, Belgii, Francji i Holandii), w którym sprzedażowy gigant wprowadził ubrania z drugiej ręki. Trend na używane chce też wykorzystać sieć marketów Auchan. W tym roku uruchomiła pilotażowo akcję „Nowe Życie by Auchan", w ramach której w niektórych hipermarketach tej sieci można kupić używane ubrania znanych marek.

EKOLOGIA ZA DROBNE

Trend na używaną odzież (o ile nie będziemy jednocześnie przesadzać z kupowaniem nowej) może nam wyjść na zdrowie, bo przemysł modowy plasuje się w czołówce najbardziej szkodliwych branż dla środowiska naturalnego – zaraz po budownictwie, transporcie i przemyśle spożywczym. – Dla mnie aspekt ekologii, niemarnowania jest motywujący nie tylko jeśli chodzi o sprzedaż czy kupno odzieży – zaznacza Alicja. – Ostatnio sprzedałam zbędne mi foremki do muffinek za zaledwie 5 zł. Musiałam je zapakować, nadać przesyłkę. Finansowo nie jest to szczególnie opłacalne, ale cieszę się, że nie skończyły na śmietniku, że ktoś będzie ich używał. A drobne zawsze się przydadzą – mówi. Ma jeszcze cały karton zbędnych rzeczy do sprzedaży. Może ktoś je przygarnie w następny weekend.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Apokalipsa

Piotr Gociek

„Finch" z Tomem Hanksem to opowieść o tym, jakie wnioski z końca świata wyciągnąć należy, zanim świat rzeczywiście się skończy

A gdyby wychudzony Tom Hanks pozostał Tomem Hanksem, lecz zamiast bezludnej wyspy (jak w „Cast Away: Poza światem") jego więzieniem była cała bezludna planeta? I gdyby zamiast mówić do koszykarskiej piłki, rozmawiał z robotem, którego sam skonstruował? Takie kalkulacje, jestem pewien, legły u podstaw projektu „Finch" należącego do gatunku „familjna postapo". W odróżnieniu od ponurych wizji z „Drogi" czy przestylizowanej „Księgi ocalenia", nie wspominając już o „Mad Maxach", film Miguela Sapochnika łączy więcej z disnejowskim „Wall-E" niż z klasycznymi przedstawieniami tematu życia po kataklizmie, kiedy to człowiek człowiekowi wilkiem, a okrucieństwo przybiera niespotykane rozmiary. A kiedy przyjrzymy się uważniej, to dostrzeżemy, że tak naprawdę w ogóle nie jest to film o końcu świata.

Ale po kolei. Jest coś intrygującego, porywającego i archetypicznego w obrazie samotnego wędrowca przemierzającego głuszę. To także obraz bardzo amerykański, bo cała mitologia tego kraju wywiedziona z poszukiwania i pokonywania nowych granic, ujarzmiania natury, cywilizowania kolejnych połaci ziemi, a jednocześnie szukania wolności, spokoju i metafizycznego uniesienia właśnie tam, po drugiej stronie granicy, gdzie cywilizacja jeszcze nie dotarła – poza pojedynczymi śmiałkami. Ten obraz powraca w opowieściach postapokaliptycznych, niezależnie od tego, czy widzimy miejskiego pustelnika Willa Smitha w „Jestem legendą", czy patrzymy, jak szeryf Rick Grimes, główny bohater serialu „The Walking Dead", wjeżdża samotnie do ogarniętego zarazą zombi miasta.

KALIFORNIA MUSI ISTNIEĆ!

W odróżnieniu od kpiącego tekstu z polskiej „Seksmisji", kiedy to Jerzy Stuhr wołał: „Kierunek wschód! Tam musi być jakaś cywilizacja", Finch Weinberg grany przez Toma Hanksa obiera kierunek przeciwny, co zresztą nie jest w amerykańskiej mitologii postapo niczym nowym, bo jej bohaterowie notorycznie powtarzają wędrówkę dawnych traperów i osadników, szukając zbawienia na zachodnim wybrzeżu USA. Cały świat może bowiem trafić szlag, ale nie po to światli mieszkańcy stanu Kalifornia inwestowali we wszelkie formy aktywności New Age, od kryształów i dzwoneczków do wielorakich medytacji, żeby teraz okazało się, że karma is a bitch. Kalifornia musi istnieć! Finch opuszcza więc bezpieczną kryjówkę w Saint Louis, siedząc za kierownicą wysłużonego, acz ulepszonego kampera. Kierunek – San Francisco, a dokładnie most Golden Gate.

Ziemia stała się miejscem gorącym – tak bardzo, że można smażyć popcorn na wolnym powietrzu, wystarczy wysypać ziarna na kawałek metalu. Średnia dzienna to ponad 70 stopni Celsjusza, w dodatku parę lat wcześniej rozbłyski słoneczne zniszczyły powłokę ozonową naszej planety, pogoda oszalała, potężne tornada zderzają się nad ruinami miast, a z ludzkości zostały głównie liczne wysuszone zwłoki. Jak ocalał Finch Weinberg? Mniejsza z tym, ważniejsze pytanie: Co dalej?

W chwili, gdy poznajemy głównego bohatera filmu, kończy on pracę nad zadaniem tyleż nietypowym, co zrozumiałym w świecie, gdzie nie ma do kogo gęby otworzyć (nie licząc psa). Weinberg to mózgowiec, nie tylko wykombinował, jak żyć w skrajnie niesprzyjających warunkach, lecz także jeszcze najpierw zmajstrował sobie małego robota na

eprasa.pl ad4328f552

familijna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kółkach (zowie się Dewey), a teraz poskładał sobie również robota dużego, humanoidalnego i obdarzonego umiejętnością mowy. Geppetto przyszłości ma więc swojego Pinokia. Robot jest od człowieka wyższy i silniejszy, ale musi się sporo nauczyć. Nie wszystko, co ważne, udało się zeskanować i wrzucić do jego pamięci. Oczywiście cały film trzyma się na karkołomnym założeniu, że taka sztuczna istota błyskawicznie zdoła się uczłowieczyć – specjaliści od robotyki i sztucznej inteligencji wiedzą, że nie taka prosta to sprawa.

DUCH KINA SPIELBERGOWSKIEGO

Film jednak rządzi się swoimi prawami i bajka o futurystycznym mechanicznym Pinokiu dostarcza nam sporo frajdy, kiedy oglądamy, jak Finch próbuje wychować swego nowego towarzysza. Uczy go, jak chodzić, jak wymieniać uścisk dłoni, jak bezpiecznie rozbijać obozowisko, otwierać puszkę z karmą dla psów – tak, innym kompanem wynalazcy jest sympatyczna psina wabiąca się Goodyear. Pewien kłopot jest z imieniem dla robota – on sam życzyłby sobie, by nazwano go William Szekspir albo Napoleon Bonaparte, ale ostatecznie zgodzi się na Jeffa. Stalowy kompan dobrze się sprawdza w ekstremalnych warunkach, bo wyjmie, gdy potrzeba, drzwi z framugi albo ciosem metalowej pięści wbije w ziemię gwóźdź gruby jak ludzkie ramię. Jednocześnie nic nie wie o świecie, więc czasem zachowuje się jak małe dziecko, a czasem jak rozkapryszony nastolatek.

Wszystko to jest bardzo niepoważne jak na kino postapo, zresztą bystre oko dostrzeże w serwisie Apple TV+, w którym „Finch" jest premierą, że nie włożono jej do kategorii „tylko dla widzów dorosłych", lecz do grupy „13+". Nie znaczy to, że życie po katastrofie jest lekkie, łatwe i przyjemne oraz że wszyscy bohaterowie (bardzo nieliczni) filmu mają się dobrze. Ale jest to wyraźny znak, że nie o straszenie końcem świata tu chodzi. Kto chce, ten włączy sobie odpowiednio mroczną produkcję, imię ich legion. Zatem o czym właściwie jest „Finch"? Jest chwila, kiedy myślimy, że może naukowiec, którym jest Finch, znajdzie sposób na to, jak uratować ludzkość – wszak wczytuje się w literaturę fachową o wybrykach Słońca i ma dużą wiedzę praktyczną. Jest moment, gdy możemy sądzić, że będzie to opowieść z popularnego w ostatnich dekadach podgatunku „człowiek kontra dzieło jego rąk" – czyli o odpowiedzialności za sztuczną istotę i o granicach człowieczeństwa.

Odpowiedź będzie jeszcze prostsza, jednych usatysfakcjonuje, inni pokręcą głową, że nazbyt prosta i że wiele razy już ją słyszeliśmy. Finch grany przez Toma Hanksa w tradycyjny dla niego sposób (dostajemy więc postać ciepłą, trochę upartą, trochę bezradną, ale na pewno gotową, by w każdych warunkach czynić to, co jest właściwe) przypomina swą odyseją, że życie trzeba cenić w każdej chwili, że drugiego nie mamy, że raz spartolonego nikt nam nie odwinie na nowo. Nie przeszkadza mi oczywistość tego stwierdzenia, bo cała ta historia po prostu jest wdzięcznie opowiedziana, choć można zarzucić jej nadmierny sentymentalizm.

Cóż jednak z tego, czasem lubimy być sentymentalnie manipulowani, a kino z Hanksem to przykład wzorcowy tego typu działań. Nad „Finchem" unosi się duch kina spielbergowskiego, zresztą film powstał w wytwórni Amblin, a jednym z jego producentów jest Robert Zemeckis. Nic dziwnego więc, że musi nieść morał i dawać nadzieję. Wcale mi to nie przeszkadza i myślę, że zdecydowana większość widzów podzieli to zdanie. A nawet jeśli ktoś chciałby na przesłanie pozostać głuchym, to będzie się dobrze bawił, oglądając dyskusje Fincha z Jeffem. Dialogi są zręczne, humor naturalny, a Caleb Landry Jones, którego głosem mówi sympatyczny robot, spisał się wyśmienicie. Może życzyłbym sobie tylko więcej epickiego rozmachu na ekranie, Sapochnik jest specem od telewizyjnej rozrywki („Gra o tron", „Altered Carbon", „Dr House", „Mroczne niebo") i widać to po tym, jak komponuje kadry.

To kolejna w ostatnim czasie premiera z udziałem Toma Hanksa, która zamiast pojawić się na dużych ekranach, rozpoczyna swój żywot w serwisach streamingowych. Rok temu w Apple TV+ oglądaliśmy świetną wojenną „Misję Greyhound" wedle powieści C.S. Forestera. Potem Netflix przechwycił świetne „Nowiny ze świata", które Universal w kinach dystrybuował jedynie w USA. Dziś „Finch". A jutro? Dobre pytanie. Czy zanim nastąpi koniec świata, nie skończy się wcześniej tradycyjny model rozpowszechniania filmów? Zmierzch kina w czasach pandemii – chętnie obejrzałbym taką opowieść, oczywiście z Tomem Hanksem w roli głównej.

★★★★☆☆

REŻ. MIGUEL SAPOCHNIK
„FINCH"
USA 2021, DYSTR. APPLE TV+

wyst. Tom Hanks, Caleb Landry Jones

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

„Halka” i barbarzyńcy

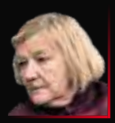

Elżbieta Morawiec

Sojusz pseudosztuki z pseudonauką jest potwornie groźny – udowadnia to Stary Teatr w Krakowie

„Halka”, którą wystawił Stary Teatr w Krakowie

FOT. MAGDA HUECKEL

Na początek słowa tekstu: „O k..wa! Pieprzony Jontek”, Janusz o Halce: „Chodzi o to, aby się dobrze dupcyła”, chłopi o sobie, że muszą "zap...dalać, zap...dalać". To tylko nieliczne fragmenty scenariusza Anny Smolar i Natalii Fiedorczuk do „Halki”, jaką nam Stary Teatr w Krakowie zaserwował na swoje 240-lecie.

To nie jest „Halka” Moniuszki i z librettem Wolskiego, to worek treningowy do kopania dla dwu pań – nie wiem: genderystki one czy feministki. Ich wysiłki pan profesor teatrologii z Uniwersytetu Jagiellońskiego, performatyk, Dariusz Kosiński podsumowuje następująco: „Zabawne i rebelianckie, zarazem przepowiedzenie i odegranie »Halki«, odartej z »narodowych« i orkiestrowo głosowych ubogaceń [to o muzyce Moniuszki! – przyp. aut.] obnaża wpisane w nią ofiarnicze schematy i demaskuje pozór buntu, który zgodnie z melodramatycznym wzorcem musi być ukazany jako indywidualne usprawiedliwienie, ale społecznie zanegowany i ukarany” („Tygodnik Powszechny”, 21 czerwca 2021 r.).

Cytuję tę wypowiedź uczonego w piśmie, aby dać czytelnikowi obraz, jakiej skali operacja się tu dokonuje. Nikt myślący i czytający ze zrozumieniem nie zaprzeczy, że cytowany tekst to bełkot, który należałoby podsumować gombrowiczowskim „Im mądrzej, tym głupiej”. Jaki bunt, jaka ofiara? Bunt kogo przeciwko komu lub czemu?! To jakaś nieistniejąca „Halka”, którą streszcza Kosiński. Że „narodowy” musi koniecznie być w cudzysłowie, to już wiemy z manifestacji LGBT, KOD czy kogo tam jeszcze. Ale czym sobie Moniuszko zasłużył na to, aby jego wspaniałą muzykę do narodowej opery określać jako „orkiestrowo głosowe ubogacenie”? To w takim „ubogaceniu” śpiewał nie tak dawno temu nasz wybitny tenor Beczała, to „orkiestrowo głosowe ubogacenie” promowała na całym świecie niestrudzona śp. Maria Fołtyn. Ale co tam dla dekonstrukcjonisty jakaś operowa tradycja, ba, jakiś przekaz dla kształtowania narodowej świadomości dokonany przez Moniuszkę i Wolskiego jeszcze pod zaborem rosyjskim. Dekonstrukcjonista ma swoje prawdy niby nowe, w istocie stare jak futuryzm. Czemu ten zabieg obdzierania Moniuszki ze skóry ma służyć, pan profesor performatyk też wyjaśnia. On służy uwolnieniu oraz samowychowywaniu. Zacytujmy: „Femistyczny bunt antypatriarchalny stanowi jej [„Halki” – przyp. aut.] oczywiste zaplecze, ale cel główny to praca nad sobą” [sic!].

WYTWORY BARBARZYŃSTWA KULTUROWEGO

Niech czytelnicy wybaczą, że rozpisuję się o krytyce zamiast o przedstawieniu. Jakbym na nim nie była. Otóż byłam, fragmenty tekstu już zacytowałam. Byłam na pierwszej części spektaklu, do drugiej, uczciwie mówiąc, nie dotrwałam, bo w moim wieku szkoda czasu na wytwory barbarzyństwa kulturowego.

Zabieg pani Smolar, reżyserki, sprowadza się do uruchomienia na scenie teatru żywych kukieł. Aktorzy mówią didaskaliami, po nich następuje stosowne działanie, np. Jontek wchodzi na skałę ze szmat i opowiada widzowi treść jednej z piękniejszych arii Moniuszki „Szumią jodły na gór szczycie”. Całość napisana wulgarnym, knajackim językiem („ale to wesele kosztowało mnie hajsu”) mniej więcej odpowiada przebiegowi akcji u Moniuszki. Halka, ot dziewczyna z dyskoteki, którą w akcie pierwszym ojciec Zofii namawia do… aborcji (chyba przeoczenie scenariusza – dyskotekowa Halinka nie podda się aborcji) w finale

eprasa.pl ad4328f552

nie chce umrzeć. Co prawda, umiera kilkanaście razy, padając z rzeki, czyli namiotu ze srebrzystego plastiku, na podłogę, potem (jak Rozalkę w „Antku") smażą ją w piekarniku. A ona nie i nie. I tu jest miejsce na interwencję spadkobierców, jeśli żyją, Stanisława Wyspiańskiego. Halka – nie umrę, bo wolę jak Teosia Pytko (żona Wyspiańskiego). Teosi ktoś zrobił brzuch, ale Staś (sic!) Wyspiański szedł przez wieś i kiedy stała na moście, uratował ja od samobójstwa, proponując małżeństwo. Mało było pastwienia się nad Moniuszką, trzeba „dołożyć" Wyspiańskiemu.

Część drugą pan profesor określa jako rodzaj telenoweli. Janusz i Zofia w domu spłacanym przez stolnika, Janusz po kryjomu płaci alimenty Halce. I tak dalej, i tak dalej. Brnąć w ten absurd nie warto.

LEKKO I PRZYJEMNIE

Powstaje najważniejsze pytanie: Po co to wszystko? Niech wyjaśni raz jeszcze uczony w piśmie, ja tylko skomentuję. W tym cytacie z prof. Kosińskiego jest cała filozofia neoteatru czy tzw. postdramaturgii: „Rzeczywistość międzyludzka, społeczna i kulturalna jest zbudowana ze scenariuszy, ról i występów, więc teatr to nie jej przeciwieństwo, ale zasada. A jeśli tak, to poprzez odpowiednie operowanie jego procedurami i narzędziami można zniewalające mechanizmy rzeczywistości rozmontować, uwolnić się, choćby na chwilę, spod władzy przyjętych nieświadomie i świadomie z zarazem ograniczających ról. Poczuć się lekko i swobodnie".

Jest to manifest nieistnienia rzeczywistości – wszystko jest pozorem i rolą dla pana profesora z najstarszej uczelni w Polsce. A piszę o nim tyle dlatego, że ten sojusz pseudosztuki z pseudonauką jest potwornie groźny i rozgrywa się dziś w skali całego świata. I nie chodzi o nic innego niż o starą recepturę Gramsciego-Spinellego, o triumfalny marsz przez instytucje – rodzinę, kulturę, Kościół, sztukę, o wykorzenienie człowieka z jego tożsamości nie tylko narodowej, lecz także wedle recept genderyzmu czy LGBT – najbardziej podstawowej – płciowej. To jest to wielkie „uwolnienie", którym zachwyca się pan profesor Kosiński w teatrze, który zamiast imienia Heleny Modrzejewskiej, zgodnie z duchem czasu powinien wypisać na swojej tablicy Teatr im. Marty Lempart albo Klaudii Jachiry. Profanacja „Roty" dokonana w Sejmie przez posłankę RP Jachirę, śmietnikowa polszczyzna Lempart – niczym się przecież nie różnią od tzw. artystycznego dzieła Starego Teatru. Dla mnie to niezwykle smutne. W tym teatrze w latach 60. i 70. przeżywałam najwspanialsze doświadczenia artystyczne. Towarzyszyłam mu w triumfalnych podróżach – do Londynu, Belgradu, Moskwy. Przez kilka lat byłam jego kierownikiem literackim. Pan Kosiński zrządzeniem biografii (rocznik 1966) Stary Teatr w jego blasku zna li tylko z „konserwy" – z prasy, ewentualnie z zapisów medialnych. I całą jego wielkość chciałby przemienić, podobnie jak pani Smolar i rzesze jej podobnych w Polsce, na kolejny, gutaperkowy tym razem Manifest z Ventotene. A ze swojej napiętej wysokości interpretacyjnej pan profesor nie zauważył nihilistycznych do obrzydliwości prostactwa i wulgarności tekstu.

O aktorach nie piszę świadomie. Cóż można napisać o marionetkach na karuzeli, która niszczy nie tylko ich teatralną, lecz także nade wszystko społeczną, narodową rolę i egzystencję?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WYDAWNICTWO 3DOM
KSIĄŻKI | REPRINTY | DEWOCJONALIA | KUBKI
Zapoznaj się z naszą aktualną ofertą wydawniczą wchodząc na stronę www.3dom.pro

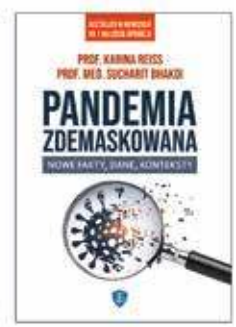

Zapraszamy do kontaktu pod numerem telefonu 34 307 08 88 lub pisząc na maila: kontakt@3dom.pro

eprasa.pl ad4328f552

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Syn pastora

★★★★★★
REŻ. JEYMES SAMUEL
„ZEMSTA REWOLWEROWCA" („THE HARDER THEY FALL")
USA 2021

wyst. Jonathan Majors, Zazie Beetz, Idris Elba

Pod beznadziejnie nijakim tytułem „Zemsta rewolwerowca" kryje się jeden z ciekawszych filmów roku – arogancki koktajl westernu, kina blacksploitation i prawie musicalu. Prawie, bo to nie bohaterowie wykonują tu numery muzyczne, ale historia opowiadana jest długą listą utworów napisanych i wyśpiewanych specjalnie do tego filmu (wśród autorów takie tuzy jak Jay-Z) oraz pięknie w niego wmiksowanych. Jeymes Samuel – reżyser „Zemsty rewolwerowca" – jest zresztą także muzykiem i komponuje opowieść, jakby chciał skrzyżować wizualne i muzyczne szaleństwa Baza Luhrmanna (pamiętacie „Moulin Rouge"?) z ironią Quentina Tarantino. To pierwsze wychodzi mu lepiej niż to drugie, ale powiedzmy szczerze: Kto daje radę dorównać Tarantino? Oryginalny tytuł „The Harder They Fall" to natomiast nawiązanie do klasycznego „The Harder They Come" (1972), muzyczno-kryminalnego przeboju filmowego z Jamajki.

Historia jest prosta – główny bohater, niejaki Nat Love, dziecięciem będąc, był świadkiem mordu dokonanego na rodzicach przez parę ponurych typów. Jednego z nich dopada na początku filmu. Drugi odsiaduje dożywocie. Sprawa zamknięta, Nat może wrócić do ukochanej prowadzącej saloon i do swego ulubionego zajęcia – rabowania innych rabusi (dorosły syn pastora, jak widać, zszedł na złą drogę). Jednak kiedy okaże się, że przerażający Rufus Buck więzienie jednak opuści, Nat Love (bardzo dobry Jonathan Majors) oczywiście ruszy, by wymierzyć sprawiedliwość. Nie sam. Rufusa Bucka gra Idris Elba, którego chciałoby się częściej widzieć w rolach łotrów, bo wychodzą mu wspaniale.

Postacie pojawiające się na ekranie niby wyjęte zostały z historii Dzikiego Zachodu, ale to żadna rekonstrukcja czy biografia, mamy do czynienia z postmodernistycznym filmowym komiksem, tym rodzajem frajdy, którą niósł western Sama Raimiego „Szybcy i martwi". Widać też, że Samuel mocno podglądał zarówno „Django" Tarantino, jak i rozgrywające się na Dzikim Zachodzie filmy braci Coen. Ostatecznie nie wspina się na poziom tak wysoki, to tylko krwawa, bardzo dobrze zrobiona rozrywka dla Netflixa, ale sposób, w jaki zagrana i opowiedziana jest ta historia, zasługuje na duże uznanie. A widząc zbójecką wyprawę bohaterów do „miasta białych", śmiałem się do rozpuku. ©℗

NOWE SERIALE: „NA WODACH PÓŁNOCY"

Ekranizacja powieści Iana McGuire'a (na świecie było o niej głośno pięć lat temu, gdy nominowano ją do Bookera, polska edycja ukazała się w roku 2017). Miniseria (pięć odcinków) wyprodukowana przez BBC2. Na wielorybniczym statku żeglującym ku Arktyce spotykają się brutalny, amoralny harpunnik Henry Drax (gra go Colin Farrell) i uciekający przed grzechami przeszłości były chirurg armijny Patrick Sumner (w tej roli Jack O'Connell). Mroczna i trzymająca w napięciu surwiwalowa opowieść, nie tylko dla fanów „Terroru" Dana Simmonsa. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Andrew Haigh „Na wodach północy" („The North Water"), Wielka Brytania 2021***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• ***sezon 2 „Wielka"*** *(„The Great"), USA 2021*

• ***sezon 10 „Śmierć pod palmami"*** *(„Death in Paradise"), Wielka Brytania 2021*

• *reż. Natalie Krinsky* ***„Galeria złamanych serc" („The Broken Hearts Gallery")***, *USA/Kanada 2020*

eprasa.pl ad4328f552

Człowiek z Księżyca

KINO

Pierwsza scena i od razu wszystko jest jasne. „Brak w tym przekonania! Mocniej!" – krzyczy reżyser na zdeprymowanego aktora. Andrzejowi Żuławskiemu intensywność zawsze myliła się z jakością. Ekranizacja młodopolskiej parafrazy Biblii miała być jego tour de force. Wajda daremnie przestrzegał, że gierkowska kinematografia projektu tak karkołomnego nie udźwignie. Wstrzymanie produkcji „Na srebrnym globie" dwa tygodnie przed jej planowanym zakończeniem stało się kamieniem węgielnym legendy o zmarnowaniu szansy na polskie „Gwiezdne wojny". Z filmu Mikurdy wynika, że prawda jest – jak zawsze – bardziej skomplikowana. Towarzysze, kontrolujący kulturę, upokarzając Żuławskiego, chcieli zdyscyplinować rozwydrzoną brać reżyserską, jednak na porażkę najbardziej zapracował on sam. Prawdziwy człowiek z Księżyca: piękny jak młody Bóg, przekonany o własnym geniuszu i nietolerujący sprzeciwu, z inteligenckim rodowodem i paryskim sznytem. Ekipie, próbującej sprostać jego wymaganiom, zafundował ekstremalne przeżycia. Artystowski odlot zakończył się zderzeniem z rzeczywistością. Opus magnum, posklejane przez autora 10 lat później, okazało się zaledwie świadectwem epoki, w której reżyser uchodził za demiurga. Żuławski nie miał wszakże ochoty spojrzeć prawdzie w oczy. Więcej takich dokumentów! ©℗

★★★★☆☆
REŻ. KUBA MIKURDA
„UCIECZKA NA SREBRNY GLOB"
POLSKA 2021

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POMNIK OŻYWIONY

Biografia w baśń zamieniona. Otakar z Pragi wspomina swego przyjaciela Milana Rastislava Štefánika, zwanego „słowackim Prometeuszem". Był to faktycznie człek nietuzinkowy: astronom, meteorolog, alpinista, awiator, kobieciarz, globtroter, żołnierz i polityk. Nie lubił Węgrów i nie wierzył w Boga. Zginął u szczytu sławy, mając lat 38, zanim zdążył splamić się rządzeniem. Film, zgłoszony do festiwalu Heart of Europe, ominęły nagrody. Może dlatego, że trudno go przypisać do konkretnej kategorii. To kolaż dokumentu, fabuły i animacji, wyznanie miłości do niemego kina i przewrotny hołd dla ojca narodu. Štefánik przeżywa przygody godne bohatera surrealistycznej komedii made in CSRS. Pojedynkuje się w Paryżu, na tahitańskim piasku rysuje granice przyszłego państwa, walczy z Czerwonym Baronem, szturmem zdobywa serce włoskiej markizy. Piłsudski miał mniej fantazji, o Benešu nie wspominając.

★★★★☆☆
REŻ. NORO DRŽIAK
„NIEMOŻLIWA PODRÓŻ" („CESTA DO NEMOŽNA")
SŁOWACJA 2021

wyst. Tomáš Mischura, Petr Vanék, Jana Stryková

WENUS W FUTRZE

KINO

PRL śmieszy, przestrasza i fascynuje kolejne pokolenie filmowców. Autorzy opowieści o Kalinie Jędrusik na szczęście nie powtórzyli błędów twórców serialu o innym kolorowym ptaku Polski Ludowej – Agnieszce Osieckiej. Wybrali z biografii aktorki tylko jeden sezon (1962/1963) i przyjęli perspektywę bohaterów, którzy starali się żyć, jakby realnego socjalizmu nie było. Film ma lekkość, rzadko spotykaną w naszym kinie. Bronią się nawet musicalowe wstawki tudzież cytowanie estetyki z epoki wczesnego Gomułki. Oblicze pierwszego sekretarza zdobi plakat z napisem „Partia słucha obywateli", lecz Kalinie bruździ tylko dyrektor z telewizji, wówczas nieskupionej jeszcze na politycznej propagandzie, mocno teatralnej i nadającej na żywo. Maria Dębska brawurowo wcieliła się w „polską Marilyn Monroe", jednak duet Leszek Lichota-Paweł Tomaszewski kradnie każdą scenę, w której się pojawia. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆
REŻ. KATARZYNA KLIMKIEWICZ
„BO WE MNIE JEST SEKS"
POLSKA 2021

wyst. Maria Dębska, Leszek Lichota, Krzysztof Zalewski

GRA TYGODNIA: „FORZA HORIZON 5"

★★★★★★

„FH5" to od pierwszej minuty festiwal czystej przyjemności z jazdy! Pięknie wyglądająca w trybie jakości na XSX, superpłynna w trybie wydajności. Obok „Flight Simulator" i będącego tuż za rogiem „Halo Infinite" nowa „Forza" to pełnoprawna premiera Microsoftu nowej generacji. To nie jest typowa gra wyścigowa, to gra z samochodami w roli głównej, z otwartym światem (największym w historii serii; tym razem lądujemy w Meksyku) i mnóstwem contentu. Miliony graczy (udanej premiery pogratulował konkurentom sam Shuhei Yoshida, weteran branży szefujący obecnie PlayStation) nie mogą się mylić! Świetna gra, dostępna w GamePassie. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Playground Games, Xbox Game Studios*

eprasa.pl ad4328f552

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Między nami sąsiadami

Powieść ta opowiada o Austriakach i Austrii, w której autor mieszka od 14 lat, w takim samym jednak stopniu, jak jego wcześniejsza książka „Zostawić Islandię" (2016) traktowała o krainie gejzerów i zamieszkujących ją ludziach. Naprawdę i jedna, i druga opowiada o naszym pogmatwanym, dalekim od normalności świecie, w którym dobrze nie wiadomo, kto, kiedy i gdzie jest u siebie, a kto przebywa na gościnnych występach.

Można odebrać „Niech żyje śmierć!" jako zjadliwy, satyryczny obraz społeczeństwa austriackiego, tyle że innych nacji Hubert Klimko-Dobrzaniecki bynajmniej nie oszczędza. Dostaje się od niego wszystkim, skupmy się jednak na bohaterach powieści, było nie było, wiedeńczykach.

Na przykład tak oto scharakteryzowani zostali Austriacy o imieniu Hans: „… są blondynami albo rudzielcami, łysieją w młodym wieku, błyskawicznie przybierają na wadze, mają niebieskie oczy, rumiane twarze, niewiele do powiedzenia na temat bieżącej polityki, za to nazbyt chętnie sięgają pamięcią wstecz. [...] Poza knedlami lubią rosół z kluseczkami wątrobianymi, sałatkę ziemniaczaną ostro podlaną octem jabłkowym, no i sznycla. Sznycla wieprzowego, cielęce są zbyt drogie. Ich oszczędność balansująca na granicy skąpstwa zraża potencjalne partnerki. Dlatego znaczny procent Hansów żyje samotnie. Na starość jednak kupują psy. Preferują buty lekkie, wiązane nad kostką. Wybierają posady państwowe. Nie lubią zmian. Nierzadko doczekują emerytury w miejscu, w którym pracę rozpoczęli. Chętnie wykonują zawód katechety. Wynika to z ich pragmatyzmu, a jednocześnie z przywiązania do tradycji".

Ojciec bohatera „Niech żyje śmierć!" od typowego Hansa różnił się tym, że sznycle jadał wyłącznie cielęce: „Wieprzowymi gardził, uważał je za nędzną imitację o słowiańskim rodowodzie". Nie chodził na msze, nawet w święta, „uważał Kościół za organizację balansującą na granicy szaleństwa i zdrowego rozsądku, co wcale nie przeszkadzało mu być nauczycielem religii w jednym z powojennych stołecznych gimnazjów".

FOT. BOŻYDAR PAJĄK/ZNAK

Gdy III Rzesza wchłonęła Austrię, zajął się wysyłaniem do obozów „znacznej części mieszkańców Wiednia", których majątki przejmowało „państwo lub inni mieszkańcy Wiednia, zwykle ściśle związani z partią, do której należał". Od ministra propagandy dostał medal i podziękowanie za wkład w utrzymanie czystości rasowej, co po wojnie w angielskiej strefie okupacyjnej Wiednia wyceniono na pięć lat więzienia, z czego odsiedział trzy. Ot, taki miły austriacki życiorys, ale żeby był ciekawszy, należy dopowiedzieć, że obrotny tata bohatera powieści Huberta Klimki-Dobrzanieckiego wystarał się o dokumenty stwierdzające jego żydowskie pochodzenie i to, że „jego rodzina została zmuszona do wyrzeczenia się wiary przodków, by przetrwać, i że żona oraz dzieci przebywające w radzieckiej strefie okupacyjnej również są potomkami narodu prześladowanego". Natychmiast więc wypuszczono go na wolność, wypłacono odszkodowanie za niesłuszny wyrok, a nawet zaproponowano osiedlenie się w Wielkiej Brytanii. Z godnością odmówił, był przecież patriotą.

Po staremu uważał, że wszystkim nieszczęściom winni są Żydzi, Czesi są fałszywi, Węgrzy choć niby prawie Austriacy, to z uwagi na to, że stawiają nazwisko przed imieniem, mają nierówno pod sufitem, Belgowie to są tacy Francuzi, których nikt nie chce, a już sami Francuzi są narodem wyjątkowo paskudnym. Wszystkie te mądrości wkładał do głowy synowi, który na stare lata będzie z kolei uważał, że należy zlikwidować Szwecję, w Czechach widział komunistycznych agentów, Słowian generalnie, a Polaków w szczególności, podejrzewał o poważne defekty umysłowe, jako że nie potrafią porządnie nauczyć się tak łatwego języka jak niemiecki, natomiast samych Niemców nie trawił głównie dlatego, że jego szwagier w nazwisku swoim (Hoffer) miał dwa „f", jakby jedno nie wystarczało: „Oni zawsze musieli mieć więcej, nawet w personaliach". Podobała mu się tylko Italia, która jego zdaniem byłaby idealnym krajem, gdyby nie Włosi.

I nic dziwnego, że w jesieni życia całkowicie odebrało mu rozum i przedstawiał się jako protegowany gen. Franco, płk Ernesto Maria del por favor Muller, uczestnik kampanii marokańskiej, tajny łącznik Franco z Hitlerem.

W ostatniej części „Niech żyje śmierć!" relacjonuje autor konflikty na linii zwolenników tradycyjnych wiedeńskich sznycli i pochłaniaczy kebabów, nazwanych odpowiednio – przepraszam – Gównem Ziemi Niewiernych i Oliwkowymi. Można te spory obśmiać, tak jak wszystkie inne, ale nie ulega kwestii, że ich ciężar gatunkowy jest inny niż ten jakże dobrze nam znany z naszych wielowiekowych, wzajemnych europejskich czułości. ©℗

★★★★☆

HUBERT KLIMKO-DOBRZANIECKI „NIECH ŻYJE ŚMIERĆ!"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2021

eprasa.pl ad4328f552

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kasa albo życie

Żart i prowokacja są przyjaciółmi ciekawej literatury, o ile tylko nie stanowią jedynych powodów jej powstawania. Łukasz Zawada balansuje na granicy, ale warto się o efekt pospierać. Mnie bardziej zaciekawił, niż zirytował, choć w paru miejscach westchnąłem, bo nie jest dobrze, gdy człowiek parający się literaturą na poważnie ześlizguje się w akapity godne najbardziej topornych wstępniaków „Wyborczej".

Jednak nie wątpliwej jakości refleksje o Polakach i ich przywarach są najważniejsze w „Wydatkach", lecz lament nad stanem rzeczy w branży pisarskiej, wydawniczej i recenzenckiej. Główny bohater, twórca obiecujący i z nadziejami na prestiżową nagrodę (ważniejsza jest dla niego towarzysząca nagrodzie kasa, bo ze sławy człek nie wyżyje), lamentuje więc mniej więcej nad tym, co kiedyś opisał Lem: nikt nie czyta; jeśli czyta, to nie rozumie; jeśli rozumie, to zaraz zapomina. Zawada (czy też powieściowe alter ego Zawady) największe pretensje ma jednak o kesz: Czemu oligarchowie w Polsce nie dają pieniędzy pisarzom? Czemu zyskownych nagród mało? Czemu ze sprzedaży wpływy nędzne?

A co ze sztuką? Wszak ona najważniejsza, a nie pieniądze. Chyba. Tu Zawada wykonuje numer niemal cyrkowy: rozdział trzeci książki „Wydatki" składa się bowiem z... listy wydatków. Rok lakonicznych zapisków: poniedziałek, marchewka – 3,50 zł, piwo – 6 zł. I tak dalej. W tym szaleństwie jest metoda. Myślicie, że pieniądze w życiu pisarza ważne nie są? Otóż lista wydatków lepiej opowiada o tym, co słychać u bohatera, niż mogłyby powiedzieć rozlewne rozdziały autobiografii. W jednym miejscu znienacka pojawia się punkt „test ciążowy". W innym punkt „kokaina". Resztę czytelnik dopowiada sobie sam.

Kolejny rozdział (najlepszy w książce) i kolejna przewrotka. Tekst „365 dni, 42 923 złote i 45 groszy" okazuje się propozycją wydawniczą, na którą teraz odpowiada redaktor. Ale jego odpowiedź zamienia się w rozważania o talentach, pragnieniach i wolnej woli. I potem puenta, celowo dwuznaczna: czy prawdą (i sensem książki) jest wyznanie powieściowego Zawady, że nie ma pojęcia, dlaczego napisał to, co napisał? A może szydzi z nas sam autor, przekonany, że przyznanie się w formie powieści do niemocy i bezradności automatycznie go z tych przewin rozgrzesza? Niezależnie od tego, którą interpretację wybrać – nieźle napisane. ©℗

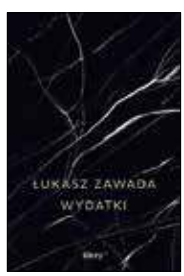

★★★★☆

ŁUKASZ ZAWADA „WYDATKI" WYDAWNICTWO FILTRY 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wspomnienia Polki odznaczonej medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Ukrywała Żydów w piwnicy domu majora SS, u którego pracowała. Zgwałcona przez żołnierzy sowieckich. Z PRL musiała wyjechać w 1949 r.

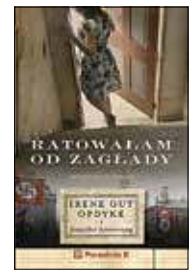

IRENE GUT-OPDYKE „RATOWAŁAM OD ZAGŁADY" PORADNIA K

Co zrobić, kiedy złe rzeczy przydarzają się dobrym ludziom? Najsłynniejsza książka amerykańskiego rabina, autora bestsellerów teologicznych, w których rozważa kwestię zła, sumienia, rozwoju duchowego i sztuki dobrego życia.

HAROLD S. KUSHNER „DLACZEGO WŁAŚNIE JA?" ZYSK I S-KA

Jedna z najbardziej znanych powieści autorki „Rebeki", sugestywne skrzyżowanie kryminału i romansu. Powieść dwukrotnie przenoszona na ekran (1952 r. – z Richardem Burtonem i Olivią de Havilland – i 2017 r).

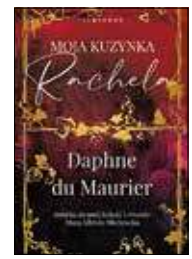

DAPHNE DU MAURIER „MOJA KUZYNKA RACHELA" ALBATROS

Znakomita historia wojny podwodnej, zresztą kunszt autora mogliśmy docenić, czytając „Podwodnych myśliwych" o zmaganiach z czasów zimnej wojny. Na przekład czekają książki o Arnhem i łowach na „Bismarcka". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

IAIN BALLANTYNE „ZABÓJCZE RZEMIOSŁO" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „SHENZEN"

Autobiograficzny komiks kanadyjskiego rysownika to opowieść o samotności i o barierze kulturowej nie do pokonania. Delisle wspomina czas, gdy nadzorował pracę nad serialem animowanym w mieście, gdzie nikt nie mówił po angielsku, a zamiast chińskiej egzotyki miał za oknami betonową pustynię. Podobny humor i melancholię znajdziemy w innym jego dziele, które ukazuje się równocześnie – „Kronikach z młodości". Wspomnienie wakacyjnej dorywczej pracy w fabryce papieru udowadnia, że świat robotników lat 80. XX w. może być równie obcy jak Chiny. ©℗

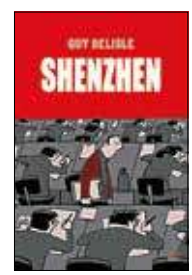

GUY DELISLE „SHENZEN" KULTURA GNIEWU 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl ad4328f552

Wrona o smaku lukrecji

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Weronika Jasiówka, tworząca pod pseudonimem Wrona, wygrała tegoroczną edycję konkursu Czwórki „Wydaj Płytę z Będzie Głośno". Wyrazistości i pomysłu na siebie nie sposób jej odmówić, talentu – zdaniem jurorów, którzy wskazali na nią jednogłośnie – również. Nagrodą dla młodych twórców zgłaszających się do tego konkursu jest nagranie i wydanie pierwszego albumu. Płytowy debiut „Wrony" (która w Czwórkowym konkursie została też wyróżniona za najlepszą muzykę i teksty przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS) ukazał się na początku listopada. Nosi tytuł „Sen o smaku lukrecji".

Album to o tyle wyjątkowy, że od początku do końca stworzony przez Weronikę. To przede wszystkim perkusistka i wokalistka, ale też multiinstrumentalistka, a czas pandemii wykorzystała do podszkolenia się w produkcji muzycznej. Zdolności i sił wystarczyło, aby stworzyć materiał bez niczyjej pomocy – w formie solo actu, co oznacza, że „Wrona" nagrywała każdy instrument po kolei, zapętlała, miksowała i podkładała do tego własny wokal wyśpiewujący własne teksty. – Podczas tworzenia piosenek nie zastanawiam się, po prostu pozwalam dojść do głosu emocjom. Czasem teksty przychodzą mi do głowy podczas spaceru. Notuję je wówczas, a dopiero potem piszę do nich muzykę – mówiła w Czwórce. – Przygotowanie materiału na tę płytę trwało bardzo długo i kosztowało sporo pracy. Ale to był proces, który musiałam przejść. Postanowiłam po prostu napisać piosenki o emocjach, które aktualnie mną targały – opowiadała. – Poza tym musiałam nauczyć się sama produkować muzykę, bo zaczynała się pandemia i nie miałam wyboru – dodawała.

Solową karierę Weronika Jasiówka rozpoczęła w 2018 r. Wcześniej długo związana była z rockowym girls bandem Brain's All Gone. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czas zatrzymany

Podróż ABBY („Voyage"), której efektem jest dziewiąta płyta szwedzkiego kwartetu, trwała 40 lat. Słuchając albumu, mamy jednak wrażenie, że czas stanął w miejscu.

Przed trzema laty ogłoszono reaktywację zespołu. W końcu, 2 września br., usłyszeliśmy dwie premierowe piosenki, a 5 listopada ukazał się album „Voyage". Benny i Björn założyli, że nie będą tworzyć pod presją czasu, a efekt końcowy musi spełniać ich wyśrubowane standardy. Do tego zdecydowali, że nie będą podążać za stylistycznymi modami ani nie wykorzystają nowoczesnych technologii nagraniowych.

Panom udało się wskrzesić wielkie, dramatyczne melodie, które definiowały dawny repertuar zespołu. Już otwierająca album ballada „I Still Have Faith in You" może wywołać gęsią skórkę u tych, którzy pamiętają tamte czasy. Taneczne single, „Don't Shut Me Down" i „Just a Notion" nawiązują do triumfu na Eurowizji, a „Keep an Eye on Dan" do dyskotekowych szaleństw. Retrowibracje słychać również w banalnym „Bumblebee" i przesłodzonym przez nachalny chórek dziecięcy „Little Things". Album wieńczy „Oda do wolności" z przesłaniem: „Chciałbym, żeby ktoś napisał odę do wolności, którą wszyscy moglibyśmy zaśpiewać".

ABBA sprzedała na świecie 385 mln płyt. Zamówienia w przedsprzedaży na „Voyage" osiągnęły tylko w Wielkiej Brytanii liczbę 110 tys. egzemplarzy. ©℗

★★★★☆☆
ABBA
„VOYAGE"
CAPITOL

★★★★★☆
DE PRESS
„BLOCK TO BLOCK"
APOLON

Reedycja, na białym winylu, legendarnego albumu wydanego w Norwegii w 1981 r. Andrzej Nebb, polski góral na emigracji, nagrał antysowiecki, punkowy manifest. „Kawhoz", „Tavarish", „Kis Me Rusia" i „Bo jo cie kochom" stały się w Polsce wielkimi podziemnymi przebojami.

★★★★☆☆
WOJTEK MAZOLEWSKI
„YUGEN"
AGORA

Uznany basista, tym razem z elektryczną gitarą w dłoniach, składa hołd wszechświatowi. Dominuje spowolniona muzyka ilustracyjna będąca zaprzeczeniem naszej goniącej rzeczywistości. W recytowanym „Manifeście" Wojtek zapewnia, że „wszyscy będą szczęśliwi". ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Oto mroczna historia epidemii

Co je powodowało?
Jakie wierzenia, mity i teorie spiskowe narastały wokół pandemii?
Jakie skutki przynosiła każda epidemia?
Właśnie tego dowiesz się z tej książki.

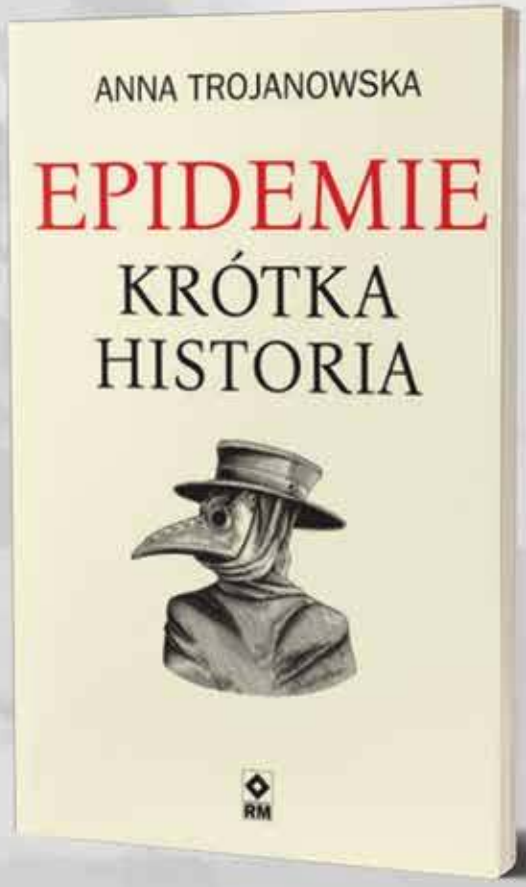

WYDAWNICTWO RM

Patroni medialni książki:

DO RZECZY

Sprawy Nauki

HISTORIA.ORG.PL

W SERII TAKŻE:

eprasa.pl ad4328f552

Pokażcie mi gołą babę

Dawid Ogrodnik w filmie „Wszystkie nasze strachy"
FOT. @JAROSLAWSOSINSKI.PL

Krzysztof Masłoń

– Fajny film wczoraj widziałem...
– Momenty były?

– A to zależy dla kogo. Mnie się na przykład Dawid Ogrodnik od tyłu bardzo podobał.
– A z przodu?

– Jakby mniej, ale fryzurę miał całą cudną. Taką jasną...
– Myśmy też sobie za komuny rozjaśniali piórska. Perhydrolem...

– Były czasy... Do kina się chodziło gołe baby pooglądać...
– A widzisz? A ty mi tu o dupie Maryni, to znaczy o dupie Ogrodnika opowiadasz. Gdzie ją widziałeś?

– W kinie właśnie, bo telewizji już nie oglądam, odkąd zaliczyłem wszystkich „Samotnych mężczyzn", wszystkie „Krainy burz", na Outfilmie przerobiłem „Matthiasa i Maxime", „Dlaczego nie ty" i „Zawsze na tak", na Netflixie „Hiacynta" i „Tamte dni, tamte noce". Co ci więcej będę mówił, przeszedłem całą „Sex education".
– No i co?

– I nic. I tak nikt piękniej nie całował jak Heath Ledger i Jake Gyllenhaal w „Tajemnicy Brokeback Mountain".
– W tej kwestii bym się z tobą nie zgodził. Jak towarzysz Breżniew wbił się w ust korale Gierkowi, to poeci o tym pisali, a ty mi opowiadasz o jakichś aktorach, na nazwiskach których zęby sobie można połamać. Ale, ale, to nie oglądasz już normalnych filmów, tylko pedalskie?

– Bo idę z duchem czasu i dlatego – jak ci mówiłem – w końcu wybrałem się do kina na „Wszystkie nasze strachy".
– No co ty, to ja je widziałem prawie 20 lat temu: z Benem Affleckiem, tym od „Pearl Harbor", też ślicznym mężczyzną, ale bez przepychu.

– Wszystko ci się plącze, bo mówisz o „Sumie wszystkich strachów", a ja byłem na „Wszystkich naszych strachach". Naszych, bo polskich, rodzimych, o wsi polskiej...
– Wsi spokojna, wsi wesoła...

– Wesoła nie bardzo, bo ludzie się w niej wieszają, jak taka jedna Jagoda, lesbijka, koleżanka bohatera, oczywiście też homosia, artysty zresztą, który jeździ po wsi motorem i stawia różne instalacje, jakby krzyże, bo to, uważasz, film religijny. Ja się na wiejskich instalacjach nie bardzo wyznaję, ale po filmie poczytałem sobie, że to dzieła sztuki typu site-specific.
– A co to znaczy?

– Skąd niby mam wiedzieć? Za moich czasów we wsi krzyż od zawsze stał na rozdrożu, a jeśli już coś stawiano nowego, to strachy na wróble. Co ci będę mówił: ciemnota, zacofanie, brud i ubóstwo. Nie to, co teraz, tylko szkoda, że temu postępowi i nowoczesności brużdżą księża, jak ten z filmu, który odmawia artyście opłatka. A ten ma i kolczyk w uchu, i dresik gustowny, i motocykl, a nawet zgrabne pośladki, co nie powinno być dla klechy obojętne.
– A klecha też homo?

– Postać nie, aktor jak najbardziej. To mi się zresztą we „Wszystkich naszych strachach" wyjątkowo podoba, że są one tak bliskie naszej rzeczywistości.
– No to wyraźnie już dawno nie byłem na wsi, bo zupełnie inne miałem o niej wyobrażenie.

– Naoglądasz się TVP Info i nie dostrzegasz rewolucyjnych zmian, które zaszły i pod strzechami. Idź do kina, a się przekonasz. I to ci jeszcze powiem, że te polskie „Strachy..." na najważniejszym z ważnych festiwali w Gdyni uznane zostały za najlepszy polski film.
– Bo to pierwszy polski film LGBTQ, tak?

– Czyś ty zgłupiał? A takich przedwojennych filmów jak „Czy Lucyna to dziewczyna?" nie oglądałeś?
– Nie żartuj, pytam serio.

– No to ci odpowiem, że na liście polskich filmów nowej generacji znajdziemy „Płynące wieżowce" i „Trans-misję", „W imię..." i „Salę samobójców", filmy Piekorz i Glińskiego... Co jeszcze? A, „Kochanków z Marony" Cywińskiej według Iwaszkiewicza...
– Tych „Kochanków..." to ja widziałem, ale bardzo dawno temu i kto inny ich skręcił...

– Bo to była wcześniejsza wersja nieuznana jeszcze za LGBTQ. Nie przeszła weryfikacji, rozumiesz.
– To jak mój szwagier, którego po zaszczytnej milicyjnej służbie dla PRL nie przyjęto do policji, za co do dziś Bogu dziękuje, bo i pieniądze ma, i społeczny szacunek.

– No właśnie. A Iwaszkiewicz, którego też czepiano się za to, że komuchom wchodził w cztery litery bez mydła, co zresztą bardzo lubił, uchodzi dziś za klasyka i taki „Zygfryd" – też według jego opowiadania – sprzed prawie 40 lat otwiera dziś przeglądy kina łamiącego stare przesądy.
– Tak cię słucham, kochany, i nadziwić się nie mogę, jaką ty wiedzę filmową i nie tylko posiadłeś. To chyba ta nowoczesna sztuka rzuciła ci się na mózg. Może byś dla odtrutki telewizję pooglądał.

– Mówiąc między nami, to czasem zerknę w to pudło, odkąd zamówiłem sobie Blue Hustler, XXL i jakieś inne kanały...
– Pornograficzne?

– Coś ty – erotyczne. Ale tradycyjne. Z gołymi babami.
– A filmy lesbijskie ci nie wystarczą?

– Te wszystkie „Współlokatorki" to są dla młodzieży z poważnymi defektami umysłowymi, jak się zdaje. Tak że niechętnie o tym mówię, bo to zupełnie nie trendy, ale czasem mam ochotę zobaczyć, jak to się robi naprawdę.
– A nie lepiej samemu to zrobić?

– Kiedy się wstydzę. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

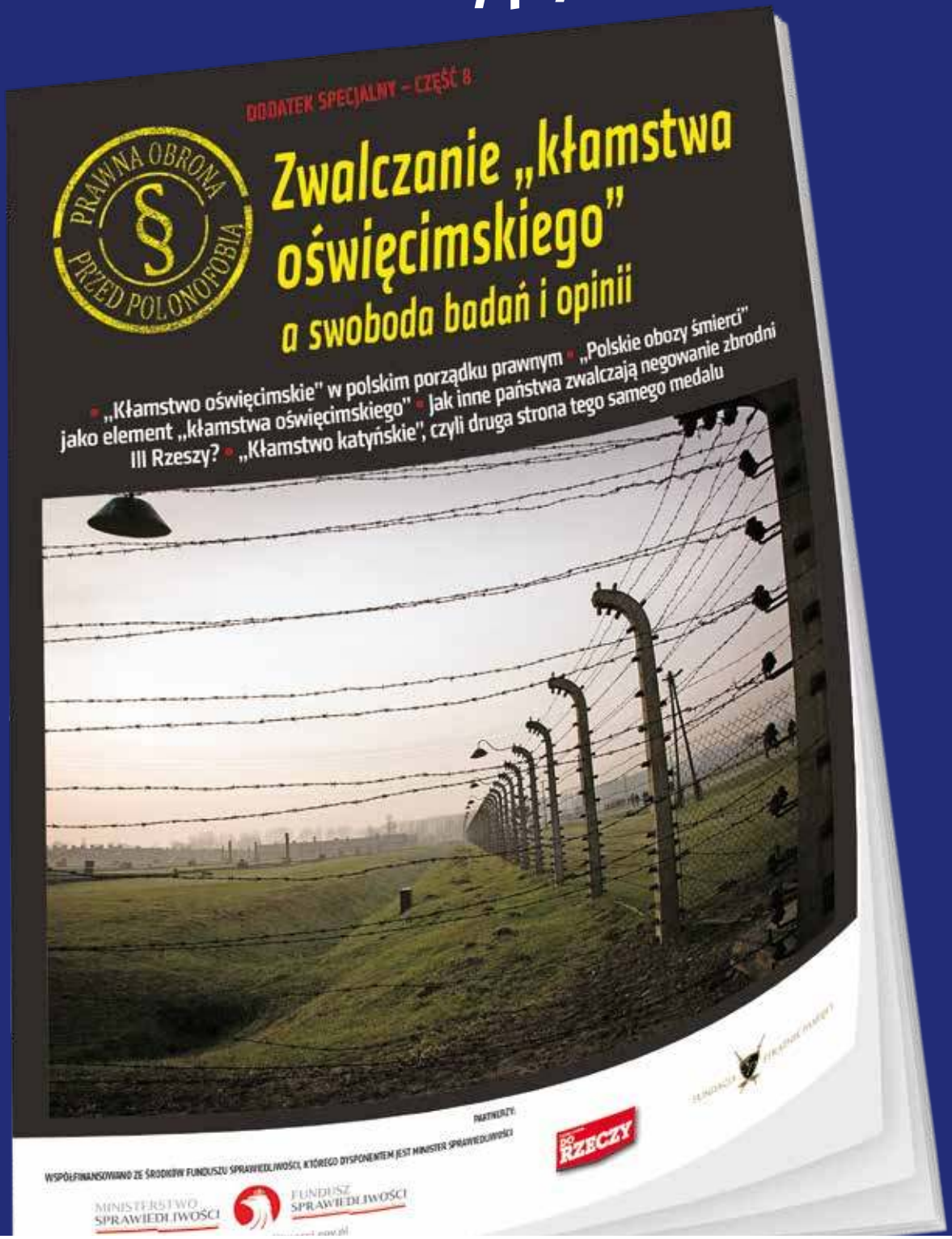

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

eprasa.pl ad4328f552

Nagroda Mackiewicza – laudacja dla Pawła Lisickiego

„Kaliber dzieła dziś nagrodzonego przez Kapitułę Nagrody im. Józefa Mackiewicza bierze się z dogłębności wiwisekcji kryzysu tożsamości i kryzysu wiary, który dotyka dziś Sancta Ecclesia Romana" – mówił Jacek Bartyzel w swej laudacji dla redaktora naczelnego „Do Rzeczy" wyróżnionego Nagrodą Mackiewicza. Poniżej treść laudacji

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Bartyzel

Paweł Lisicki od ponad ćwierćwiecza jest postacią zaznaczającą dobitnie swoją obecność w kulturze polskiej jako eseista, powieściopisarz, dramaturg i dziennikarz. Już po jego debiucie Czesław Miłosz zauważył, że Lisicki czuje „głęboko wymiar teologiczny literatury i sztuki", toteż „mamy prawo spodziewać się, że będzie następcą młodo zmarłego Bolesława Micińskiego". Każdą ze swoich ok. 20 książek Lisicki potwierdza z nawiązką tę przepowiednię.

Kaliber dzieła dziś nagrodzonego [„Dogmat i tiara. Esej o upadku rzymskiego katolicyzmu" – przyp. red] przez Kapitułę Nagrody im. Józefa Mackiewicza bierze się z dogłębności wiwisekcji kryzysu tożsamości i kryzysu wiary, który dotyka dziś Sancta Ecclesia Romana. Ból i trwoga, które odczuwać musi z tego powodu każdy wierzący i świadomy swojej wiary katolik, potęgują świadomość, że kryzys ten nie jest, przynajmniej zasadniczo, skutkiem działań zewnętrznych, jakiegoś „najazdu barbarzyńców" czy prześladowców, lecz że dzieła samozniszczenia rzymskiego katolicyzmu dokonują ci, którzy winni być jego strażnikami. Spustoszenie Winnicy Pańskiej dokonywane jest rękami pasterzy Kościoła i za ich przyzwoleniem. Nawet jeśli – jak Paweł VI – zauważają oni, że w obrębie katolicyzmu zaczyna dominować myśl niekatolicka, a swąd szatana przedostał się do Kościoła przez jakąś szczelinę, to i tak nie podejmują działań powstrzymujących szerzenie się tego zła.

DWA FILARY

Wielką zasługą Pawła Lisickiego jest to, że nie zadowala go proste – zbyt proste – wyjaśnienie, iż za tragiczną kondycję katolicyzmu wyłączną winę ponosi obecny biskup Rzymu (jak sam chce się jedynie nazywać) Franciszek. Można by rzec, że „bergoglianizm" i wszystkie jego ekscesy, na czele z deklaracją z Abu Zabi głoszącą, iż wielość religii jest chciana przez Boga, to nie kryzys, lecz rezultat kryzysu, który nie mógł zacząć się dopiero wczoraj. Lisicki jest analitykiem radykalnym, to znaczy takim, który sięga do „korzenia" (radix) problemu. Stawia pytanie, kiedy się to wszystko zaczęło, i odkrywa, że wtedy, kiedy Kościół przestał potępiać herezje, ponieważ nie potępiać niczego, znaczy

eprasa.pl ad4328f552

aprobować wszystko, a aprobowanie wszystkiego oznacza, że nie ma już wiary katolickiej. Nie jest oczywiście pierwszym, który zauważył, że proces destrukcji i rozkładu zapoczątkowany został na Soborze Watykańskim II, ma w tym wielu i wielkich poprzedników, do których się odwołuje. Za abp. Carlem M. Viganò powtarza, że obecny kryzys stanowi przerzut raka soborowego i nie da się tej choroby przezwyciężyć bez rozpoznania i odrzucenia błędów tego zgromadzenia. Indywidualną zasługą Lisickiego jest natomiast precyzyjne wskazanie dwóch filarów nośnych katolicyzmu rzymskiego, które zostały zaatakowane i zdruzgotane przez triumfujący na soborze i po nim progresistowski nowotwór. Tymi dwoma filarami są: zasada dogmatyczna i zasada autorytetu spersonifikowana w papieżu jako ziemskim namiestniku Chrystusa i usymbolizowana w tiarze.

Lisicki broni przeświadczenia, że dogmat „to droga do Nieba, furtka i brama do życia nadprzyrodzonego". Bez dogmatu religia katolicka nie istnieje, gdyż do bycia katolikiem nie wystarczy uczucie religijne. Dogmat jest ujęciem w adekwatne i precyzyjne formuły całości niepodzielnej wiary katolickiej – czyli przylgnięcia rozumu do prawdy objawionej dzięki łasce – dlatego jego wyznawanie jest do zbawienia konieczne, tym samym zaś niemożliwa jest tolerancja dla przeciwnych mu błędów, a obowiązkowa nietolerancja dla nich. Potępienie herezji jest widomym znakiem, że prawdę traktuje się poważnie.

W STRONĘ EKUMENIZMU

Drugą stroną tego medalu jest zniszczenie zasady autorytetu – paradoksalnie przez samego papieża – rozpoczęte porzuceniem monarszej tiary przez Pawła VI, po którym już żaden papież nie został ukoronowany. A tiara – przypomina Lisicki – pokazywała, że wszelka ziemska władza poddana jest pod zwierzchnictwo papieża, czyli w ostateczności, że pochodzi ona od Chrystusa. Tiara wyrażała nadzieję na to, że cały świat zostanie poddany jednej wierze, jednemu prawu Bożemu, królewskiemu majestatowi Chrystusa. Tak jak rezygnacja z potępiania herezji sparaliżowała zasadę dogmatyczną, tak samo porzucenie tiary było znakiem (samo)spętania duchowej władzy papieża nad światem, wycofaniem się jego autorytetu.

Lisicki wskazuje, że z chwilą utworzenia w Kurii Rzymskiej Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan prawda katolicka została podporządkowana wymogom ideologii ekumenizmu, co nieuchronnie prowadzi do rozrzedzania, rozmywania, wygładzania i reinterpretowania treści dogmatycznych tak, aby były one możliwe do zaakceptowania przez innowierców. Niemająca żadnego zakotwiczenia w Tradycji, a wyrażona w deklaracji „Dignitatis humanae" nowa doktryna „wolności religijnej" oparta jest na pomieszaniu faktycznej wolności wyboru z „prawem" wolnego wyboru. Zgodnie z tym myśleniem to wybór nadaje wartość prawdzie, a nie prawda wyborowi. Jeśli jednak człowiek ma prawo do błędu moralnego i religijnego, to – zauważa Lisicki – Bóg nie może wiązać człowieka swoim prawem i posłuszeństwem wobec Objawienia ani w konsekwencji karać za to, że człowiek Go nie wybrał. Sobór wtedy faktycznie ogłosił zasadę neutralności moralnej ludzkiego wyboru i zachowanie przez człowieka godności całkowicie niezależnej od dokonanego wyboru. Odtąd to godność jest absolutna, a prawda jest względna. Oznacza to też proklamowanie absolutnej wolności i równości dla każdej religii i każdego kultu, co prowadzi nieuchronnie do sekularyzacji państwa i dechrystianizacji społeczeństwa.

W rozpoznaniu Lisickiego „nowy" katolicyzm – już nie dogmatyczny, lecz ekumeniczny – ma zatem trzy fundamenty: pozytywny stosunek do innych religii; przyznanie człowiekowi „naturalnego" prawa do błędu; uznanie, że władze publiczne i państwa nie mają żadnych obowiązków względem Boga i religii prawdziwej. Sobór otworzył drzwi dla nowej religii antropocentrycznej, dla katolicyzmu ekumenicznego, dla – jak mówi Franciszek – „nowego humanizmu". To pomieszanie prawdy z błędem, dwuznaczności, szukanie formuł kompromisowych sprawiło, że „w zderzeniu z coraz potężniejszym przeciwnikiem – ideologią neomarksizmu, tyranią ruchu LGBT+, feminizmem – Rzym staje się bezbronny".

BÓL I TROSKA

O wszystkich tych nieszczęściach Paweł Lisicki pisze z nieskrywanym bólem i troską, nie szczędząc też sarkazmu czy nawet złośliwości, usprawiedliwianych tragizmem sytuacji, a książce nadających walor szczerości i autentyczności. Najważniejsze wszelako jest pytanie, dokąd zmierza Kościół. Lisicki pyta z drżeniem serca, jak sądzimy, czy katolicyzm z już sparaliżowaną zasadą dogmatyczną i zasadą autorytetu, katolicyzm ekumeniczny, nie pogrąży się jeszcze bardziej i nie przeistoczy w katolicyzm eku- meniczno-feministyczno-genderowo-homoseksualno-postępowy, a więc taki, jaki sam Lisicki opisał kilka lat temu w fabularnej dystopii „Epoka Antychrysta". Obawy te nie są płonne, bo żadne „znaki czasu" nie wskazują, by mogło być inaczej, więc katolikowi zatrwożonemu tym stanem rzeczy pozostaje jedynie wiara w obietnicę Pana, że „bramy piekielne Go [Kościoła] nie przemogą" (Mt 16,18). W ostatnich akapitach swojej książki autor wyraża nadzieję, że Bóg raz jeszcze zlituje się i wstrzyma Swój gniew, ocali Kościół oraz świat przed takim poniżeniem, zbrukaniem i profanacją: „Może rzeczywiście znowu zstąpi Duch i sprawi, że katolicy na nowo odkryją piękno, wspaniałość i majestat zasady dogmatycznej, że odzyskają z muzeum tiarę i nałożą ją ponownie na głowę papieża, który będzie robił to, do czego został powołany: umacniał w wierze, głosił prawdę w porę i nie w porę, odrzucał błędy i herezje".

Prawie sto lat temu Miguel de Unamuno – myśliciel daleki od ortodoksji, co trzeba zastrzec – napisał książkę o „agonii chrześcijaństwa". Chociaż książka ta wyraża ducha protestanckiego raczej niż katolickiego i znalazła się na Indeksie, jej podstawowa myśl, uwidoczniona w samym tytule, jest trafna: chrześcijaństwo w swojej istocie jest „agoniczne" w rdzennym znaczeniu greckiego słowa „agon", czyli „walka", „zmaganie się". Agon ten, którego stawką jest wieczne zbawienie albo potępienie, toczy się w duszy każdego wiernego i w całym Mistycznym Ciele Chrystusa, w Kościele Wojującym na ziemi. Naszym zadaniem jest być w tej walce po właściwej stronie, a to, jaki będzie jej doczesny rezultat, nie od naszej woli już zależy. Jak pisze Lisicki, „przyszłość jest w ręku Boga i będzie tak, jak On o tym zadecyduje".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, działaczem społecznym, politycznym i nauczycielem akademickim, profesorem nauk społecznych. Działał w opozycji antykomunistycznej w PRL.

eprasa.pl ad4328f552

Nie bądźmy prymusami zrównoważonego rolnictwa

Jakub Wozinski

W polemice z moim tekstem na temat skutków europejskiego Zielonego Ładu dla polskiego rolnictwa europejski komisarz ds. rolnictwa i rozwoju wsi Janusz Wojciechowski ostrzega przed morderczym wyścigiem zamieniania rolnictwa w przemysł. Prawdziwie morderczy wyścig dostrzec można jednak w próbie totalnego przemodelowania naszej rzeczywistości społecznej przez ekologistów

Uprzemysłowienie rolnictwa, spadek jakości żywności i wynikające z niego problemy zdrowotne to fakty, z którymi nie sposób się spierać. Zdaniem Janusza Wojciechowskiego, aby to naprawić, trzeba zaakceptować nową politykę europejskiego Zielonego Ładu. Jeżeli więc rozważamy zamiar uratowania rolnictwa przed ekologiczną katastrofą, to warto najpierw sięgnąć pamięcią wstecz, jak do tej pory w kwestiach środowiskowych postępowała Unia Europejska, która obecnie bardzo pragnie występować w roli zielonego prymusa, choć wcześniej bywało z tym różnie.

Uwagę zwraca przede wszystkim obowiązujący od lat 50. XX w. system dopłat, który przyczynił się do ogromnych zniekształceń w zakresie użytkowania ziemi. Setki tysięcy hektarów gruntów w całej Europie zostały w ten sposób wydarte naturze tylko dlatego, że można za nie otrzymywać dopłaty, a wiele z nich i tak nie służy ani rolnictwu, ani naturze, lecz wyłącznie pozyskiwaniu dopłat. Unia Europejska nieustannie bohatersko walczy z trudnościami, które sama stworzyła, dlatego obecnie zamierza ograniczyć dopłaty jedynie dla faktycznie uprawiających ziemię, choć – jak pokazuje dotychczasowa praktyka – nie ma przepisu, którego nie dałoby się obejść.

FAŁSZYWY RZECZNIK DROBNYCH ROLNIKÓW

Forsowana od dziesięcioleci i niezwykle kosztowna Wspólna Polityka Rolna (pochłaniająca średnio 30–40 proc. unijnego budżetu) doprowadziła jednocześnie do wielu innych zaburzeń, jak choćby wypracowania finansowych i systemowych zachęt do tworzenia większych gospodarstw (lub ich łączenia), wzrostu cen ziemi, maszyn i materiałów, a także podniesienia kosztów produkcji rolniczej. Komuż innemu, jak właśnie Unii Europejskiej i jej polityce rolnej należy przypisać znaczną odpowiedzialność za to, nad czym tak bardzo ubolewa Janusz Wojciechowski? Opisywaną przez niego „drogę do buntu natury" wytyczała intensywnie właśnie sterowana z Brukseli polityka, w wyniku której średnia powierzchnia użytków rolnych wzrosła w Polsce z 7,4 ha w 2002 r. do 11,1 ha w 2020 r., a liczba gospodarstw rolnych tylko w ciągu ostatniej dekady spadła o 200 tys. Unia bardzo chce występować dzisiaj w roli rzecznika małych i ekologicznych gospodarstw produkujących na lokalne rynki, ale do tej pory czyniła wszystko, aby właśnie one znalazły się w odwrocie. Choćby z tego powodu trudno uznać jej obecne działania za wiarygodne.

Przyznawszy nawet na moment, że „zagrożeniem byłby brak Zielonego Ładu", nie sposób na całą sprawę nie spojrzeć w pewnym szerszym kontekście, który wyznacza radykalna polityka klimatyczna Brukseli. Unia Europejska narzuca właśnie wszystkim krajom członkowskim najbardziej forsowny na świecie program osiągnięcia neutralności klimatycznej, który już teraz przyczynił się do znacznych zawirowań na rynku energetycznym i jest jednym z najważniejszych czynników odpowiedzialnych za przyspieszającą inflację. Zachwalana przez komisarza Wojciechowskiego polityka zrównoważonego rozwoju przynosi ze sobą w efekcie całkowicie niezrównoważone budżety, rozdęte deficyty i narastający chaos w gospodarce.

ZIELONY MŁOT NA KONKURENCJĘ

Mój polemista przekonuje, że „jeśli ktoś dziś myśli w Europie, że będzie się ścigał w konkurencji światowej na intensywność i masowość produkcji rolniczej, to jest w błędzie". Realia są wciąż jednak takie, że Polska jest 15. największym na świecie eksporterem żywności, a wartość rocznego eksportu to 37,5 mld dol. Perspektywa odchodzenia od intensywności i masowości produkcji musi być więc wzięta w bardzo głęboki nawias, jeśli nie chcemy z dnia na dzień pozbawić się bardzo dochodowej dziedziny gospodarki.

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na to, że zachwalana przez Janusza Wojciechowskiego polityka zrównoważonego rozwoju w zastanawiająco wielu elementach szkodzi krajom rozwijającym się. Tak jak narzucana przez najbogatsze państwa świata polityka dekarbonizacji uderza najsilniej w potrzebujące znacznej ilości taniej energii państwa, do których m.in. ze względu na tanią siłę roboczą przeniesiona została znaczna część produkcji przemysłowej, tak też w przypadku rolnictwa propozycje Zielonego Ładu uderzą najmocniej w kraje takie jak Polska, w których niższe koszty zapewniają istotną przewagę

eprasa.pl ad4328f552

FOTJAN

Rolnictwo

to nie przemysł, ziemia nie fabryka, zwierzęta nie maszyny

Zielony rozkład

nad konkurencją z bardziej zamożnych krajów.

DOTOWANIE LUKSUSU, NIE EKOLOGII

Teraz ulegnie to niestety zmianie, ponieważ zgodnie z proponowaną reformą Wspólnej Polityki Rolnej nawet 35 proc. środków ma być podporządkowanych przeciwdziałaniu zmianom klimatycznym. Oznacza to, że zwiększone zostaną dotacje m.in. na uprawy ekologiczne. Nowe schematy będą więc o tyle dobrowolne, że stworzą patologiczną sytuację, w której przetrwanie na rynku w wielu wypadkach zapewni właśnie sięgnięcie po nowe dotacje.

Warto także zwrócić uwagę, że setki miliardów euro przeznaczanych na ekologiczne rolnictwo nie przyczynią się wcale do promocji produkcji naprawdę ekologicznej, lecz co najwyżej luksusowej produkcji certyfikowanej. Prawdziwie ekologiczna produkcja na dużą skalę jest możliwa jedynie na tradycyjnie funkcjonującej wsi opartej na wielopokoleniowej i licznej rodzinie, która za sprawą Unii w sporej mierze już dawno zniknęła. Liczba tradycyjnych gospodarstw topnieje w zatrważającym tempie, a chętnych do życia na gospodarstwie młodych kobiet jest dramatycznie mało. Zielony Ład nie odtworzy ekologicznego charakteru dawnej wsi, lecz co najwyżej stworzy zachęty do rozwinięcia produkcji certyfikowanej przez wielki kapitał.

Gdyby wierzyć słowom komisarza Wojciechowskiego, założenia Zielonego Ładu miały być rzekomo najpierw opracowane w Warszawie, a propozycja Brukseli jedynie dopasowała się do tych oczekiwań. Jak łatwo zauważyć, mój polemista stara się zamanifestować tym samym, że rząd w pełni kontroluje sytuację. W rzeczywistości wygłaszanie tego typu opinii stanowi rodzaj ucieczki przed faktem, że polityka Unii Europejskiej uległa w ostatnim czasie znacznej ideologizacji. Dobrą ilustracją tego jest choćby mechanizm „społecznej warunkowości", który pod pretekstem wspomnianych w polemice nadużyć jeszcze bardziej powiększa zakres urzędniczej kontroli nad obywatelami. Jako kraj, który w ostatnich miesiącach jest nieustannie szantażowany przez Brukselę groźbą wstrzymania wypłaty przysługujących nam środków, nie powinniśmy mieć większych złudzeń co do tego, że nowe mechanizmy warunkowości dopłat rolniczych nie będą wykorzystywane w szkodzący nam sposób.

WIARA W DOBRE INTENCJE POTĘŻNYCH

W słowach komisarza Janusza Wojciechowskiego pobrzmiewa niestety autentyczna wiara w to, że cały świat spontanicznie i z głębi serca sięga po ekologiczne rozwiązania w rolnictwie. Mój polemista przywołuje nawet korzystne jego zdaniem postanowienia ostatniego szczytu państw grupy G20 w Rzymie, choć właśnie na nim padły po raz pierwszy tak znaczące deklaracje na tym szczeblu dotyczące redukcji emisji metanu, które niosą ze sobą kolejne ogromne zagrożenia dla polskiego rolnictwa. W zakrojonych na coraz większą skalę globalnych porozumieniach ekologicznych nie sposób niestety dostrzec realnej troski o dobro środowiska naturalnego, lecz raczej brutalnie narzucaną wolę silniejszego pragnącego pozbyć się konkurencji.

Janusz Wojciechowski twierdzi, że „na świecie zaczyna się wielki wyścig na jakość produkcji rolniczej". To prawda, segment zdrowej i ekologicznej żywności odgrywa z roku na rok coraz większą rolę. Na świecie żyje jednak 7,9 mld osób, a do 2064 r. ma ich być nawet 9,7 mld. Byłoby wspaniale, gdyby te ogromne rzesze dało się wykarmić najbardziej zdrową żywnością, lecz „wyścig na ilość" jeszcze długo będzie niestety koniecznością, jeśli tylko miliony mają nie umrzeć z głodu. Nie wierzmy też zanadto składanym nagminnie ekodeklaracjom, gdyż jak pokazuje chociażby przykład dekarbonizacji państw, które najgłośniej agitują za pospiesznym zamykaniem kopalń, kraje te jednocześnie wciąż zwiększają wydobycie węgla w swoich kopalniach.

Tytuł polemiki do mojego tekstu głosi: „Rolnictwo to nie przemysł, ziemia to nie fabryka, zwierzęta to nie maszyny". Bez względu na to, jak wzniosłe hasła by padły, należy zawsze pamiętać, że działalności rolniczej nie da się niestety prowadzić w abstrakcji od rachunku ekonomicznego. Wielkiego zwrotu ku bardziej ekologicznym i naturalnym metodom produkcji nie da się dokonać bez odpowiedniej zmiany świadomości po stronie konsumentów, którzy muszą sami nauczyć się wydawać na zdrową żywność więcej pieniędzy i dokonywać odpowiednich wyborów. Odgórnie zadekretowany zwrot w kierunku ekologiczności – na dodatek na poziomie liczącej prawie 450 mln mieszkańców wspólnoty – wywołać może niestety efekt odwrotny od zamierzonego, gdyż wobec drożyzny i niedoborów wywołanych wdrażaniem Zielonego Ładu (nie tylko w rolnictwie) jeszcze bardziej wzrośnie popyt na tanią i niezdrową żywność, którą i tak ktoś będzie musiał w końcu wyprodukować.

W interesie Polski i polskiego rolnictwa nie leży więc wybieganie w podskokach ku polityce zrównoważonego rozwoju, lecz najdalej posunięta ostrożność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Jerzy Dąbrowski

Ubecy zabili Jana „Anodę" Rodowicza, zgniatając go w szafie. Potem prześladowali jego brata. Wsadzono go do więzienia z wyrokiem śmierci

Nagrodę Specjalną na XV Festiwalu Polonijnym „Losy Polaków" w listopadzie ubiegłego roku otrzymał film Małgorzaty Rodowicz i Jolanty Kessler przygotowany dla TVP pt. „Opowieści Rodowiczów". W dokumencie Rodowicz przybliża losy członków swojej rodziny.

Najbardziej znanym jest oczywiście jej stryj Janek Rodowicz. Pani Małgorzata zapamiętała go jako żywiołowego, młodego człowieka o niesamowitym poczuciu humoru. „Anoda" przyjeżdżał do Zalesia, gdzie wówczas mieszkała z rodzicami i siostrami. Zawsze nosił ją na barana po ogrodzie. Dzieci czekały na kolejne odwiedziny stryja.

„Anoda" od 1940 r. był w ZWZ, potem AK. W 1943 r. przeszedł do batalionu „Zośka". W akcji pod Arsenałem po raz pierwszy dostał Krzyż Walecznych. Za dowodzenie w natarciu na ulicę Młynarską, podczas powstania, otrzymał Virtuti Militari.

Po wojnie brał udział w ekshumacjach swoich kolegów z batalionu „Zośka" na Powązkach.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1948 r. dzieci widziały stryja po raz ostatni. Według oficjalnej wersji „Anoda" popełnił samobójstwo, wyskakując przez okno 7 stycznia 1949 r. w trakcie przeprowadzania go z aresztu. Ubecy przywieźli ciało Janka na cmentarz i kazali go pochować jako N.N. Pracownicy biura pogrzebowego rozpoznali go i poinformowali rodziców, w którym miejscu leży ich syn. Dzięki temu udało się przenieść ciało „Anody" do rodzinnego grobu.

Dopiero po latach ciocia Zońka, mama Janka, powiedziała Małgorzacie Rodowicz, jak naprawdę zginął jej stryj. Zastrzegła przy tym, aby nikt z rodziny, za jej życia, nie wyjawił tej prawdy. Jeden z ubeków będący przy przesłuchaniu Janka Rodowicza nie wytrzymał i powiedział rodzicom prawdę. Ubecy podczas przesłuchania ściskali ciało „Anody"

Jan Rodowicz „Anoda" zginął w 1949 r. Rodzina dowiedziała się, że zamordowali go podczas przesłuchania funkcjonariusze UB FOT. AIPN

eprasa.pl ad4328f552

Prześladowanie Rodowiczów

w specjalnej szafie, która służyła do zadawania tortur. Żebra przebiły mu płuca...

ARESZTY I ZASTRASZANIE

Dwa miesiące po śmierci „Anody" uwięziono ojca pani Małgorzaty – Stanisława Rodowicza. Pracował wówczas w Wielkopolsce nad filmem zamówionym przez wiejską spółdzielnię. Jeszcze przed wojną był reżyserem i operatorem krótkometrażowych filmów dokumentalnych.

Tego dnia UB przeszukał dom w Zalesiu. Po 18-godzinnej rewizji funkcjonariusze zabrali wiele fotografii i dokumentów. Jednym z największych „dowodów" na zdradę ludowej ojczyzny był list wysłany z Berlina. Natychmiast po kapitulacji Niemiec Stanisław pisał do żony, że ktoś zaproponował mu przejście do Amerykanów. Pomyślał jednak, że nie mógłby zostawić swojej rodziny i trudno byłoby mu żyć z dala od ojczyzny. Stanisław Rodowicz wyjechał do Niemiec z Wytwórnią Filmową Wojska Polskiego zwaną popularnie Czołówką, z którą zaczął współpracować w 1945 r.

Nikt z domowników nie mógł zrozumieć powodu, dla którego ojciec pani Małgorzaty został aresztowany. Przez cały czas pobytu w więzieniu nie przedstawiono mu żadnych zarzutów. Kiedy prowadzono go z przesłuchania do celi, słyszał głosy żony, córek i teściów. Był przekonany, że jego najbliżsi są przetrzymywani w jednej z cel.

Strażnicy dyskutowali przy nim, że przez jego głupi upór i nieprzyznawanie się do winy grozi im niebezpieczeństwo. Okazało się, że głosy były nagrane. Chciano go zastraszyć i wydobyć w ten sposób zeznania. Do niczego się nie przyznał. Wypuszczono go po pół roku przetrzymywania w więzieniu Informacji Wojskowej przy ulicy Oczki w Warszawie. Prawdopodobnie myślano, że sam doprowadzi śledzących go ubeków do ludzi, z którymi współpracował w czasie wojny.

17 lutego 1950 r. Stanisław Rodowicz został zatrzymany po raz drugi. Żona Krystyna dowiedziała się, że został aresztowany na polecenie Generalnej Prokuratury i przebywał w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej.

Została sama z trojgiem małych dzieci. Od razu zaczęły się kłopoty finansowe. Szukała pracy, ale odpowiadano jej: „Dla takich jak Wy nie ma u nas miejsca". Robiła na drutach sweterki, które sprzedawała za niewielkie pieniądze. Pomagał jej 75-letni ojciec, który dzięki redaktorowi Wernicowi umieszczał swoje artykuły w „Tygodniku Powszechnym".

Raz na trzy tygodnie, w poniedziałek, Krystyna Rodowicz chodziła na ulicę Kozią, gdzie mieściła się Generalna Prokuratura. Tam trzeba było odstać cztery–pięć godzin w kolejce, aby dowiedzieć się, że „śledztwo ciągle trwa" i nakazywano przyjść za trzy tygodnie. Wreszcie przygotowano akt oskarżenia i proces odbył się 20 września 1950 r.

Rodowiczowi zarzucano współpracę z Niemcami w czasie wojny i udział w zamordowaniu komunistów: Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej, byłej kochanki Bieruta.

W 1953 r. ojciec pani Małgorzaty napisał w liście do swojego brata Władysława: „Po raz pierwszy od dnia otrzymania wyroku byłem w stanie, uwziąwszy się, przeczytać jednym tchem ten stek bzdur i obrzucania błotem, jakim jest ten wyrok. Nigdy, ani razu, nie przeczytałem go w całości. Dopiero przepisywanie zmusiło mnie do tego, ale byłem przy tym zupełnie wytrącony z równowagi i właściwie chory".

Jako świadek obrony w procesie Stanisława Rodowicza wzięła udział córka ukrywającego się w ich domu podczas okupacji Żyda – dr. Marcelego Landsberga, Elżbieta Szaniawska. Jednak na rozprawie nie pozwolono jej mówić o zasługach Stanisława Rodowicza i kazano jej wyjść z sali.

O prawdziwym powodzie aresztowania i skazania na karę śmierci oskarżony nigdy się nie dowiedział. Możemy się jedynie domyślać, że stalinowski aparat bezpieczeństwa chciał go zabić w „majestacie prawa" za jego pracę dla Armii Krajowej w czasie wojny.

UKRYTA RADIOSTACJA

W latach 30. Stanisław Rodowicz ukończył Szkołę Podchorążych Łączności w Zegrzu i Politechnikę Gdańską. We wrześniu 1939 r. jako zastępca szefa łączności bronił twierdzy Modlin. W pierwszych miesiącach wojny przedstawiciel ZWZ zaproponował mu zorganizowanie łączności radiowej pomiędzy krajem a sztabem Naczelnego Wodza w Londynie. Do jego domu przy ulicy Fortecznej 4 w Warszawie sprowadzano przenośne radiostacje, a także trzyczłonową radiostację bateryjną z 1938 r., która służyła największemu na świecie balonowi stratosferycznemu „Gwiazda Polski". Ojciec pani Małgorzaty od razu zabrał się do konstruowania skrytek na odbiorniki. Wraz ze swoim szwagrem, Michałem Nałęcz-Dobrowolskim, zaczęli planować budowę ukrytego w fundamentach domu pomieszczenia. Projekt uzyskał akceptację komendanta głównego ZWZ, płk. Stefana Roweckiego „Grota". Z początkiem grudnia do domu przy ulicy Fortecznej przychodziło coraz więcej radiotelegrafistów zaangażowanych w prowadzenie nasłuchu radiowego. Nawiązano pierwsze połączenia z Budapesztem, Tuluzą i Bukaresztem. W 1940 r. uzyskano łączność z Naczelnym Dowództwem w Stanmore. Aby usprawiedliwić obecność wielu ludzi w domu, w jego piwnicy urządzono wędzarnię. Na wiosnę odwiedzający „klienci wędzarni" pomagali wykopywać ziemię spod fundamentów i wynosić ją pod osłoną nocy do ogrodu. Tak 600-metrowa działka została podniesiona na całej swej powierzchni o pół metra.

Przygotowywane w piwnicy pomieszczenie, w którym miała stanąć radiostacja, nabierało kształtów, a Stanisław Rodowicz nie rozstawał się z książkami

eprasa.pl ad4328f552

Stanisław Rodowicz był prześladowany przez władze PRL FOT. TVP HISTORIA

Edgara Wallace'a, angielskiego autora kryminałów. Bohaterowie tych sensacyjnych powieści, które tak wnikliwie studiował, znikali za poruszającymi się ścianami i chowali w skrytkach przed tropiącymi ich stróżami prawa. Te opisy urzeczywistniły się dzięki budowniczym pomieszczenia na radiostację, którą po zamontowaniu przewodów wentylacyjnych przeniesiono do podziemi. Po przekręceniu kapiącego kranu skomplikowany mechanizm bezszelestnie przesuwał ogromną betonową misę i otwierał wejście do zakamuflowanej kryjówki. Nazwano ją „Łodzią Podwodną" – od wąskiego kształtu pomieszczenia i sposobu uruchamiania wejścia. Figurka św. Barbary, patronki podziemi, wykonana przez jednego z przodków Rodowiczów, „chroniła" wejścia. W środku zgromadzono zapasy żywności, doprowadzono wodę i energię elektryczną, którą kradło się Niemcom z ulicznego kabla. Kiedy zabrakło prądu, radiostacja działała dzięki bateriom własnej produkcji. W domu zainstalowano podsłuchy, aby wiadomo było w „Łodzi", co dzieje się „na powierzchni".

Przez cały czas okupacji Niemcy nie znaleźli miejsca ukrycia tajnej radiostacji, choć przy Fortecznej 4 wiele razy pojawiały się samoloty zwiadowcze i samochody wojskowe przeznaczone do wykrywania urządzeń nadawczych. Niemieccy żandarmi rewidowali przechodniów, w okolicznych domach zrywali linie telefoniczne i przewody elektryczne. Opukiwali ściany. Byli nawet w domu Rodowiczów, jednak nigdy nie znaleźli sekretnego przejścia.

Dopiero po wkroczeniu Armii Czerwonej do Warszawy w styczniu 1945 r. złapany przez nich Stefan Szelestowski, mistrz olimpijski, zaangażowany w działalność konspiracyjną, który w listopadzie 1944 r. wyprowadził dr. Landsberga z Fortecznej, ratując się przed oskarżeniem go o współpracę z Niemcami, wydał Sowietom „Łódź Podwodną". Zabrali też wszystkie wartościowe rzeczy, które się tam znajdowały.

W sfingowanym procesie w 1952 r. Stanisław Rodowicz został skazany na karę śmierci. Zamieniono ją na dożywocie w 1953 r.

KARA ŚMIERCI

NKWD nie zapomniało o ojcu pani Małgorzaty, a Urząd Bezpieczeństwa Publicznego powiązał Stanisława Rodowicza z innymi członkami rodziny i AK-owcami walczącymi o niepodległość w czasie wojny.

W sfingowanym procesie, który odbył się 20 września 1952 r., Stanisław Rodowicz został skazany na karę śmierci. Jego żona robiła wszystko, by ratować męża. Nie dopuszczono jej jednak przed oblicze Bieruta. Błagała też o pomoc sędziego Tomsika, byłego tramwajarza, który podpisał się pod wyrokiem skazującym.

Pani Krystynie udało się odwiedzić w domu prezesa Sądu Najwyższego – Wacława Barcikowskiego – co w pewnym stopniu wpłynęło na zmianę wyroku.

Pod koniec maja 1953 r., czyli dwa miesiące po śmierci Stalina, Rada Państwa zdecydowała się zamienić karę śmierci na dożywocie. Potrzeba było jeszcze kilku lat życia w niepewności, żeby ojciec pani Małgorzaty wyszedł na wolność. Udało się to dopiero w roku 1956.

Więzienie nadwyrężyło jego zdrowie. Pomimo choroby serca dużo pracował w Spółdzielczej Wytworni Filmowej, której był współzałożycielem. Udzielał się też społecznie jako instruktor filmowy w Pałacu Młodzieży w Warszawie. Wymyślił i zaprojektował ruchome laboratorium filmowe w autobusie, które bardzo przydało się podczas Wyścigu Pokoju.

Konspiracja i więzienie zmieniły go. Dlatego nie mógł się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Jak mówi jego córka – „był za dobry" i m.in. pożyczał pieniądze ludziom, którzy nigdy ich nie oddawali.

Nie przeżył drugiego zawału. Zmarł w 1969 r. w wieku 58 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

ZŁY LOS JESZCZE NIE RAZ UPOMNI SIĘ O SWOJE...

inverso.pl
KSIĘGARNIA INTERNETOWA
Prószyński i S-ka
eprasa.pl ad4328f552

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Przeciw czerwonej mazi

Czesław Miłosz pisał niegdyś, że wojna przekracza granice ludzkiego pojmowania. Granice dotychczasowego języka. I dlatego wielkie powieści na jej temat mogą powstać dopiero po upływie kilkudziesięciu lat. Jako przykład Miłosz wskazał „Wojnę i pokój" Lwa Tołstoja, której tematem – jak wiadomo – były wojny napoleońskie. Słowa te potwierdziły się w przypadku wojny 1920 r. Na wielką epicką powieść przedstawiającą śmiertelne zmagania Polaków z bolszewikami należało poczekać do roku 1965. Mowa o „Lewej wolnej" Józefa Mackiewicza. Arcydziele polskiej literatury XX w. Oczywiście wcześniej były „W polu" Stanisława Rembeka, „Koń na wzgórzu" Eugeniusza Małaczewskiego i garść innych utworów. Dopiero jednak Mackiewicz stworzył dzieło, które można nazwać perłą literatury światowej. Wielką, realistyczną panoramę losów zwykłych ludzi wplątanych w koła wielkiej historii.

„Lewa wolna" i wymienione wyżej tytuły nie zamykają jednak wcale dzieł literackich poświęconych wojnie 1920 r. Powieści i opowiadań na jej temat było znacznie więcej. O książkach tych w swojej nowej monografii pisze wybitny znawca literatury Maciej Urbanowski. Jest to książka kapitalna, wypełniająca lukę w polskim literaturoznawstwie. Wydawało mi się, że przeczytałem wiele na temat wojny 1920 r., ale po lekturze książki Urbanowskiego musiałem zweryfikować ten pogląd. W aneksie książki znalazło się 36 fragmentów prozy. O wielu z nich nie miałem pojęcia! „Literatura o roku 1920 – pisze autor – wniosła ważną lekcję, czym jest komunizm i jak mogą wyglądać w praktyce jego rządy. W tym sensie omawiane tu książki były (w większości) wczesnym stadium tak istotnego w naszym piśmiennictwie i unikalnego na tle literatur europejskich nurtu antytotalitarnego".

Tę krótką recenzję zacząłem od „Lewej wolnej" i na „Lewej wolnej" skończę. Maciej Urbanowski przytoczył jeden z moich ulubionych fragmentów książki Mackiewicza. Ułan Zybienko tłumaczył, że należy walczyć z bolszewikami, bo oni chcą, „żeby nie było ciebie, a na to miejsce taka maź, taki wspólny rozczyn na ciasto". ©℗

★★★★★★

MACIEJ URBANOWSKI
„ROK 1920 W LITERATURZE POLSKIEJ"
FRSE/IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Krzyżacka rzeź Gdańska

Nasza historia obfituje w różnego rodzaju mity, które na dobre zadomowiły się w powszechnej świadomości. Jednym z nich jest okrutna rzeź Polaków, której mieli dokonać Krzyżacy w listopadzie 1308 r. w Gdańsku. Do masakry faktycznie doszło, ale miała znacznie mniejszy zasięg, niż to się uważa, a jej ofiarami wcale nie byli Polacy. Miasto miało bowiem niemiecki charakter, a jego mieszkańcy nie poczuwali się do lojalności wobec Władysława Łokietka, który wówczas sprawował władzę nad Pomorzem Gdańskim. Dlatego też gdy na przełomie sierpnia i września uderzyli Brandenburczycy, to dobrowolnie oddali im miasto, a w rękach polskiej załogi pozostał tylko gród gdański.

Niemieccy zakonnicy nie oszczędzali nawet kobiet i dzieci

Łokietek był zbyt zajęty problemami Małopolski i polecił poprosić o pomoc zakon krzyżacki. Rycerze w habitach pojawili się nad Motławą, gdzie zajęli połowę grodu, po czym wyparli polską załogę z reszty terenu. W tym czasie Brandenburczycy się wycofali, by uniknąć walki z Krzyżakami, ale bracia zakonni nie zamierzali wracać do Prus. Uznali, że należy im się rekompensata za poniesione koszty, i do czasu jej otrzymania zatrzymali gród w Gdańsku.

Zwolennicy Brandenburgii w mieście jednak nie próżnowali. Mieszczanie chcieli podlegać władzy margrabiów brandenburskich, a nie braci zakonnych. Pomiędzy grodem a miastem mnożyły się utarczki zbrojne, atmosfera dojrzała do wybuchu i 13 listopada Krzyżacy zaatakowali Gdańsk. W trakcie walk spłonął klasztor Dominikanów, a bracia zakonni nie oszczędzali nawet kobiet i dzieci. Podobno wymordowano aż 10 tys. ludzi.

Była to liczba zdecydowanie przesadzona, gdyż całe miasto liczyło wówczas ok. 3 tys. mieszkańców. Propaganda krzyżacka głosiła, że ukarano śmiercią tylko 16 zbójców, a mieszkańcy z nieznanego powodu osobiście spalili domy i odeszli w nieznanym kierunku. Była to oczywista nieprawda, ale reakcja polska też była odległa od stanu faktycznego. Z tego też powodu wydarzenia w Gdańsku pozostały w pamięci jako rzeź Polaków, podczas gdy większość mieszczan była narodowości niemieckiej, podobnie jak w większości miast w tej części Europy. Niemieccy zakonnicy wymordowali zatem niemieckich zwolenników Brandenburgii, a do tego zapewne zginęło jeszcze kilkunastu pomorskich rycerzy przebywających w mieście, możliwe, że również ich rodziny.

Można zatem przyjąć, że wojownicy w habitach łącznie zabili kilkuset mieszkańców, co oczywiście w niczym nie umniejsza ich winy. Tym bardziej że niebawem opanowali całe Pomorze Gdańskie, które Polska odzyskała dopiero półtora wieku później. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

40. LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

PKO Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl ad4328f552

Proces Marokańczyka Mourada T. w Katowicach

FOT. DOMINIK GAJDA/REPORTER

Nie ma legitymacji ISIS, to niewinny

Witold Repetowicz

Polskie sądy są zupełnie nieprzygotowane do prowadzenia spraw dotyczących zagrożenia terrorystycznego

W Polsce opinia publiczna nigdy na poważnie nie traktowała zagrożenia terrorystycznego, a Państwo Islamskie wydawało się nie być naszym problemem. Częściowo wynikało to z niewielkiej liczby muzułmanów mieszkających w naszym kraju i tego, że nie do nas kierowała się fala migrantów w 2015 r. A choć niektóre środowiska próbowały wówczas zakrzyczeć wszelkie ostrzeżenia, wymachując zdjęciami małych, zapłakanych dzieci, to funkcja maskująca jest w zasadzie immanentnym składnikiem strumienia migracyjnego. Tak było też w 2015 r. i jedną z osób, która z tej funkcji skorzystała, był Abdelhamid Abaaoud, marokański dżihadysta Państwa Islamskiego, odpowiedzialny za zorganizowanie jednego z największych zamachów terrorystycznych w Europie. Chodzi o dokonany 13 listopada 2015 r. atak na kilka obiektów w Paryżu, w tym w szczególności masakrę w teatrze Bataclan, w którym zginęło 150 osób, a 416 zostało rannych. Abaaoud był doświadczonym terrorystą, od dawna znanym francuskim służbom i mającym doświadczenie bojowe (w tym w zakresie egzekucji i tortur) zdobyte w Syrii. W Europie miał pełnić kierowniczą funkcję w organizacji siatki terrorystycznej, która kilka miesięcy po zamachu w Paryżu uderzyła ponownie w Brukseli, zabijając tym razem 32 osoby i raniąc 340. Jego zadaniem nie było więc samemu wysadzić się w powietrze. Zginął jednak kilka dni po ataku w Paryżu, w trakcie próby aresztowania. Pech jego i Państwa Islamskiego, jak się miało okazać po latach, stał się szczęściem Mourada T. Dzięki temu jest teraz bogatym człowiekiem, bo sąd zasądził na jego rzecz ponad 600 tys. zł odszkodowania za „niesłuszne aresztowanie".

Polska prokuratura, dzięki współpracy służb polskich, CIA i innych państw, zebrała w 2016 r. materiał dowodowy świadczący o tym, że Mourad T. poznał na szlaku migracyjnym w Turcji Abaaouda oraz kilku innych terrorystów (zabitych kilka miesięcy później w obławie w Belgii). Polski sąd uznał, że wymieniali się wrażeniami turystycznymi, może rozmawiali o filatelistyce, a może o podróżach kosmicznych. W każdym razie Abaaoud nie wręczył swojemu rodakowi Mouradowi T. legitymacji członkowskiej Państwa Islamskiego, więc sąd uznał, że fakt, iż utrzymywali dalej ze sobą kontakt, o niczym nie świadczy. I odrzucił sugestię, że Mourad T. udał się do Polski nie dlatego, że woli Tatry od zamków nad Loarą, tylko po to, by organizować tu zaplecze logistyczne Państwa Islamskiego. A szlaki migracyjne badał nie po to, by umożliwiać przerzut kolejnych terrorystów do Europy, ale dlatego, że zamierzał otworzyć biuro turystyczne promujące

eprasa.pl ad4328f552

aktywny wypoczynek: wędrówki. Żarty żartami, ale z takim podejściem sądów daleko nie zajedziemy.

Można mieć tylko nadzieję, że rozpoczęty na początku września w Paryżu wielki proces 20 dżihadystów należących do siatki Abaaouda nie skończy się tak, jak miało to miejsce w Polsce. Bezpośredni uczestnicy tego zamachu zginęli albo w jego trakcie, albo tuż po nim przy próbie aresztowania. Było ich dziewięciu, trzy grupy po trzy osoby, przy czym czterech z nich miało dokonać zamachu samobójczego przy użyciu tzw. pasa szahida. Teraz przed paryskim sądem stanęło 14 osób, bo sześć sądzonych jest zaocznie, niektóre z nich prawdopodobnie nie żyją, a trzy odpowiadają z wolnej stopy. Dwunastu oskarżonym grozi dożywocie. Choć nie brali bezpośredniego udziału w ataku, to należeli do siatki Abaaouda i zajmowali się przygotowaniami do jego przeprowadzenia. Najbardziej znanym oskarżonym jest Salah Abdeslam, brat Brahima, który wysadził się w czasie paryskiego zamachu. Saleh miał zajmować się logistyką, tj. wynajmować samochody, mieszkania itp. Może tak jak Mouradowi T. chodziło mu o turystykę, zwiedzanie Paryża? Na razie przed sądem oświadczył, że ufa Allahowi i niczego się nie boi, i odmówił dalszych zeznań.

BEZ KARY ŚMIERCI

Nieco inaczej jest z inną słynną grupą – Beatlesami. Nie chodzi oczywiście o legendarnych muzyków, lecz o czterech terrorystów Państwa Islamskiego, którzy swoją sławę zawdzięczają widowiskowemu obcinaniu głów, z czego Państwo Islamskie robiło następnie filmy propagandowe, próbując w ten sposób zastraszyć międzynarodową opinię publiczną. Liderem grupy był Jihadi John alias Mohammed Emwazi, urodzony w Kuwejcie, „trafiony i zatopiony" z amerykańskiego drona w Rakce 12 listopada 2015 r., a więc dzień przed atakiem w Paryżu. Kolejni to urodzony w Sudanie Jihadi George alias El Shafee Elsheikh oraz dwóch konwertytów – Jihadi Ringo alias Alexanda Kotey i Jihadi Paul alias Aine Davis. Ten ostatni miał odgrywać najmniejszą rolę w grupie, a już w 2015 r. został schwytany w Turcji i skazany tam na siedem lat więzienia za przynależność do organizacji terrorystycznej. Nie wiadomo jeszcze, czy po wyjściu czeka go nowy proces w Wielkiej Brytanii czy też zostanie uznany za zresocjalizowanego. Ringo i George zostali natomiast schwytani przez Kurdów z Syryjskich Sił Demokratycznych w styczniu 2018 r., gdy próbowali uciec do Turcji w grupie uchodźców. Następnie, w październiku 2020 r., zostali przetransportowani do USA. Ich proces ma się rozpocząć w styczniu 2022 r. Brytyjczycy pozbawili ich obywatelstwa, ale najpierw wymusili na Amerykanach zgodę na rezygnację z kary śmierci dla obu terrorystów.

Po upadku „kalifatu" rządy europejskie postanowiły zignorować problem swoich obywateli pozostających w niewoli u Kurdów

Wśród najbardziej znanych ofiar Beatlesów było czterech Amerykanów: dziennikarze James Foley, który przed śmiercią został zmuszony do skrytykowania amerykańskich nalotów w Iraku, oraz Steven Sotloff i dwóch pracowników humanitarnych David Haines i Peter Kassig. Tego ostatniego nie uratowało przejście na islam w trakcie niewoli. Beatlesi dokonali również egzekucji Alana Henninga, brytyjskiego pracownika humanitarnego. Nie zabili natomiast porwanego przez nich razem z Foleyem Johna Cantlie'a, brytyjskiego fotografa, który następnie zasłynął jako gwiazda filmów propagandowych Państwa Islamskiego nadawanych od września 2014 do grudnia 2016 r. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, czy Cantlie robił to tylko, by ratować swoje życie, czy też autentycznie przeszedł na stronę diabła. W trakcie bitwy o Mosul słuch o nim zaginął, jego ciała jednak nigdy nie odnaleziono, a jeszcze w lutym 2019 r. władze brytyjskie twierdziły, że mają informacje, że Cantlie żyje.

Koteyowi i Davisowi grozi dożywocie bez prawa ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie. Można mieć wątpliwości, czy podobną karę otrzymaliby w Europie. Już w latach 2015 i 2016 pojawiały się postulaty, że terrorystów ISIS nie należy karać, bo to pogłębi ich radykalizację. Lepiej dać im mieszkanie, samochód i zapewnić opiekę psychologiczną. Dlatego wielu dżihadystów uniknęło kary za to, co robili w szeregach Państwa Islamskiego, a ich ofiary czasem spotykały ich potem na ulicach niemieckich miast. W końcu nie mieli legitymacji członkowskich, a poza tym wielu twierdziło, że w zasadzie to nie podzielali poglądów ISIS, a do Syrii pojechali, by szukać pracy. Jeden po schwytaniu żalił się nawet, że był prześladowany, co miało się objawiać tym, że zarabiał zbyt mało, by kupić sobie niewolnicę seksualną. Zabawne jest przy tym to, że wiele rządów miało świadomość słabości swojego wymiaru sprawiedliwości, więc postanawiało załatwić sprawę inaczej. W 2016 r. pojawiły się informacje, że brytyjscy specjalsi otrzymali w czasie bitwy o Mosul listę 200 obywateli Wielkiej Brytanii walczących w szeregach ISIS, których mieli zlikwidować. Francuzi natomiast mieli płacić Irakijczykom za „skalpy" swoich.

SZLAK DO POLSKI

Po upadku „kalifatu" rządy europejskie postanowiły zignorować problem swoich obywateli pozostających w niewoli u Kurdów, wiedząc, że ich powrót do Europy będzie jak tykająca bomba zegarowa. Ci, którzy stawali przed sądem, dostawali przeważnie kilkuletnie wyroki, co oznacza, że albo właśnie opuszczają więzienie, albo zrobią to wkrótce. Ale spychanie problemu poradzenia sobie z nimi na Kurdów też nie było rozwiązaniem. Syryjscy Kurdowie nie mogą ich sądzić, a tym bardziej wymierzyć im kary śmierci (której zresztą nie uznają), bo nie są uznani międzynarodowo i takie wyroki traktowane byłyby jako nielegalne. Poza tym nie mają odpowiednich więzień, a nieustanne ataki ze strony Turcji powodują, że wielu terrorystom udało się zbiec. Już dawno było jasne, że mogą wybrać alternatywny szlak powrotu do Europy. Nie przez Bałkany bezpośrednio na Zachód, ale z Turcji na Ukrainę i potem do Polski. Takie były w końcu idea Abaaouda i zadanie tych, których ISIS skierowało do Polski, by budowali tu zaplecze logistyczne. Teraz pojawia się zresztą nowa możliwość: szlak przez Białoruś.

Państwo Islamskie nie zniknęło. Straciło tylko terytorium. Ale pozostaje aktywne m.in. w Afryce Północnej i w opanowanym niedawno przez talibów Afganistanie. Pozostaje też aktywne w umysłach milionów swoich zwolenników, w tym tysięcy swych ekscżłonków, których Europejczycy mijają codziennie na ulicach swoich miast. Nie noszą oni legitymacji członkowskich i nie mają na czole wytatuowane, że są z ISIS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Royal wedding w Petersburgu

FOT. OLGA MALTSEVA/AFP/EAST NEWS

Joanna Bojańczyk

Po stu latach od bolszewickiej rewolucji Romanowowie wracają. Nie na tron, ale na ślub w prawdziwie imperialnym stylu. W prawosławnej ceremonii w soborze św. Izaaka w Petersburgu żeni się potomek carów z Włoszką, niearystokratką. Restauracja tradycji – to na razie wystarczy

Historia miewa nieoczekiwane zakręty. W roku 1905 ślub wielkiego księcia Cyryla Władimirowicza, brata ciotecznego cara Mikołaja II, z księżniczką Melitą Wiktorią z Wielkiej Brytanii był ostatnim takim szczęśliwym wielkim wydarzeniem w dynastii Romanowów. Wkrótce potem wydarzyło się to, co się wydarzyło. I odtąd w Rosji nie odbył się żaden ślub członka carskiej rodziny... Aż do 1 października tego roku. Po prawie 86 latach prawnuk księcia, Jerzy Michajłowicz Romanow, staje przed ołtarzem soboru św. Izaaka, świątynią, której wielkość i splendor mogą konkurować tylko z kościołem św. Pawła w Londynie czy katedrą św. Piotra w Rzymie.

Państwo młodzi nie są tacy młodzi. Narzeczony ma 40 lat, panna młoda Rebecca Virginia Bettarini jest o rok młodsza. Obecnie, po przejściu na prawosławie, już nie panna Bettarini, ale księżna Wiktoria Romanow Bettarini z przydomkiem: Jej Najwyższa Wysokość.

eprasa.pl ad4328f552

Jerzy Michajłowicz to wnuk Kiryła Władimirowicza Romanowa, kuzyna ostatniego cara, Mikołaja II, którego wraz z żoną Aleksandrą i i dziećmi zamordowali bolszewicy w roku 1918. Na pogrzeb dziadka, który uniknął śmierci i mieszkał w Finlandii, przyjechał do Rosji jako 11-latek w roku 1992. Jego biografia podaje, że jest spokrewniony ze wszystkimi arystokratycznymi rodami europejskimi.

Oboje małżonkowie z zawodu są konsultantami (cokolwiek to oznacza). Ich związek trwa od dawna, spotykali się, gdy mieszkali i pracowali w Brukseli, ale dwa lata temu przenieśli się do Moskwy, gdzie zajmują się działalnością charytatywną. Pani Wiktoria Romanow wyznała, że w czasie pandemicznego zamknięcia napisała powieść pt. „Aristocrazy" („Arystozwariowani"). Nie ma pochodzenia arystokratycznego, ale za zgodą teściowej została dopuszczona do tytułu.

POLITYKA TYLKO W TLE

Ceremonia nie odbyła się pod protektoratem Putina (choć trudno sobie wyobrazić, żeby bez jego akceptacji otwarto sobór św. Izaaka albo żeby para narzeczonych mogła przedefilować pod rzędem szabli kadetów rosyjskiej armii czy żeby powitalny koktajl odbył się w Pałacu Włodzimierskim). „To wydarzenie, które nie ma nic wspólnego z Kremlem, nie interesuje nas" – powiedział Putin. I dodał: „W Rosji codziennie odbywają się setki ślubów. Wszystkim młodym parom życzymy wiele szczęścia".

Rosyjskie czynniki oficjalne nie były obecne. Ale polityka, nawet niewyrażona otwartym tekstem, zawsze występuje w tle. Nieoficjalnie mówiono więc, że aby nie narazić się sojuszniczym państwom arabskim, odmówiono wizy Farah Pahlavi, wdowie po szachu Iranu. Nie przyjechała zapowiedziana królowa Zofia z Hiszpanii. Stawił się tylko premier Luksemburga, Xavier Bettel (ten sam, który, jak niedawno wyszło na jaw, splagiatował pracę magisterską), od dawna zaprzyjaźniony z rodziną panny młodej. Wystąpił w towarzystwie swego partnera, dumny z tego, choć musiał mieć świadomość, że w Rosji prawo zabrania afiszowania się z homoseksualizmem. W gronie 1,5 tys. uczestników ceremonii było kilku rosyjskich oligarchów, których obecność mogła mieć wydźwięk dwuznaczny. W końcu wszyscy wiedzą, że to ci, którzy obłowili się m.in. kosztem majątków zabranych arystokracji.

Za to kwiat europejskiej arystokracji nie zawiódł. Jak podał rosyjski portal Fontanka, na ślub przybyło 50 ich przedstawicieli. Wśród nich Simeon II i księżna Margarita z Bułgarii, król Fouad II z Egiptu, książę Ludwik i księżniczka Maria Małgorzata Burbonowie, księżniczka Lea z Belgii. Dalej książęta z Liechtensteinu, z Portugalii, Grecji. Emanuel Filibert Sabaudzki i książę Karol Filip Orleański reprezentowali arystokrację francuską. Et cetera, et cetera… Panowie w żakietach, panie w kapeluszach lub, jak nakazuje prawosławie, z głowami przykrytymi białym szalem.

Państwo młodzi, jak powiedzieli agencji TASS, życzyli sobie ślubu z wielkopańskim rozmachem, aby podkreślić piękno swego kraju i jego kulturę. Ich życzeniu stało się zadość. Bogactwo, zbytek i wspaniałość prawosławia zabłysły pełnym blaskiem, jak gdyby nigdy przez Rosję nie przeszedł bolszewizm i cerkwie nie były przekształcane w magazyny mebli.

W orszaku ślubnym za matką Marią Władimirowną Jerzy Michajłowicz przeszedł czerwonym dywanem do ołtarza, gdzie czekała narzeczona, pod rękę z ojcem. Ceremonię celebrował metropolita prawosławny Warsonofi. Odbyła się wprawdzie w piątek, nie – jak nakazuje zwyczaj – w niedzielę, a liturgia była dość krótka, trwała niespełna godzinę. Za to zgodnie z rytuałem nad głowami państwa młodych trzymane były korony, symbole Królestwa Niebieskiego, dowód, że to Bóg błogosławi związek. Korony trzymane są nad głowami nowożeńców do końca ceremonii. Obrączki zamówione u Fabergé, autora słynnych jaj Fabergé, wymienione zostały wcześniej, w czasie zaręczyn.

Oprawa też była iście królewska. Suknię z jedwabiu panny młodej wykonała nowojorska pracownia Libanki Reem Acra i Rosjanki Eliny Samariny. Praca nad sześciometrowym welonem pochłonęła 200 godzin. Na welonie wyhaftowano dwugłowego orła, godło carów... Tiara panny młodej – 438 brylantów oprawnych w białym złocie – została zamówiona u paryskiego jubilera Chaumet, w firmie, w której sto lat temu klejnoty zamawiali Romanowowie.

SPLENDOR, UPADEK, RESTAURACJA

Romanowowie rządzili Rosją przez 300 lat, od 1613 r. Petersburg, który miał stać się symbolem splendoru i bogactwa Rosji oraz jej nowoczesnych związków z Zachodem, wzniósł Piotr I na bagnach Newy. Było to ogromne zamierzenie architektoniczne i budowlane, zrealizowane nie tylko dzięki wielkim ambicjom cara, lecz także olbrzymim kosztem jego poddanych. Jak podają historycy, przy osuszaniu bagien i wznoszeniu budynków zginęło 30 tys. ludzi. Trzy wieki później ten sam Petersburg, chluba dynastii, stał się także świadkiem jej upadku i wszystkich krwawych wydarzeń, w wyniku których zamordowano Mikołaja II i jego rodzinę.

Jednak pamięć o carach przetrwała i wciąż obrasta w nowe znaczenia. Początkowo oczerniani i odsądzani od czci i wiary przez komunistów Romanowowie powoli stawali się w oczach Rosjan nostalgicznymi symbolami dawnej potęgi Rosji, którą należałoby wskrzesić. Tęsknota za dawną świetnością jest w Rosji wciąż żywa. Już Borys Jelcyn w roku 1993 wprowadził dwugłowego orła jako symbol Federacji Rosyjskiej. Po roku 1990 patrymonium Romanowów przejął Rosyjski Kościół Prawosławny. W roku 2000 kanonizował Mikołaja II i jego rodzinę. Cześć oddawana rodzinie królewskiej jest częścią monarchicznej postawy, która istnieje w Kościele. Komu przyszłoby kiedyś do głowy, że kagebista Włodzimierz Putin będzie to popierał? Ten nawet nie udaje, że nie chciałby swoją osobą kontynuować splendoru carów, a może stać się ich następcą. „Jaki by był system, Rosjanie mają mentalność monarchistyczną" – powiedział rosyjski dziennikarz Wiktor Zołotow. „Jestem bardzo związany z Rosją. Petersburg to historia Rosji i historia Romanowów – powiedział Jerzy Michajłowicz. – Mamy też nadzieję, że ta uroczystość przyczyni się do promocji Rosji i Petersburga, szczególnie potrzebnej po wielu miesiącach pandemii".

Ten ślub Romanowów ma pokazać potęgę współczesnej Rosji, przypominając turystom carskie splendory

W tę narrację wpisuje się ślub. Ma pokazać potęgę współczesnej Rosji, przypominając turystom carskie splendory. Ale bez obaw – nikt nie ma zamiaru wskrzeszać demonów przeszłości. Państwo Romanowowie nie planują restaurować monarchii. Są tylko jej przechodnimi ambasadorami, którym służyć ma założona przez nich w roku 2013 Rosyjska Cesarska Fundacja. Restauracja tradycji – to na razie wystarczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

FOT. ADOBE STOCK

KOTY TYLKO NA SMYCZY

Rada miasta Akureyri uznała, że nie wolno kotom spacerować bez nadzoru. Próbowano jeszcze łagodzić zapis – żeby zakaz wypuszczania kotów bez smyczy dotyczył tylko lasów albo tylko okresu lęgowego ptaków. Nic z tego. Zakaz będzie surowy i ogólny. Od 2025 r. koniec z wypuszczaniem kotów luzem. To nie pierwszy samorząd Islandii, który zakazuje spacerów kotom. Ograniczenia w wypuszczaniu kotów są już np. w Norðurþing. Kara za złamanie tego zakazu wynosi tam w przeliczeniu ok. 130 zł.

IMIGRANCKI SPOSÓB „NA CHOREGO"

Hiszpański dziennik „ABC" poinformował, że imigranci wpadli na nowy sposób dostawania się na teren tego kraju. Wymyślili sobie „most powietrzny". Kupili za 200 euro bilet z Maroka do Turcji, a potem na pokładzie jeden z nich symulował śpiączkę cukrzycową – wówczas następuje wymuszenie lądowania. W ten sposób dostali się na lotnisko Palma de Mallorca. A gdy samolot wylądował i otworzył drzwi dla medyków, pasażerowie z Maroka rzucili się do wyjścia i ucieczki.

BANANOWA DEPORTACJA

W Turcji zrobiono telewizyjną sondę. Pytano ludzi o stosunek do imigrantów z Syrii. No i jedna pani bulwersowała się, że jej syryjska sąsiadka kupuje kilogramy bananów, choć powinno ją być stać najwyżej na jednego. W odpowiedzi młodzi Syryjczycy zaczęli zamieszczać w social mediach filmiki, na których jedzą banany. Władze Turcji uznały, że niektóre z tych nagrań to nawoływanie do nienawiści oraz lżenie narodu. I deportowały już z tego powodu 11 osób.

HOLENDRZY NAS BIJĄ!

Nie wiem, czy jeszcze ktoś pamięta, jak Jan Rokita nie chciał schować płaszcza w samolocie, został wyproszony i krzyczał: „Niemcy mnie biją!". Mieliśmy małą powtórkę. Tym razem nie Rokita, ale zwykli pasażerowie z Polski. Nie Niemcy, a holenderskie linie lotnicze. I nie płaszcz, ale maseczki. Rodacy odmówili ich założenia i zostali usunięci z pokładu samolotu w Amsterdamie. Będą musieli zapłacić grzywnę.

SPOSÓB NA UWIĘZIENIE Z KOBIETAMI

Brytyjski dziennik „The Times" dotarł do statystyk, z których wynika, że w ciągu ostatnich 18 miesięcy w szkockich więzieniach dla kobiet osadzonych zostało 12 transpłciowych więźniów. Jeden z nich przeszedł operację zmiany płci. Pozostali po prostu identyfikują się jako kobiety. Smaczku sprawie dodaje fakt, że do cel z kobietami trafili ludzie, którzy zostali skazani za przemoc i przestępstwa seksualne. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nikt nie jest bezpieczny

Aż 72 proc. dorosłych Amerykanów wierzy, że „kultura unieważniania" – czyli forma cenzury, która niszczy kariery i dobre imię osób publicznych, które wypowiedziały się w sposób sprzeczny z lewicowym mainstreamem – wymknęła się spod kontroli. Tak wynika z najnowszego sondażu przeprowadzonego przez Rasmussen Reports i „The National Pulse". Przeciwnego zdania jest tylko 15 proc. ankietowanych, a 12 proc. nie ma na ten temat zdania. W tej sprawie niemal tak samo myślą biali, czarni i przedstawiciele innych ras.

75 proc. Amerykanów wierzy, że ochrona wolności słowa jest ważniejsza niż ochrona ludzi przed słowami, które mogą oni uznać za obraźliwe. Przeciwnego zdania jest 16 proc. W tym przypadku wyraźnie widać różnice między ankietowanymi, którzy są zwolennikami Partii Republikańskiej, i tymi, którzy propagują socjalistyczne ideały Partii Demokratycznej. Wśród tych pierwszych tylko 9 proc. uważa, że ochrona ludzi przed obraźliwymi słowami jest ważniejsza niż wolność słowa. Wśród demokratów odsetek ten rośnie aż do 27 proc.

Wyniki sondażu nie mogą dziwić. Wielkie zwycięstwo „kultury unieważniania" sprawiło, że w USA od lat wielu boi się publicznie mówić to, co myśli. Lewica brutalnie „kasuje" bowiem celebrytów, naukowców, marki produktów, a nawet… wybranych ojców założycieli USA za „niesłuszne" poglądy. Ben Shapiro, znany komentator polityczny, pisarz oraz prawnik, stwierdził, że aby trafić pod lewicowy pręgierz, wystarczy głośno powiedzieć, że mężczyźni nie są kobietami. Znany aktor Johnny Depp wielokrotnie ostrzegał zaś, że w czasach „kultury unieważniania" „nikt nie jest bezpieczny".

Czy uda się znieść kary za myślozbrodnię? Samo to pytanie to pewnie myślozbrodnia. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM SPOD TOBRUKU

Aleksander B. Skotnicki – **Wizy życia dla Żydów**
Piotr Zychowicz – **Polska i Japonia: współpraca wywiadów**
Tomasz Stańczyk – **Sprawiedliwi dyplomaci**
Pierre Servent – **Tajemnica lotu Hessa**
Jacek Bartosiak – **Polska musi być potężna**
Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Piastów**
Arkadiusz Karbowiak – **Izraelska inwazja na Liban**
Piotr Semka – **Rommel: Lis Pustyni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ad4328f552

Ciepło już było

Jacek Przybylski

27 proc. Bułgarów, 23 proc. Litwinów, 21 proc. Cypryjczyków, 17 proc. Portugalczyków i Greków oraz 9 proc. Niemców już w zeszłym roku nie było w stanie wystarczająco ogrzać swojego domu. Fatalna w skutkach polityka energetyczna Brukseli w połączeniu z windowanymi przez Moskwę cenami gazu sprawia, że w tym roku zmarznie jeszcze więcej Europejczyków

Według najnowszych danych Eurostatu średnio 8 proc. mieszkańców Unii Europejskiej nie było w stanie odpowiednio ogrzać swojego domu. Z opracowanej przez Europejski Urząd Statystyczny mapy przedstawiającej „ryzyko ubóstwa energetycznego" wynika, że najgorzej sytuacja wygląda w stosunkowo biednych krajach południa Europy.

Najcieplej w Europie było Norwegom (tylko 0,8 proc. mieszkańców tego kraju skarżyło się, że w domu było im za zimno), Austriakom (1,5 proc.), Finom (1,8 proc.), Czechom (2,2 proc.) i Holendrom (2,4 proc.). Również w Polsce – w porównaniu z innymi krajami Unii Europejskiej – sytuacja wygląda nieźle: na niewystarczające ogrzewanie skarżyło się 3,2 proc. ankietowanych.

ZMARZNIĘTY KONTYNENT

Nadchodząca zima może być jednak o wiele bardziej dotkliwa dla większej liczby Europejczyków. Nie tylko z południa kontynentu. Ryzyko „ubóstwa energetycznego" drastycznie zwiększają bowiem gwałtownie rosnące ceny energii. To właśnie one stanowią odpowiedź na nękające pewnie teraz wielu czytelników pytanie, jak to możliwe, że na zimno skarżą się mieszkańcy takich państw jak Portugalia, Hiszpania czy Grecja, skoro średnie dobowe temperatury w tych krajach są jednak o wiele wyższe niż w Polsce czy też w Austrii. Mapa rynkowych cen energii błyskawicznie rozwiązuje tę zagadkę. Koszmarnie drogo jest bowiem w tych państwach, które niemal całkowicie przestawiły swoje systemy ogrzewania na gaz ziemny. Ten zaś od początku roku koszmarnie drożeje we wszystkich krajach Starego Kontynentu.

Skąd te podwyżki? Z jednej strony wynikają one z większego od podaży popytu na błękitne paliwo, związanego z ożywieniem gospodarczym po zakończeniu się pierwszych fal pandemii.

eprasa.pl ad4328f552

FOT. ADOBE STOCK

Z drugiej strony zmniejszona podaż wynika między innymi z niższych od spodziewanych dostaw gazu z Rosji. Gazprom ogranicza się jedynie do swoich długoterminowych kontraktów i – zgodnie z Putinowską polityką „dziel i rządź” – ani myśli, aby długoterminowo znacząco zwiększyć podaż, by złagodzić presję na unijnym rynku gazu, na którym błękitne paliwo stanowi mniej więcej 26 proc. koszyka energetycznego Unii Europejskiej. Co prawda, w listopadzie rosyjski gaz znów zaczął napełniać niemieckie magazyny gazu, co przyniosło delikatny spadek cen, ale długoterminowa tendencja pozostaje wzrostowa. Według prognoz przeciętne unijne gospodarstwo domowe wyda w tym roku na gaz od 800 do 1150 euro, czyli od 3,7 tys. zł do 5,3 tys. zł więcej niż przed rokiem. Według polskiego URE koszt zakupu gazu na Towarowej Giełdzie Energii na styczeń 2022 r. wynosi ponad 420 zł za MWh, podczas gdy w październiku 2020 r. kwota ta wynosiła mniej niż 74 zł za MWh.

Skoro hurtowe ceny gazu ziemnego wystrzeliły, to może warto dogrzewać się piecykami na prąd? Niestety, ceny na unijnych giełdach energii ustalane są metodą cen krańcowych, którą determinuje koszt najdroższego źródła wchodzącego w danym momencie do systemu. Obecnie jest to cena oferowana przez podmioty, które energię wytwarzają z gazu. Średnia hurtowa cena energii w Unii Europejskiej tylko w ciągu roku wzrosła więc aż o 200 (słownie: dwieście) proc. Według portalu EnergyLive za 1 MWh z dostawą 10 listopada 2021 r. trzeba było zapłacić we Włoszech 232,94 euro, we Francji – 232,4 euro, w Chorwacji – 214,67 euro, w Grecji – 212,72 euro, w Hiszpanii i Portugalii – po 199,28 euro. Dla porównania: w Polsce cena ta wynosiła „zaledwie” 120,35 euro, w Czechach i w Niemczech – 176,26 euro, a w Austrii – 176,42 euro.

Co tak drastycznie wywindowało ceny energii w Europie? Uproszczona odpowiedź brzmi: zła pogoda oraz eurokraci z Brukseli. Od początku 2021 r. ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla niemal z miesiąca na miesiąc ustanawiały nowe rekordy. Obecnie utrzymują się w granicach ok. 60 euro, czyli na dwukrotnie wyższym poziomie niż rok temu. Niestety, w Europie mało kto chce dyskutować nad zlikwidowaniem systemu handlu emisjami (EU-ETS). To właśnie on ma być głównym narzędziem realizacji ogłoszonego w lipcu przez Komisję Europejską programu „Fit for 55”, a więc największej unijnej inicjatywy na rzecz obniżenia emisji gazów cieplarnianych. Plan ten ma doprowadzić do ograniczenia emisyjności gospodarki europejskiej o co najmniej 55 proc. do roku 2030. Zgodnie ze zmianami zarządzonymi przez eurokratów do 2030 r. aż 40 proc. energii powinno pochodzić z Odnawialnych Źródeł Energii (OZE). Żeby wymusić „chęć” do zmiany na zieloną energię, wszystkie paliwa kopalne zostaną specjalnie opodatkowane.

Jak działa system EU ETS? Bardzo prosto: ustala on limit emisji danego gazu cieplarnianego i nakłada cenę na emisje zanieczyszczeń, zmuszając zanieczyszczające podmioty do kupna pozwoleń na emisję. Nic więc dziwnego, że w związku z przyjęciem „Fit for 55” już w sierpniu analitycy banku inwestycyjnego Goldman Sachs podnieśli swoją prognozę cen emisji CO_2.

Dlaczego amerykańskich bankierów interesują europejskie ETS-y? Otóż jeszcze na przełomie lat 2017 i 2018 za uprawnienia do emisji płacono od 5 do 15 euro za tonę. Obecnie cena wynosi 60 euro. Rynek ten nie jest zaś – jak można by oczekiwać – zamknięty dla spekulantów. ETS-y stały się więc dla wielu inwestorów odpowiednikiem złota czy akcji. Na ich zyski składają się jednak miliony europejskich rodzin.

Premier Mateusz Morawiecki słusznie zauważył pod koniec października, że „wzrost cen uprawnień nie przekłada się na korzystne dla klimatu zmiany, a jedynie nieproporcjonalnie zwiększa obciążenia odbiorców energii elektrycznej, także wszystkich odbiorców w Polsce”. Władze w Warszawie proponują więc wprowadzenie maksymalnej ceny uprawnień do emisji CO_2 oraz wycofanie się z nowego systemu ETS dla budownictwa i transportu. Szansa na realizację tych postulatów nie jest zbyt duża. I to mimo że prognoza, że ETS-y nadal będą drożeć, jest banalnie prosta do obronienia.

Ceny energii rosną, bo tak właśnie to zaplanowano. Aby Komisja Europejska mogła siłą przeprowadzić zieloną rewolucję, ceny ETS-ów muszą być radykalnie wysokie. Nikt z urzędników nawet nie próbuje ukrywać, że właśnie szybki wzrost cen ułatwia nie tylko „przekonywanie” do inwestycji w zielone technologie. Na tej polityce zyskują też kraje takie jak Niemcy, bo to do nich będą przenosić się zakłady przemysłowe szukające krajów z bardziej „zielonym” miksem energetycznym. A skąd mogą się przenosić? Na przykład z Polski, której energochłonność jest mniej więcej dwukrotnie większa niż unijna średnia. Wprowadzone przez Komisję Europejską reformy doprowadzą zatem do szybkiej utraty konkurencyjności Polski w regionie i to bez wzrostu kosztów zatrudnienia dla lokalnej ludności.

GDY WIATRACZEK SIĘ NIE KRĘCI

Problem w tym, że eksperci od lat ostrzegają, że oparcie europejskiej energetyki na OZE jest bardzo ryzykowne – energii z wiatru i słońca często może bowiem brakować, a system atrakcyjnych

eprasa.pl ad4328f552

subsydiów dla Odnawialnych Źródeł Energii sprawia, że mimo rosnącego zapotrzebowania na energię przestaje rozwijać się energetyka konwencjonalna.

Fatalny wpływ niesprzyjających warunków pogodowych na energetykę widać wyraźnie w Szwecji. Jeszcze w 2019 r. ambasador tego kraju w Polsce, Stefan Gullgren, przekonywał w rozmowie z portalem BiznesAlert.pl, że „transformacja energetyczna Szwecji może stanowić przykład dla Polski”. W tej samej rozmowie Gullgren chwalił się, że 58 proc. energii w tym kraju pochodzi z OZE, a Szwecja „ma ambicje, by do 2040 r. krajowa produkcja energii pochodziła w 100 proc. z OZE”. Wszystko brzmiało pięknie dopóty, dopóki nie było mrozów. Rządzeni przez socjaldemokratów i Zielonych Szwedzi szybko boleśnie przekonali się jednak, do czego prowadzi słuchanie dyktatu pseudoekologów. Przedwczesne wyłączenie reaktorów jądrowych w połączeniu ze srogą zimą sprawiło, że w 2021 r. północni sąsiedzi Polski doświadczyli potężnych niedoborów energii, bo akurat zimą, gdy Szwedzi potrzebują najwięcej energii, siłownie wiatrowe produkują jej o wiele za mało. Nie wystarczyło nawet uruchomienie rezerwowej elektrowni na olej opałowy w Karlshamn na południu Szwecji. Nagle zamiast pouczać sąsiadów o sposobach na transformację energetyczną, Szwedzi musieli więc grzecznie poprosić Polskę, Niemcy i Litwę o zgodę na import „brudnej” energii, której sporą cześć wyprodukowano z… – aż strach to napisać – węgla.

I chociaż dzięki importowi energii Szwedzi zimę jakoś przetrwali, to wielu ich przedsiębiorców musiało okresowo wstrzymać produkcję, gdy cena jednej megawatogodziny nagle skoczyła z ok. 30 na 200 euro. Mimo to rzecznik ds. energii Partii Ochrony Środowiska pomstował na władze, nazywając skandalem używanie jako rezerwowego źródła energii elektrowni na olej opałowy.

O tym, jak kapryśny jest rynek energetyczny oparty na OZE, można się też przekonać, patrząc na naszych sąsiadów zza Odry. W ubiegłym roku udział energii odnawialnej w zużyciu energii elektrycznej brutto wyniósł w Niemczech ok. 50 proc. – 2020 r. był bowiem rekordowy pod względem produkcji energii elektrycznej ze słońca oraz z wiatru. W roku obecnym, gdy pogoda już nie była tak sprzyjająca, a liczba godzin słonecznych spadła, w pierwszej połowie roku energia z OZE pokryła już tylko 43 proc. energetycznego zapotrzebowania Niemiec. Tymczasem Niemcy chcą, aby do 2030 r. energetyka odnawialna stanowiła co najmniej 70 proc. w wytwarzaniu energii elektrycznej.

Fatalny wpływ złej pogody na energetykę z OZE widać wyraźnie w Szwecji, która zbyt szybko wyłączyła elektrownie atomowe

WŁÓŻ KURTKĘ, ZAPAL ŚWIECZKI, KUP SOBIE ŚPIWÓR

Jak zaradzić temu, że wysokie ceny uderzą przede wszystkim w najbiedniejszych obywateli? Europejscy socjaliści mają już na to pomysł. Po pierwsze, chcą tradycyjnie sięgnąć do cudzej kieszeni. Sprzedając prawa do emisji, chcą zyskiwać pieniądze, z których część miałaby być przeznaczana na bony dla biednych, które pozwolą choć od czasu do czasu porządnie im się wygrzać.

Eksperci z różnych państw zgodnie ostrzegają, że Europie w tym roku grozi zima blackoutów.

Na nadchodzące trudne czasy zachodnie rządy przygotowują również kampanie społeczne. W Niemczech, gdzie od wielu lat bardzo konsekwentnie realizowana jest energooszczędna i proekologiczna polityka grzewcza – co sprawia, że Niemcy płacą za energię trzykrotność tego, co Bułgarzy – emitowana jest reklama społeczna, na której widać grubo ubraną, lecz zmarzniętą starszą panią. Jednak zimno jej niestraszne. Uśmiechnięta zakrywa okna folią aluminiową, za pomocą doniczki i kilku małych świeczek tworzy minigrzejnik i zaprasza gości, którzy siedząc wspólnie w kurtkach, sprawiają, że wreszcie robi się cieplej. Film został nakręcony przez Federalny Urząd Ochrony Ludności i Pomocy w przypadku Klęsk Żywiołowych (Bundesamt für Bevölkerungsschutz und Katastrophenhilfe). Niemiecka obrona cywilna radzi również, co robić, gdy w czasie blackoutu nagle zabraknie wody, bo przestaną działać pompy. Poleca także, by mieć w domu kominek i wystarczającą ilość drewna do palenia, a jeśli ktoś kominka nie ma, to zaleca zgromadzenie odpowiednio wielu koców, śpiworów i ciepłej odzieży.

Z niemieckich badań wynika, że z powodu wysokich cen energii najczęściej z powodu chłodu w domach cierpią osoby mieszkające samotnie, a także samotnie wychowujące dzieci. Podobnie jest zresztą w innych państwach.

W wielu krajach – np. we Włoszech, Francji, na Litwie czy w Hiszpanii – musiały już więc interweniować rządy, zamrażając ceny lub wydłużając okres, po którym można odłączyć od sieci odbiorców, którzy nie regulują na czas rachunków za energię. Również w Polsce rząd pracuje nad wprowadzeniem ulg na energię dla ok. 2–3 mln osób najmniej zarabiających. Rządy krajów europejskich nagle zaczęły też widzieć potrzebę opracowania wspólnego systemu zakupów i stworzenia unijnej rezerwy strategicznej.

ZATRZYMAĆ OSZUSTWO ENERGETYCZNE

Tysiące Europejczyków wychodzą na ulice, protestując przeciw podwyżkom cen energii. W ubiegłym tygodniu Hiszpanie żądali, aby „zatrzymać oszustwo energetyczne”. O co chodzi?

Tylko najbardziej naiwni mogą bowiem myśleć, że „zielone” działania Unii Europejskiej uratują świat. Największymi trucicielami Ziemi są bowiem Chiny, Stany Zjednoczone, Indie, Rosja i Japonia. Dopiero na szóstym miejscu znajduje się kraj z Unii Europejskiej i dobrze państwo zgadli: są to Niemcy. Siódmy jest Iran, ósma Korea Południowa, dziewiąta Arabia Saudyjska, a dziesiąta Indonezja. Unia wychodząc przed szereg w „walce o ochronę klimatu”, strzela więc sobie w kolano, znacząco zmniejszając konkurencyjność na globalnym rynku. Ekolodzy nadal bawią się jednak jak dzieci, wymyślając kolejne zakazy, jak choćby „bezmięsne poniedziałki”. Produkcja i konsumpcja żywności odpowiada bowiem za ok. 25 proc. emisji, a niemal 60 proc. z nich ma źródło w produktach pochodzenia zwierzęcego. Warto więc na zapas najeść się wołowiny i jagnięciny, ogrzać do syta, pobawić się lampkami i wyjechać gdzieś w daleką trasę (ceny paliwa wzrosły w tym roku w Polsce o ponad 30 proc.). Wiele wskazuje bowiem na to, że ciepło, widno i smacznie już było. Europa zmierza zaś do realizacji scenariusza opisanego w książce „Blackout” Marca Elsberga. Niestety, to nie była bajka, to był thriller.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

IMPRIMATUR KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

NAJBARDZIEJ EPICKA OPOWIEŚĆ WSZECH CZASÓW

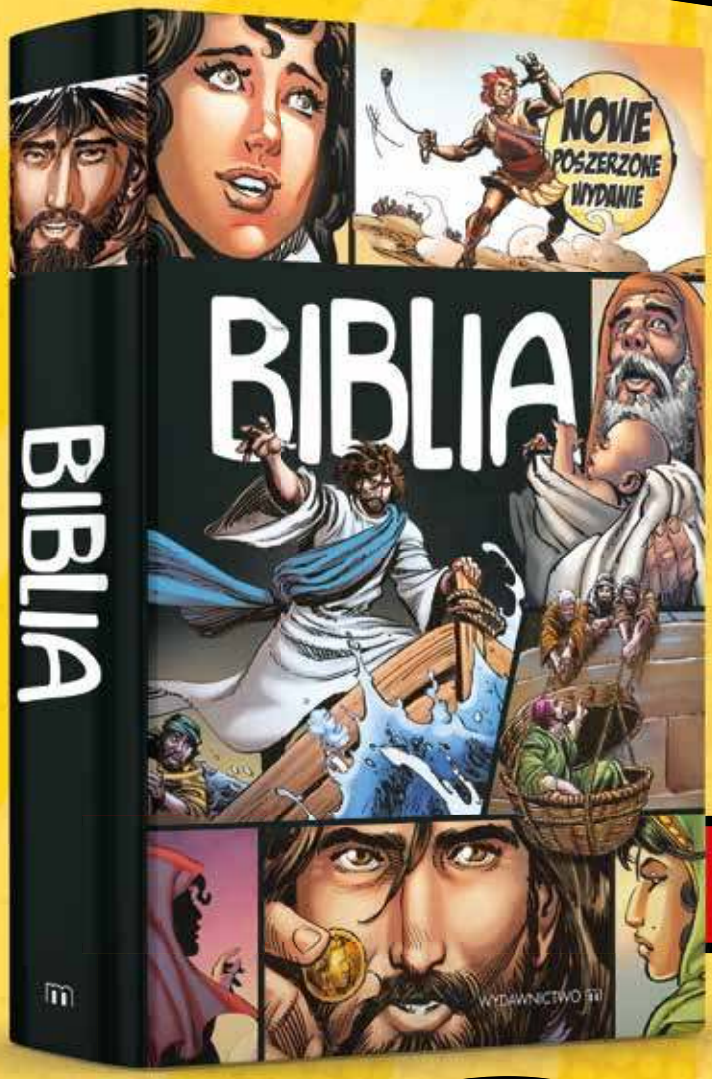

- NOWOCZESNY SPOSÓB PRZEKAZU SŁOWA BOŻEGO, ZOBRAZOWANY PRZEZ RYSOWNIKA MARVEL I DC COMICS
- 832 STRONY – WYDANIE POSZERZONE O 25 OPOWIEŚCI BIBLIJNYCH

56,90 ZŁ + DARMOWA DOSTAWA KURIEREM*

KOD RABATOWY BIBLIAKOMIKS2

KOD RABATOWY OBOWIĄZUJE DO 31.01.2022 R.

NAJLEPSZY PREZENT DLA TWOJEGO DZIECKA

* Zniżka zostanie naliczona po podaniu kodu rabatowego podczas składania zamówienia przez stronę **wydawnictwom.pl** lub telefonicznie **+48 12 259 00 03, 721 521 521**

WYDAWNICTWO m

eprasa.pl ad4328f552

TEST „DO RZECZY": DRUKARKA EPSON ECOTANK L8180

Wysoka wydajność, stosunkowo niska cena druku, świetna jakość czarno-białych wydruków oraz intuicyjna obsługa – to największe zalety drukarki fotograficznej japońskiego producenta.

Zdjęć przechowywanych na smartfonach i na dyskach SSD jest tyle, że o wielu szybko się zapomina. Warto więc regularnie drukować przynajmniej część domowego archiwum i przechowywać je w papierowej formie w tradycyjnych fotoalbumach lub tworzyć na ścianach minigalerie z kolejnych wakacyjnych wyjazdów. Właśnie z myślą o domowych użytkownikach japoński Epson stworzył model L8180. Zaskakująco kompaktowe, zgrabnie wyglądające urządzenie wielofunkcyjne – czyli łączące funkcje drukarki, kopiarki i skanera – wyposażone jest w duży dotykowy kolorowy ekran o przekątnej 10,9 cm oraz w sześć pojemników z atramentem, który można łatwo uzupełniać. Według Epsona jeden zestaw butelek pozwala wydrukować 230 wysokiej jakości zdjęć.

Testowane urządzenie potrafi drukować zdjęcia w formacie do A3+ (32,9 x 48,3 cm). Dzięki podajnikowi papieru ciągłego można wydrukować piękne panoramy na nośniku o długości nawet do 2 m. Maksymalna rozdzielczość drukowania wynosi 5760 x 1440 DPI. Oczywiście można drukować również na kopertach, płytach CD etc. Zaletą są również ADF oraz automatyczny dupleks dla wydruków w A4.

Model L8180 jest banalnie prosty w obsłudze. Pliki do wydruku można przesyłać poprzez wi-fi czy wi-fi direct zarówno z komputera, jak i tabletu czy smartfona. Można także drukować z kart SD oraz pendrive'ów. Z kolei port Ethernet pozwala szybko włączyć drukarkę do domowej sieci. Urządzenie obsługuje również funkcję Apple Air Print.

Szybkość druku nie powala, ale jest akceptowalna. W przypadku druku na zwykłym papierze wynosi 16 stron na minutę w przypadku wydruków czarno-białych i 12 stron na minutę, gdy drukuje się w kolorze. Wydrukowanie zdjęcia 10 x 15 cm na błyszczącym papierze fotograficznym zajmuje 15 sekund, ale już wydruk kolorowego zdjęcia A3 w najwyższej jakości zajmuje niemal 10 minut. Fajną opcją jest światełko podświetlające wydruki.

A jakość? Epson chwali się, że najmniejsza kropla może mieć zaledwie 1,9 pikolitrów. Wydruki czarno-białe robią świetne wrażenie. W ich przypadku świetnie sprawdza się szary atrament, który pozwala uzyskać oczekiwaną skalę szarości. Jakość kolorowych fotografii jest dobra, choć trzeba pamiętać, że nie jest to urządzenie skierowane do profesjonalistów, lecz do użytkowników domowych. Dobra jest również jakość skanów – w tym przypadku maksymalna rozdzielczość wynosi 1200 x 4800 DPI, a dokumenty można zapisywać w formatach JPEG, BMP, PDF i PNG.

Wady? Jakość zastosowanych plastików, zwłaszcza w przypadku tacek i prowadnic papieru, mogłaby być istotnie lepsza. Brakuje również funkcji dupleksu w przypadku formatu A3.

Mimo drobnych minusów L8180 to urządzenie, które przyda się rodzinom z artystycznym zacięciem, które lubią drukować zdjęcia dzieci, psów, kotów etc. Testowany model powinien się też sprawdzić u osób potrzebujących stosunkowo kompaktowego urządzenia do zdalnej pracy w domu z możliwością drukowania zdjęć i dokumentów w dużym formacie. Cena: 3149 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

AUTONOMICZNY OSOBISTY FOTOGRAF

Canon Powershot PX wygląda niczym jedna z wielu inteligentnych kamerek do monitoringu. To urządzenie jest jednak stworzone nie po to, by chronić dom, lecz by ocalić wspomnienia. Autonomiczny domowy aparat fotograficzny został zaprojektowany tak, aby automatycznie wykrywać i dokumentować ważne rodzinne chwile. Zamiast biegać więc ze smartfonem za raczkującym dzieckiem czy słodkim psiakiem, można wreszcie uczestniczyć w ważnych wydarzeniach i zdać się na to, że dobre zdjęcie lub krótki filmik zrobi nam „inteligentny" automat.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Urządzeniu Powershot PX można wskazać, które twarze powinny być traktowane priorytetowo. Gadżet może samodzielnie obracać się w zakresie 340 stopni w poziomie i 110 stopni w pionie, potrafi też robić zbliżenia. Zrobione przez niego zdjęcia można przeglądać w aplikacji wraz z informacją, które fotki algorytm uważa za najlepsze. W razie potrzeby w ważnych momentach rodzinnego życia „migawkę" aparatu można wyzwalać głosem lub sterować kamerą manualnie za pomocą mobilnej aplikacji. Cena: 2229 zł.

POWERBANK DLA SAMOCHODÓW

Właścicieli samochodów elektrycznych często trapi myśl o tym, że nie zdołają dojechać do stacji ładowania i będą musieli wzywać lawetę. I właśnie dla użytkowników e-aut stworzono ZipCharge Go, czyli przenośny „kanister z prądem", czyli powerbank na kółkach, który pozwoli doładować samochód na tyle, aby jednak dotrzeć do najbliższej stacji ładowania. Urządzenie waży 23 kg i pozwala przechowywać zapas energii na ok. 30 km. Cena w abonamencie wynosi 49 funtów, czyli 263 zł miesięcznie. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl ad4328f552

#włączprawdę

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl ad4328f552

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Cwaniacy po sześćdziesiątce

Jak wiadomo, przynajmniej oficjalnie, obecny rząd jest za tym, by Polacy pracowali jak najdłużej. To znaczy – w przeciwieństwie do okrutnego poprzedniego rządu, który chciał Polaków do tego zmusić, podnosząc wiek emerytalny dla kobiet i mężczyzn do 67 lat – ten, dobrotliwie, jedynie o to apeluje, przekonując, że im dłużej będzie się pracować, tym wyższą będzie się dostawać emeryturę. Niby więc, przynajmniej formalnie, polski rząd zachęca do dłuższego pozostawania aktywnym zawodowo, zapewniając, że to się przyszłemu emerytowi opłaci.

No ale wiadomo – niech no któryś z przyszłych emerytów weźmie sobie te zachęty do serca i potraktuje je – cwaniak jeden z drugim – poważnie, to już mu rząd tak zrobi, że na całe życie popamięta. I jak się da podczas jakiejś waloryzacji takiego emeryta-cwaniaka potraktować gorzej od emeryta-biedniaka, to może być pewnym, że tak właśnie zostanie potraktowany. A jeśli chodzi o dodatkowe emerytury 13. i 14., to tę 13. emeryt-cwaniak dostanie, ale 14. – jeśli, Boże uchowaj, zapracował sobie na emeryturę większą niż 2,9 tys. zł – z całą pewnością na swym koncie nie zobaczy.

No a teraz osławiony Polski Ład do już istniejących mechanizmów przycinania emerytów-cwaniaków dorzuca kolejny. Tak opisuje go jedna z czytelniczek „GW": „Pracowałam długo, do 68. roku życia, jako nauczyciel akademicki i mam 5,5 tys. zł brutto emerytury, co daje na rękę 4540 zł netto. Pracowałam bez pobierania emerytury tak długo, ponieważ chciałam wypracować sobie godne człowieka uposażenie, na pewno nie bogacza. Pracowałam jak mrówka. Po ogłoszonych zmianach zwanych »Polskim Ładem« będę miała 4495 zł na rękę. A więc o 45 zł na miesiąc mniej, co daje w skali roku 540 zł mniej. Co to dla mnie oznacza? Muszę zrezygnować z dwóch wizyt u kardiologa, a mam chore serce. W żadnym wypadku nie można mnie nazwać bogaczem. »Polski Ład« to kpina".

Kpina czy nie kpina, z całą pewnością jednak warto zapamiętać lekcję, którą ten rząd daje Polakom – nawet jeśli prawdą jest, jak zarzeka się jeden z wiceszefów resortu finansów, że na Polskim Ładzie stracą „tylko" ci emeryci – i to stracą „nie więcej niż 200 zł miesięcznie", którzy zapracowali sobie na świadczenia wyższe niż 6 tys. zł (według ekspertów dotknie to już tych, którzy mają emerytury wyższe niż 5 tys. zł), a dopiero cwaniacy, którzy ośmielili się zapracować na emerytury wyższe niż 13 tys. zł – stracą ponad 200 zł miesięcznie.

Warto zapamiętać tę lekcję i gdy tylko choćby zaświta nam w głowie myśl, żeby dłużej pozostać aktywnym zawodowo – w nadziei na wyższą emeryturę – pamiętajmy, że prędzej czy później (raczej prędzej) „przyjdzie rząd i wyrówna (rzecz jasna – w dół)". Bo ten rząd nie śpi i na pewno już pracuje nad Polskim Ładem 2.0, żeby zadbać o jeszcze sprawiedliwszą sprawiedliwość. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zostanie tylko Mizera

Mam nadzieję, że słyszeli państwo, jak wyglądała motoryzacyjna obsługa szczytu klimatycznego w Glasgow? Przypomnę (pisałem o tym na naszym portalu): na potrzeby przywódców zakupiono 20 samochodów marki Tesla, żeby woziły gości z hotelu Gleneagles do centrum konferencyjnego. Niestety, hotel położony ok. 45 minut jazdy od Glasgow ma tylko jedną stację do ładowania tesli. W związku z tym wynajęto odpowiednią liczbę spalinowych generatorów prądu, aby „ekologiczne" autka ładować w ciągu nocy.

Elektryki wciąż przegrywają z samochodami spalinowymi ceną, zasięgiem oraz liczbą miejsc do ładowania

Ten pokaz praktyczności elektrycznych samochodzików oraz poziomu dostosowania infrastruktury nie zniechęcił przywódców 24 krajów do podpisania deklaracji o wycofaniu ze sprzedaży aut spalinowych do 2040 r. albo prędzej. Wśród sygnatariuszy dokumentu jest też, jakżeby inaczej, Polska. Doprawdy nie rozumiem, jakie jest uzasadnienie dla podpisywania się pod tą absurdalną, oderwaną od rzeczywistości, nonsensowną deklaracją przez nasz kraj. Zapowiadanie teraz, że do 2040 r. przestaniemy rejestrować samochody spalinowe, ma mniej więcej taki sens, jak zadeklarowanie, że do 2050 r. zakażemy podróży lotniczych, bo zastąpi je teleportacja. Dziś auta na prąd po prostu nie są alternatywą – poza pewnymi szczególnymi okolicznościami – dla aut spalinowych, a już z pewnością nie są nią w Polsce. Wciąż przegrywają z samochodami spalinowymi ceną (w rynkowych warunkach), zasięgiem w realnych okolicznościach oraz przede wszystkim czasem i miejscami do ładowania. Jak dotąd brak w zasięgu technologii, która by to zmieniła (wodór to inna sprawa.)

Nie wszyscy poddali się ideologicznej presji. Deklaracji nie podpisali najwięksi producenci aut na świecie: USA, Chiny i Niemcy. Nie dołączyły się też m.in. Volkswagen, Toyota oraz BMW, którego przedstawiciele przytomnie stwierdzili, że istnieją ogromne wątpliwości co do wystarczającego rozwoju odpowiedniej infrastruktury na globalnym poziomie do wyznaczonego momentu.

Polska, gdzie problemy infrastrukturalne są przepotężne i obejmują również samą modernizację sieci, nie ma, jak widać, takich wątpliwości. Najwyraźniej liczymy na naszą wspaniałą, narodową Mizerę. Nic to, że montowaną niemal w całości z wyprodukowanych gdzie indziej komponentów. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Dobry najem, czyli mieszkanie od funduszu

Urszula Hofman

Sebastian Juszczak

Problemy z odzyskaniem kaucji. Stare meble, których nie możemy się pozbyć. Cieknący kran, czyli wady lokalu, które odkrywamy po czasie. Strach przed nagłym rozwiązaniem umowy i wizyty właściciela. Z takimi kłopotami mierzą się najemcy mieszkań w przypadku wynajmu od prywatnych właścicieli. W przypadku wynajmowania mieszkania w ramach najmu instytucjonalnego (potocznie zwanym sektorem PRS, z ang. Private Rented Sector) takich problemów nie ma.

Obecnie coraz częściej słyszy się o transakcjach deweloperów z funduszami inwestycyjnymi. Nie chodzi jednak o zakup gotowych budynków czy lokali. Fundusze nie konkurują z osobami fizycznymi. Kupują budynki, które dopiero są projektowane albo znajdują się w stanie budowy. Jednocześnie dzięki uzyskanym środkom deweloper może sprawniej rozpoczynać kolejne etapy inwestycji.

W porównaniu z wynajmowaniem od osoby fizycznej we własności funduszu znajduje się cały budynek. Dzięki temu taki fundusz może nim zarządzać, mając na uwadze udogodnienia dla wszystkich mieszkańców. W budynkach w posiadaniu funduszy mamy więcej przestrzeni wspólnych, z których mogą korzystać lokatorzy czy lokuje się takie obiekty jak rowerownia, pralnia czy paczkomat. Mając na uwadze, że fundusze planują czerpać zyski przez dłuższy czas, dużą wagę przykładają do wysokiej klasy materiałów budowlanych czy solidnego wykonawstwa. HM INWEST SA dwukrotnie współpracowało z Funduszem Mieszkań na Wynajem powołanym przez BGKN. Inwestycje zrealizowane zostały w bardzo dobrych lokalizacjach w Warszawie i Katowicach.

Jakie są korzyści z wynajmu mieszkania od funduszu inwestycyjnego w porównaniu z zawarciem umowy najmu z osobą fizyczną? Podstawowym plusem jest bezpieczeństwo i stabilność najmu. Po pierwsze, mamy do czynienia z jasno określoną stawką czynszu. Po drugie, jeżeli zawrzemy długoletnią umowę najmu, to możemy być spokojni o to, że umowa nie zostanie rozwiązana. A często bonusem w przypadku wynajęcia mieszkania na dłuższy czas jest rabat na wysokości czynszu. Możliwość skorzystania ze sprawnego serwisu technicznego, np. w przypadku usterki pralki czy kuchenki, jest inną korzyścią z wynajmowania mieszkania od funduszu.

Dlatego też mieszkania w ramach najmu instytucjonalnego są coraz częściej wybierane przez młode osoby, które np. nie chcą się jeszcze wiązać kredytem hipotecznym i kupować mieszkania na własność. Jednocześnie otrzymują one większe bezpieczeństwo zamieszkiwania niż w przypadku zwykłego wynajmowania. Tym niemniej stabilność najmu nie przekreśla możliwości zmiany mieszkania. Część z firm oferuje swoje mieszkania w ramach abonamentu. Oznacza to, że informując inwestora odpowiednio wcześniej, możemy zmienić wynajmowane mieszkanie również przy przeprowadzce do innego miasta! Stąd ten rodzaj najmu jest popularny wśród wielu specjalistów, którzy są przyzwyczajeni do dużej mobilności czy też zmian miejsca zamieszkania.

Z danych Eurostatu wynika, że Polska na tle innych krajów europejskich ma jeden z najwyższych odsetków osób dorosłych, które wciąż mieszkają ze swoimi rodzicami – tj. ok. 60 proc. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest mała dostępność mieszkań na wynajem, skoro nie każdego stać na mieszkanie na własność. Dalszy rozwój najmu od funduszy stanowi szansę dla zmiany tego zjawiska.

Udział najmu instytucjonalnego na rynku polskim nie jest obecnie duży. Wedle szacunków w ramach tego sektora mamy dostępnych ok. 6–7 tys. lokali. Rozwój tej gałęzi rynku nieruchomości stanowi szansę dla profesjonalizacji najmu w Polsce i zwiększenia dostępności mieszkań. Zwłaszcza dla tych osób, które nie chcą się jeszcze wiązać kredytem hipotecznym czy też nie są pewne swojego miejsca zamieszkania. Dlatego nie może dziwić, że największy operator tego sektora ogłosił z początkiem października, że wynajął wszystkie posiadane w Warszawie lokale.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl ad4328f552

Wśród najlepszych

Iga Świątek i Rafał Hurkacz mierzą się z najlepszymi w turniejach mistrzów

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Łukasz Zboralski

Iga Świątek i Hubert Hurkacz znaleźli się w ścisłej czołówce światowego tenisa. W tym sezonie zarobili po ok. 7 mln zł i awansowali do turniejów dla ośmiu najlepszych kobiet i mężczyzn

Jeśli ktoś jeszcze oczekiwał dowodów, że dwoje Polaków jest w ścisłej czołówce światowego tenisa, to je właśnie otrzymał. Iga Świątek i Hubert Hurkacz w tym roku awansowali do prestiżowych turniejów kończących sezon dla kobiet i mężczyzn. W finałach ATP i WTA gra ośmiu najlepszych mężczyzn i osiem najlepszych kobiet.

HUBERT W RZYMIE

Hubert Hurkacz wywalczył sobie pewność wystąpienia w ATP Finals dopiero w ubiegłym tygodniu. Trwało to do ostatniej chwili i kosztowało kibiców wiele nerwów, ale udało się. Dwudziestoczterolatek rzutem na taśmę awansował do prestiżowego turnieju, gdy podczas ostatnich rozgrywek w Rzymie awansował do półfinału. Mecze były zacięte i czasem wydawało się, że wszystko stracone, ale Hubert wydobywał się z tarapatów. Uległ dopiero pierwszej rakiecie świata – Novakowi Djokoviciowi. I to też zaledwie o włos. Mistrz był w poważnych opałach. O zwycięstwie zadecydował tie-break, w którym zarówno Polak, jak i Serb mieli szansę na przechylenie szali zwycięstwa na swoją stronę.

Po dobrym występie w Rzymie Hurkacz znalazł się wśród elity, która rozegra

eprasa.pl ad4328f552

turniej we włoskim Turynie – w wirtualnym rankingu ATP Race to Turyn był siódmy (Tu małe wyjaśnienie – do finałów ATP i WTA gracze dostają się właśnie na podstawie oddzielnych rankingów. Te w każdym roku startują od nowa i każdy gracz od początku zbiera punkty w danym sezonie. Ośmiu najlepszych w danym roku gra w finałach). Lepsi w tym sezonie od niego byli jedynie, poczynając od najlepszego Djokovicia, kolejno: Danił Miedwiediew, Alexander Zweriew, Stefanos Tsitsipas, Andriej Rublow i Matteo Berrettini. Jak mocny był Polak w tym sezonie, świadczą też pozycje graczy, których przeskoczył. Za nim uplasowali się m.in. Rafael Nadal, błyszcząca nowa gwiazda na kortach – Włoch Jannik Sinner, Argentyńczyk Diego Schwartzman czy Kanadyjczyk Denis Shapovalov.

Hurkacz po Rzymie awansował również w rankingu ATP. W ubiegłym tygodniu przesunął się na miejsce dziewiąte. To pokazuje, że chyba troszkę go w Polsce wciąż nie doceniamy, a on znakomicie się rozwija.

– Jego podstawową zaletą jest cierpliwość – komplementuje Hurkacza Adam Romer, redaktor naczelny „Tenis Klub". – To jest gość, który jest cichy, spokojny i robi swoje. Na wiosnę, po zwycięstwie w Miami, się nim zachwycono, a potem go zaraz krytykowano, gdy miał słabszy czas na kortach ziemnych przed Wimbledonem. A on stale pracował. To pokazuje, że tenis to jest sport dla cierpliwych, a nie raptusów, którzy po niepowodzeniach chcą od razu coś radykalnie zmieniać. On ma wspaniały team, który wierzy w to, co robi. I to po jego grze widać. To już nie jest „chłopak do bicia" – podkreśla.

Z drugiej strony nawet w ostatnim turnieju było widać, że Hurkacz z trudem wygrywał mecze z graczami klasyfikowanymi niżej od siebie. – Tam w grę wchodziły jednak wielkie emocje – tłumaczy Romer. – Z otoczenia Hurkacza wiem, że jemu strasznie zależało, by zagrać w turnieju dla najlepszych. Tego na zewnątrz nie było widać, ale te emocje w nim były olbrzymie. No i pokazał, że mimo tych emocji potrafi osiągać cel. Jest dziewiątym tenisistą świata, a zaraz będzie ósmy lub siódmy. To pokazuje, jak on jest poukładany.

IGA W GUADALAJARZE

Iga Świątek również zagrała dobry sezon. Zdobyła tytuły w Adelajdzie i Rzymie. Nieźle spisywała się też w turniejach Wielkiego Szlema. W każdym z nich dochodziła co najmniej do czwartej rundy (w Paryżu zameldowała się w ćwierćfinale). Choć przyznać trzeba, że wcześniejszy tytuł wielkoszlemowy na koncie wywoływał w kibicach oczekiwanie kolejnej wielkiej wygranej. To się nie udało. Udał się za to awans do tegorocznej tenisowej kobiecej elity. Świątek zaczęła być pewna awansu 23 października, gdy najlepsza obecnie tenisistka świata Ashleigh Barty postanowiła zakończyć sezon.

Do tej pory Świątek i Hurkacz zarobili na kortach podobne pieniądze. Iga zgromadziła 18,36 mln zł, a Hubert – 18,18 mln zł

„Chciałam przekazać wszystkim, że nie zagram już w żadnych zawodach w 2021 roku, włącznie z WTA Finals w Meksyku. To była trudna decyzja, ale muszę nadać priorytet mojemu ciału oraz regeneracji po sezonie 2021 i skupić się na jak najmocniejszym przygotowaniu do australijskiego lata" – oznajmiła australijska gwiazda w oświadczeniu. Wiadomo, że w tle jest sprawa koronawirusa i obostrzeń w Australii. Tam powracający z zagranicy obywatele muszą obowiązkowo wciąż poddawać się kwarantannie. Barty oczywiście mogła odpuścić już wszystko. Turniej WTA Finals, który odbędzie się w Guadalajarze, niczego nie zmieni już w jej rankingu. W tym roku pozostanie już numerem jeden. I za najlepszy sezon zgarnie dodatkową nagrodę w postaci samochodu Porsche.

„Zrobiłam to! Ostatni przystanek w sezonie – WTA Finals w Meksyku" – napisała Iga Świątek po decyzji Barty. Polka po raz pierwszy w karierze zagra w tych finałach WTA. Oprócz niej znalazły się tam: Aryna Sabalenka, Karolina Pliskova, Barbora Krejcikova, Gabrine Muguruza, Paula Badosa, Anett Kontaveit i tegoroczna dwukrotna pogromczyni Polki – Greczynka Maria Sakkari.

Adam Romer wskazuje, że to będzie bardzo specyficzny turniej. – Nikt, kto się zna na tenisie, nie jest w stanie wytypować zwyciężczyni, to będzie po prostu loteria – przyznaje. – Guadalajara to miejsce, w którym grano wcześniej turnieje, ale nie uczestniczyli tam gracze z czołówki. Bo to jest 1500 m n.p.m., czyli tak, jakby grać na Kasprowym. Choć tego jeszcze oficjalnie nie potwierdzono, mają tam zostać nawet zastosowane piłki o mniejszej kompresji, bo te normalne latają tam, jak chcą – opisuje.

Romer zauważa, że z punktu widzenia Świątek turniej w Meksyku może być atutem. Bo po turnieju w Indian Wells, granym także na otwartym powietrzu, została już w Stanach. Inne zawodniczki grały dalej turnieje w halach w Europie. Także wybitna tenisistka Martina Navratilova twierdziła, że dla zawodniczek grających z dużą rotacją, tak jak Iga, to może być dobre miejsce. – Ale to wszystko jest jednak wróżeniem z fusów – dodaje Adam Romer. – Jestem pewien, że ktokolwiek wygra, to ci niezadowoleni z występu będą potem latami opowiadać, że tam były specyficzne warunki. Będą niedomówienia i pretensje – prognozuje.

Jedno jest pewne – kobieta, która tam wygra, zdobędzie wiele punktów w rankingu, wiele pieniędzy i prestiż. – To widać po Agnieszce Radwańskiej – przypomina Romer. – Nie zdobyła Wielkiego Szlema, ale wygrała w 2015 r. Turniej Mistrzyń. I to zawsze wymienia się jako jej największe osiągnięcie.

MILIONY ZAROBIONE, MILIONY DO WYGRANIA

Oba turnieje zapewniają potencjalnie mnóstwo pieniędzy do zdobycia. Turniej WTA Finals (rozgrywany 10–17 listopada) w Guadalajarze będzie miał pulę nagród sięgającą w przeliczeniu prawie 20 mln zł. Z kolei w męskim ATP Finals w Turynie (rozgrywanym 14–21 listopada) pula nagród wyniesie w przeliczeniu blisko 29 mln zł. Przy tym turnieje mistrzów i mistrzyń są nietypowe. Na każdym zwykłym turnieju porażka oznacza spakowanie się i wyjazd do domu. Tu najpierw są fazy grupowe. Można więc – tak jak Radwańska w 2015 r. – przegrać nawet i dwa mecze, a potem sięgnąć po pierwsze miejsce.

Tymczasem Hurkacz i Świątek nie tylko mają jednakowe miejsce w swoich rankingach, lecz także zbliżyli się pod względem finansowym. Iga Świątek do tej pory na kortach zarobiła 18,36 mln zł. Hubert Hurkacz zgromadził 18,18 mln zł. Wszystko dlatego, że 24-latek z Wrocławia w tym sezonie zarobił trochę więcej od 20-latki z Raszyna. Hurkacz w tym roku zarobił w przeliczeniu prawie 7,35 mln zł, a Świątek – ok. 6,76 mln zł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Katarzyna Pinkosz

Chorzy na szpiczaka są jedną z grup najbardziej narażonych na ciężki przebieg COVID-19. Dlatego tak ważne są dla nich szczepienia oraz możliwość zastosowania leków, które ograniczają konieczność pobytu w szpitalu. Dobrą wiadomością jest to, że na horyzoncie są już leki, które mogą umożliwić wyleczenie szpiczaka

FOT. ADOBE STOCK

Podskórnie, czyli bezpieczniej

Postępowanie w sprawie o objęcie refundacją zostało pozytywnie rozstrzygnięte przez ministra zdrowia i obecnie trwają prace dotyczące zakończenia procesu administracyjnego" – odpowiedź Ministerstwa Zdrowia na pytanie dotyczące podskórnej wersji daratumumabu (nowoczesnego leku dla chorych na szpiczaka plazmocytowego) ucieszyła ekspertów. To ważna decyzja, zwłaszcza w czasie trwającej czwartej fali COVID-19.

Szpiczak plazmocytowy to jedna z najczęstszych chorób hematoonkologicznych. Co roku taką diagnozę w Polsce słyszy ok. 2 tys. osób. Chorobie nie sposób zapobiec. Na skutek czynnika, którego nie znamy, dochodzi do nadmiernego rozrostu zmienionych nowotworowo plazmocytów (komórek układu immunologicznego). Wypierają one ze szpiku prawidłowe komórki. Objawy choroby to najczęściej niedokrwistość, bóle kręgosłupa, częste infekcje. Są na tyle nietypowe, że pacjent często miesiącami chodzi od lekarza do lekarza, szukając diagnozy. Niepokój powinien wzbudzić wysoki poziom OB i skłonić do dalszej diagnostyki specjalistycznej. Bywa jednak, że szpiczak zostaje zdiagnozowany dopiero, gdy dojdzie do złamania kręgosłupa lub uszkodzenia nerek.

Jeszcze 10–15 lat temu większość osób po diagnozie przeżywała średnio dwa–trzy lata. Od tego czasu dokonała się jednak rewolucja. Dziś dzięki nowym terapiom szpiczak mnogi z choroby śmiertelnej ma szansę w coraz większym stopniu stawać się chorobą przewlekłą. Niestety, to grupa pacjentów, która bardzo poważnie ucierpiała z powodu epidemii COVID-19. Nowotworowo zmienione są komórki odpowiadające m.in. za pracę układu odpornościowego, dlatego pacjenci ze szpiczakiem są jedną z grup najbardziej narażonych na ciężki przebieg COVID-19. – Ryzyko zgonu u chorego na szpiczaka, który zachoruje na COVID-19, wynosiło nawet 30–50 proc., te statystyki dotyczyły wszystkich krajów. Niedawno rozmawiałem z kolegami hematologami z Lublina, opowiadali, że w ciągu kilku dni stracili kilku pacjentów ze szpiczakiem – mówi prof. Artur Jurczyszyn, kierownik Ośrodka Leczenia Dyskrazji Plazmocytowych Katedry Hematologii Collegium Medicum UJ.

KONIECZNE SZCZEPIENIA

– Chorzy na szpiczaka mają zmniejszoną odporność, znacznie częściej dochodzi u nich do powikłań infekcyjnych, a to właśnie powikłania infekcyjne należą do najczęstszych przyczyn zgonu – potwierdza prof. Iwona Hus, prezes Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów. Dlatego dla pacjentów tak ważne są szczepienia przeciw COVID-19. – Szczepionka nie chroni w pełni przed zakażeniem, jej celem jest zmniejszenie ciężkości przebiegu COVID-19. Faktycznie, mogę potwierdzić, że osoby

eprasa.pl ad4328f552

zaszczepione rzadziej wymagają hospitalizacji – mówi prof. Iwona Hus.

Lekarze namawiają chorych do przyjmowania dawki przypominającej. – Za każdym razem, gdy przychodzi do mnie na wizytę pacjent ze szpiczakiem, to pytam, czy już się zaszczepił. Często pacjenci myślą, że trzecia dawka już nie jest konieczna, tłumaczę im wtedy ich złożoną immunologię oraz zaburzenia odporności. Wiemy, że dla nich dwie dawki to zdecydowanie za mało, bo poziom przeciwciał spada. Po takiej rozmowie zwykle osiągam cel, zapisują się na trzecią dawkę. Bardzo dobrze, bo dzięki temu są lepiej chronieni – mówi prof. Jurczyszyn.

Chorzy na szpiczaka powinni zaszczepić się także przeciw grypie i pneumokokom, gdyż każda z infekcji może być dla nich groźna.

POTRZEBNE BEZPIECZNIEJSZE TERAPIE

Z uwagi na duże ryzyko ciężkiego przebiegu COVID-19 już od początku epidemii eksperci apelowali, żeby stosować leczenie, które maksymalnie ogranicza konieczność pobytu pacjentów w szpitalach i poradniach, by nie narażać ich na ryzyko zakażenia. – Gdy to tylko było możliwe i stan pacjenta pozwalał, staraliśmy się „przestawiać" pacjenta na leki podskórne i doustne, żeby jak najrzadziej musiał przyjeżdżać do ośrodka i przebywał w nim jak najkrócej. W przypadku stosowania leków doustnych, jeśli to było możliwe, wydawaliśmy pacjentowi leki do domu na dwa–trzy miesiące – dodaje prof. Jurczyszyn.

W sytuacji bardzo wysokiej czwartej fali COVID-19 eksperci czekają na to, że już wkrótce będą mogli stosować u pacjentów podskórną formę jednego z bardzo ważnych leków z zakresu immunoterapii – daratumumabu. Obecnie jest on w Polsce dostępny w ramach programu lekowego, ale wyłącznie w formie dożylnej. Możliwość stosowania go w formie podskórnej znacznie skróciłaby czas pobytu pacjenta w ośrodku leczenia. – Pierwsze podanie daratumumabu w formie dożylnej zajmuje osiem–dziewięć godzin. U dużej części pacjentów zdarzają się działania niepożądane, dlatego często dla bezpieczeństwa podanie dzielimy na dwie dawki, pacjent musi przebywać przez dwie doby w szpitalu. Kolejne wlewy trwają trzy–cztery godziny. Dla porównania: podanie leku w formie podskórnej trwa zaledwie pięć minut. To oszczędność czasu nie tylko pacjenta, lecz także lekarzy, pielęgniarek. Pacjent krócej przebywa w szpitalu i poradni, zmniejsza się więc ryzyko zakażenia, a przecież spośród kilkudziesięciu osób, które codziennie przyjmujemy w poradni przyszpitalnej, ktoś może być zakażony koronawirusem – dodaje prof. Jurczyszyn.

Atutem daratumumabu w formie podskórnej jest też większe bezpieczeństwo niż w przypadku podania leku dożylnie. – Podanie podskórne jest znacznie prostsze: lek jest podawany w ciągu kilku minut, tylko pod kontrolą wzrokową zespołu pielęgniarskiego. Lek jest bardzo dobrze tolerowany. Jako objaw uboczny może wystąpić niewielkie zaczerwienienie w miejscu podania. Powikłania są dużo mniejsze niż w przypadku podań dożylnych – potwierdza prof. Krzysztof Giannopoulos, kierownik Zakładu Hematoonkologii Doświadczalnej UM w Lublinie.

Skrócenie czasu podawania leku to większe bezpieczeństwo pacjenta, co jest istotne zawsze, ale szczególnie w okresie pandemii. – W niektórych krajach system jest jeszcze prostszy, np. w Holandii to nie pacjent przychodzi do ośrodka na podanie leku, tylko pielęgniarka, na zlecenie lekarza, jedzie do pacjenta do domu i podaje mu lek. Być może dziś na takie rozwiązania w Polsce jeszcze za wcześnie, ale powinniśmy o tym myśleć, na pewno oznaczałoby to większe bezpieczeństwo dla pacjenta – dodaje prof. Jurczyszyn.

Lekarze czekają też na możliwość zastosowania kolejnych terapii, od dawna już stosowanych w innych krajach, takich jak np. lenalidomid w pierwszej linii u pacjentów niekwalifikujących się do przeszczepienia czy w terapii podtrzymującej po przeszczepie. – Naszym marzeniem jest to, żebyśmy mogli leczyć tak jak w wielu krajach, czyli zgodnie z charakterystyką produktu leczniczego, opierając się na swojej wiedzy, doświadczeniu i wytycznych – mówi prof. Jurczyszyn.

Wciąż nierozwiązanym problemem jest też w Polsce dostęp do rehabilitacji uzdrowiskowej dla pacjentów ze szpiczakiem, dla wielu osób jest ona niezbędna, tymczasem rozpoznanie szpiczaka eliminuje pacjentów z możliwości skorzystania z rehabilitacji uzdrowiskowej, refundowanej przez NFZ, mimo wielu apelów ekspertów, by to zmienić.

CZAS NA WYLECZENIE?

Dobrą wiadomością dla chorych na szpiczaka jest to, że mimo trwającej pandemii, w ostatnich dwóch latach zostało zarejestrowanych aż pięć nowych leków w tej chorobie. – Nie ma takiej drugiej jednostki chorobowej, w której dokonałby się tak ogromny postęp, to leki już zarejestrowane przez FDA i EMA – dodaje prof. Jurczyszyn. Z przeprowadzonej przez niego ankiety wśród kilkudziesięciu wybitnych hematologów świata widać optymizm, wielu z nich uważa, że w ciągu najbliższych lat szpiczak stanie się chorobą u wielu pacjentów całkowicie wyleczalną. – Kluczem jest leczenie w pierwszej linii, zgodnie z zasadą „złotego strzału" w onkologii: to pierwsze leczenie determinuje długość życia. Sądzę, że w wielu sytuacjach będzie się odchodzić od przeszczepienia szpiku na rzecz „koktajlu" złożonego z kilku leków. Przyszłością będzie immunoterapia. To będzie wielki sukces medycyny, rewolucja dzieje się na naszych oczach. Leczenie, które na początku dostaną pacjenci, będzie tak dobre, że wielu z nich zostanie wyleczonych – podkreśla prof. Jurczyszyn. Na te leki trzeba jednak zaczekać, dziś pacjenci muszą przeżyć czwartą falę COVID-19, dlatego tak ważne jest zaszczepienie siebie i osób bliskich oraz stosowanie terapii, które ograniczą konieczność pobytu w szpitalach i ośrodkach leczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ad4328f552

Z prof. Agnieszką Owczarczyk-Saczonek, dermatologiem i wenerologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Feralne 96 tygodni

FOT. ADOBE STOCK

KATARZYNA PINKOSZ: Osobie, która nie choruje na łuszczycę, wydaje się, że to nie jest duży problem, w porównaniu z nowotworami czy chorobami serca. To „tylko" choroba skóry. Czy faktycznie jest to tylko choroba skóry?

PROF. AGNIESZKA OWCZARCZYK-SACZONEK: Nie, każda postać łuszczycy oznacza stan zapalny w całym organizmie. Zmiany są widoczne na skórze, jednak podwyższony poziom cytokin prozapalnych, czyli substancji biorących udział w tworzeniu stanu zapalnego, występuje również we krwi. Ten sam profil cytokin prozapalnych jest produkowany również przez tkankę tłuszczową trzewną, pojawiają się one też w blaszkach miażdżycowych. Zmiany skórne to jakby „dolewanie oliwy do ognia", rozwijają się procesy zapalne związane z miażdżycą i innymi chorobami metabolicznymi. Dlatego pacjenci z łuszczycą dwa–cztery razy częściej chorują na otyłość, dwa razy częściej na cukrzycę, dwa–trzy razy częściej mają nadciśnienie tętnicze i zaburzenia lipidowe. Nasi pacjenci częściej mają choroby sercowo-naczyniowe, co powoduje skrócenie życia o cztery–sześć lat w przypadkach o ciężkim przebiegu. Łuszczyca jest nie tylko chorobą skóry. Już w 2012 r. Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne zaliczyło łuszczycę do czynników ryzyka miażdżycy. Prawie 60 proc. chorych na łuszczycę ma też depresję.

To prawda, że nawet milion osób w Polsce choruje na łuszczycę?

Tak, to choroba społeczna, dotyczy ok. 3 proc. populacji w Polsce. Oczywiście może mieć różne nasilenie, nie wszyscy nawet wiedzą, że chorują, jeśli mają tylko drobne zmiany, pojawiające się okresowo. Część pacjentów ma jednak ciężką postać choroby, gdzie zmiany są bardzo rozległe, zajmują ponad 10 proc. powierzchni skóry.

Są różne postacie łuszczycy, najczęściej występuje łuszczyca plackowata (ok. 80–90 proc. chorych). Charakterystyczne są wówczas właśnie zmiany plackowate o charakterze blaszek na skórze, rumieniowo-złuszczających, zwykle na owłosionej skórze głowy, łokciach, kolanach, okolicach krzyża. Zmiany mogą zajmować bardzo duże powierzchnie skóry, także rąk, nóg, brzucha, twarzy, okolic narządów płciowych. Przez to wiele osób, zwłaszcza młodych, ma problem z samoakceptacją.

Jaka jest przyczyna pojawienia się łuszczycy? To sprawa genów, czynników środowiskowych, stylu życia?

Absolutnie ta choroba nie bierze się z zaniedbań pacjenta, nie jest to też choroba zakaźna. Predyspozycje do zachowania niektórzy z nas mają w genach, poznano już 12 genów, które bardzo silnie współistnieją z występowaniem łuszczycy. Nie każda osoba mająca predyspozycje genetyczne musi jednak zachorować.

eprasa.pl ad4328f552

Decydują o tym czynniki środowiskowe, które wpływają na aktywację genów: to np. infekcje, stres, niektóre leki, ale też palenie papierosów, nieprawidłowa dieta, zaburzenia metaboliczne.

W leczeniu stosuje się wiele leków miejscowych, ale często wystarczają one tylko na chwilę. Często całymi dniami trzeba nakładać kolejne preparaty i wypróbować wiele środków, by stan skóry się poprawił...

Tak, na stanie skóry odbija się każdy stres, infekcja. Sposób leczenia jest uzależniony od nasilenia zmian chorobowych, a także od chorób współistniejących. W przypadku łagodnych postaci zawsze zaczynamy od leczenia miejscowego. Jeśli nasilenie zmian jest duże, występują choroby towarzyszące, to konieczne jest stosowanie leczenia ogólnego. Zwykle stosujemy metotreksat, retinoidy, cyklosporynę. Jeśli okazują się one nieskuteczne, a także gdy zmiany występują w tzw. lokalizacjach szczególnych, np. na twarzy, grzbietach rąk (miejscach bardzo widocznych), okolicach narządów płciowych, to mamy możliwość podania leków biologicznych. Działają one bardzo silnie przeciwzapalnie. Problemem jest jednak to, że w Polsce programy lekowe mają pewne ograniczenia, np. żeby pacjent mógł dostać leki biologiczne, wcześniej musi przejść całą drogę leczenia klasycznego.

A czasem od razu widać, że stan pacjenta nie poprawia się, i należałoby wcześniej rozpocząć leczenie biologiczne?

Tak, zasadą naszego leczenia powinno być jak najwcześniejsze podanie bardzo skutecznej terapii. Dlaczego? Otóż w wykwitach łuszczycowych są komórki pamięci, które pozostają nawet po ustąpieniu zmian na skórze, to coś w rodzaju „blizny immunologicznej". Im dłużej łuszczycowe zmiany są na skórze, tym więcej jest tych komórek pamięci immunologicznej. Gdybyśmy od razu mogli zastosować skuteczne leczenie, tych komórek wytworzyłoby się mniej. Pacjent miałby większą szansę na remisję, na uniknięcie chorób towarzyszących, zaburzeń metabolicznych. Druga rzecz, o którą się staramy, to nieprzerywanie leczenia, jeśli jest ono skuteczne. Pacjent mógłby praktycznie zapomnieć o chorobie, przyjmując leki. Tak jak w cukrzycy chorzy przyjmują insulinę i nikt jej im nie odbiera, gdy ich stan jest dobry.

W chorobach reumatologicznych nowe programy lekowe umożliwiają stosowanie terapii biologicznych tak długo, jak są one skuteczne. Podobnie jest w łuszczycowym zapaleniu stawów. A w przypadku łuszczycy plackowatej leczenie preparatami biologicznymi jest przerywane?

Niestety tak, dotyczy to nowszych leków biologicznych. Jednak ten podział na leki biologiczne starsze i nowsze jest sztuczny, tak naprawdę każdy z leków ma swoją specyfikę, powinien być dobrany do pacjenta w zależności od stopnia zaawansowania łuszczycy i chorób towarzyszących. Wiemy już, że obecność pewnych genów ma wpływ na to, czy pacjent odpowiada lepiej czy gorzej na daną terapię. Zapisy programów lekowych łuszczycy plackowatej nadal jednak mają pewne ograniczenia. Najnowsze leki, czyli inhibitory interleukiny 17 i 23, możemy stosować tylko 96 tygodni. To lepiej niż w poprzednich zapisach programów lekowych, chcielibyśmy jednak móc stosować leki tak długo, jak to jest pacjentowi potrzebne.

W zapaleniu łuszczycowym bierze udział kilka ważnych cytokin zapalnych. Udało się stworzyć cząsteczki białkowe, które „wyłapują" te cytokiny, inaktywują je. Dzięki temu przerywamy błędne koło zapalenia. Podwyższone stężenie interleukiny 17 stwierdza się nie tylko w zmianach łuszczycowych, lecz także w surowicy krwi pacjentów, bierze ona udział w innych chorobach zapalnych. Z kolei interleukina 23 jest cytokiną biorącą udział w tworzeniu komórek zapalnych, limfocytów TH17, które odgrywają ogromną rolę nie tylko w zmianach łuszczycowych, lecz także w wielu chorobach zapalnych. Stosowanie tych terapii nie tylko leczy zmiany łuszczycowe i pacjent może wręcz zapomnieć o chorobie, lecz także zapobiega rozwojowi zmian metabolicznych.

Po 96 tygodniach leczenie jest przerywane, chociaż jest skuteczne. Czym to grozi?

Każde białko, które dostaje się do naszego organizmu, stymuluje odpowiedź ze strony układu immunologicznego i produkcję przeciwciał odpornościowych. Leki biologiczne są białkami, organizm tworzy przeciw nim przeciwciała. Przerwanie leczenia powoduje, że po jego ponownym podaniu (a często jest to konieczne już po kilku miesiącach, gdyż zmiany skórne szybko nawracają) jest ono mniej skuteczne. Tak dzieje się u jednego na pięciu pacjentów.

Pacjenci, kiedy kończy się im okres 96 tygodni leczenia, obawiają się przerwania terapii?

Bardzo się tego obawiają. Pacjenci, którzy otrzymują leki biologiczne, zwykle przeszli już w swoim życiu etap tak nasilonych zmian skórnych, kiedy wątpili już w to, że kiedykolwiek się ich pozbędą. Jak koszmarnego snu boją się sytuacji sprzed leczenia biologicznego. Nie chcą znowu mieć problemów w pracy, być stygmatyzowani przez otoczenie, partnerów. Proszę sobie wyobrazić, jak czują się młoda kobieta czy mężczyzna mający zmiany w okolicach intymnych.

Co wtedy, gdy po ponownym włączeniu leczenia jest ono nieskuteczne?

Staramy się szukać kolejnych terapii, jednak ich lista nie jest długa, a przecież przed pacjentem jeszcze wiele lat życia. Leczenie łuszczycy w Polsce bardzo się w ostatnich latach poprawiło, można jednak wiele zmienić, a najważniejsze jest to, żeby pacjenci mieli możliwość leczenia bezterminowego. Przemawiają za tym też względy ekonomiczne: pacjent mający nasilone zmiany na skórze korzysta ze zwolnienia lekarskiego, rozwijają się u niego choroby towarzyszące, które też muszą być leczone, a poza tym skracają jego życie. Rachunek ekonomiczny wyraźnie wskazuje, że lepiej pacjenta leczyć skutecznie. Tak robią inne kraje europejskie, które zwracają uwagę na rachunek ekonomiczny. W innych krajach terapię prowadzi się przez wiele lat, najczęściej bezterminowo.

Czy przy stosowaniu nowoczesnych leków jest dziś szansa na wyleczenie łuszczycy plackowatej?

Na wyleczenie całkowite nie ma szans, ponieważ nie możemy zmienić genów. Jeśli jednak moglibyśmy włączać terapię szybko i nie odstawiać jej, to nie tworzylibyśmy „blizny immunologicznej". Pacjent mógłby żyć, nie myśląc o chorobie. To moje marzenie jako lekarza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Agnieszka Owczarczyk-Saczonek *– jest dermatologiem i wenerologiem, pracuje w Katedrze i Klinice Dermatologii, Chorób Przenoszonych Drogą Płciową i Immunologii Klinicznej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego.*

eprasa.pl ad4328f552

PYZĘ ZIEMNIACZANĄ Z ŻEBERKIEM POLECA KULINARNY OLIMPIJCZYK

Uwielbiam kuchnię polską, dania mączne, które wymagają wyczucia. To je najbardziej zapamiętałem z dzieciństwa. Babcine smaki mocno zakorzeniły się w moich wspomnieniach. Kiedy gotuję, często sięgam do starych książek czy właśnie do wspomnień i staram się pewne potrawy „przetłumaczyć" na swój sposób rozumienia kuchni. Dziś przygotowałem przepis na pyzy ziemniaczane z żeberkiem.

Składniki:

Farsz do pyzy:
- gotowane żeberka – 1,5 kg
- sól – 25 g
- pieprz – 10 g
- pietruszka nać – 1 pęczek

Beszamel do farszu:
- masło – 150 g
- mąka – 100 g
- rosół – 400 ml

Ciasto na pyzy:
- ziemniak – 2 kg
- mąka ziemniaczana – 900 g
- mąka pszenna – 90 g
- mleko – 250 g
- jaja – 4 szt.

Przygotowanie:

Ugotować ziemniaki z solą i odcedzić. Ziemniaki prasujemy w prasce do ziemniaków. Następnie dodajemy mleko w temperaturze ok. 40 st. C. Kiedy ziemniaki połączą się z mlekiem, dodajemy obie mąki i jaja, wyrabiamy ciasto na jednolitą masę. Farsz do pyzy: żeberka ugotować w wodzie z włoszczyzną, po ok. dwóch godzinach gotowania wyciągamy żeberka i oddzielamy mięso od kości. Cebulę kroimy w piórka i smażymy na złoty kolor, podlewamy wywarem z żeberek i dusimy do miękkości. Cebulę mieszamy z naszym „poszarpanym" żeberkiem – dodajemy sos beszamelowy. Całość doprawiamy solą i pieprzem. Formowanie pyz: farsz dzielimy sobie na kulki po ok. 20 g, ciasto na pyzy również dzielimy na kulki ok. 60 g, ciasto rozkładamy na ręce, lekko spłaszczamy, nakładamy farsz z żebra i formujemy owalne pyzy. Tak przygotowaną pyzę gotujemy w osolonej wodzie. Pyzy podajemy z przesmażonym boczkiem, cebulą i szczypiorem. ©℗

Bartłomiej Pawlikowski, szef kuchni Restauracji Pocztowej 13 w Gorzowie Wielkopolskim, laureat konkursów kulinarnych, członek młodzieżowej kadry Polski na olimpiadzie kulinarnej w Erfurcie.

FOT. ARCHIWUM BARTŁOMIEJA PAWLIKOWSKIEGO

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Damasceńska róża

Co to kardamon, wiemy mniej więcej. O szafranie – tyle że żółty i drogi, kurkuma – zdrowa, tak samo imbir, który popijamy zimą na rozgrzewkę. No i jeszcze pikantno-słodki cynamon, który przyjemnie smakuje w szarlotce. I na tym w zasadzie kończy się nasza wiedza o orientalnych przyprawach. Kuchnię orientalną oswoiliśmy i przyswoiliśmy w postaci kebabu oraz zupy tajskiej (zdaje się jedno i drugie z pierwowzorem nie ma wiele wspólnego). Ale co to mastyks, olibanum, róża damasceńska, pieprz melegueta, kto wie?

Moja wiedza na ten temat też nie odbiegała od przeciętnej. Aż do momentu, kiedy wpadła mi w ręce ta pasjonująca książka „Kumin, kakao i karawana. Odyseja aromatyczna" autorstwa Gary'ego Paula Nabhana. Wydało ją Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, zapewne w niewielkim nakładzie, co tym bardziej motywuje mnie do reklamowania tej pozycji, bo zapewne nie trafi ona na półki przy wejściu do Empiku razem z wszechobecnymi tam bestsellerami literatury kulinarnej. Porównywanie Nabhana z twórczością telewizyjnych celebrytek byłoby nie tylko niesprawiedliwe, lecz także po prostu niestosowne.

Powiedzieć, że jest to książka o przyprawach, to niewiele powiedzieć. To jest poważna książka o historii, o ludziach, podróżach, o jedzeniu, o smakach. Podróż w czasie i przestrzeni

GARY PAUL NABHAN „KUMIN, KAKAO I KARAWANA" WYDAWNICTWO UJ 2016

śladami kupieckich karawan, wędrówka po wschodnich sukach, opowieści o przyprawach, ziołach, pachnidłach i lekach oraz miejscach, gdzie je pozyskiwano. Bo wiele aromatycznych roślin i żywic występowało tylko w określonych miejscach geograficznych i nie dało się ich wyprodukować w dowolnych miejscach. Trzeba je było sprowadzać. Na tym handlu powstała niejedna fortuna, wydarzyła się niejedna przygoda, wygenerowało się niejedno przestępstwo.

Fascynująca historia handlu korzennego opowiada jednocześnie o związkach między kulturami, językami i smakami. Mnie przypomniała zapach suków widzianych w Indiach, na Sri Lance, w Brazylii. Przesycający wszystko zapach przypraw pomieszany z zapachem psujących się w upale owoców... Turcja, Maroko, Syria, Indie, Egipt, Portugalia, Sycylia, Arabowie, Żydzi. Wartością dodaną książki są przepisy zachęcające do przyrządzenia potraw, których tradycja sięga kilku tysięcy lat.

Książka Paula Nabhana została nagrodzona w konkursie Gourmand World Cookbook Awards nominowana do nagrody The Art of Eating. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Już 22 listopada w „Do Rzeczy” dodatek

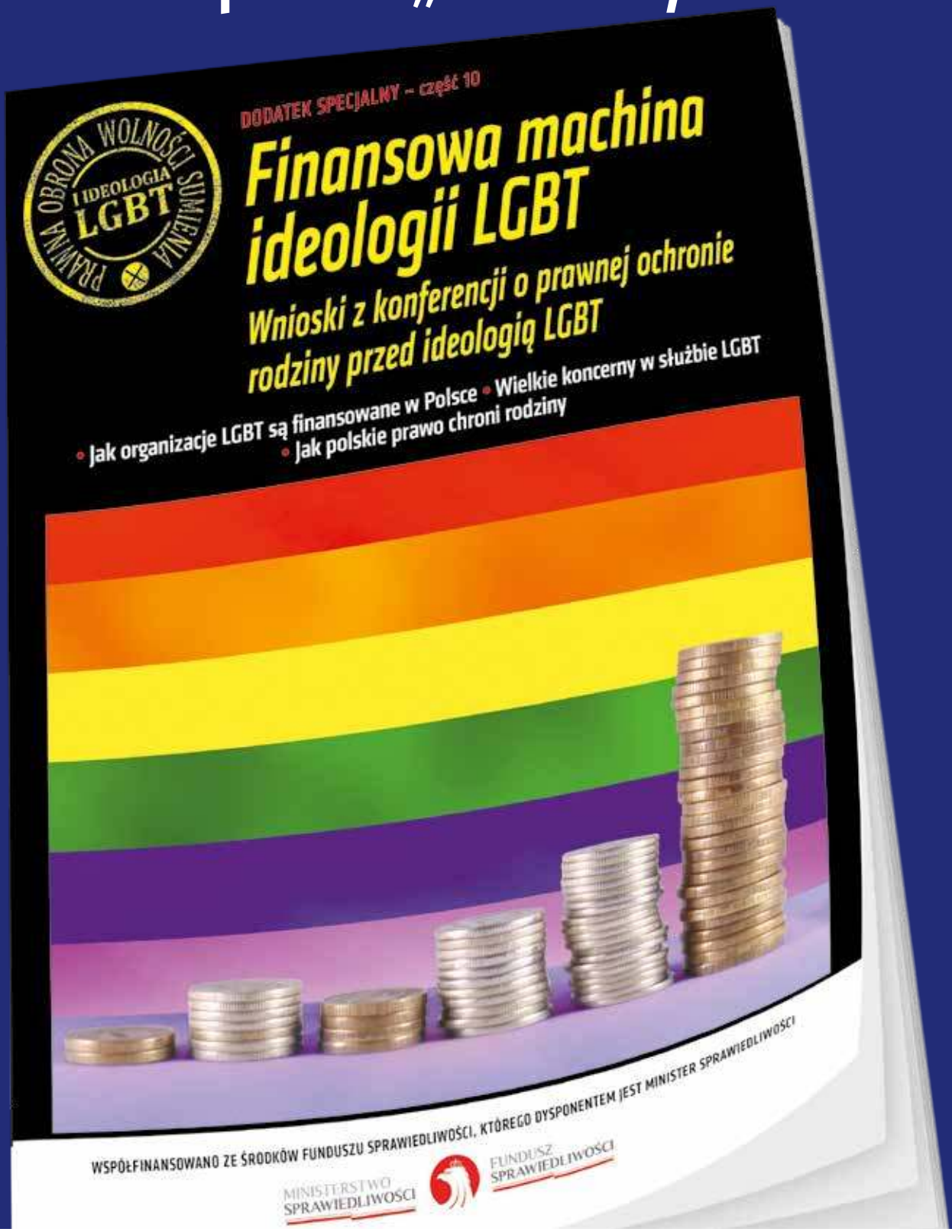

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl ad4328f552

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Rokoszanie w Stężycy

Mała wieś, a dawniej miasteczko pod dzisiejszym Dęblinem, stała się w 1606 r. miejscem, w którym o mały włos nie podjęto uchwał o naprawieniu Rzeczypospolitej. W tym miejscu bowiem w kwietniu odbywał się zjazd rokoszowy, zapowiadany wcześniej przez sejmiki w Proszowicach i Nowym Korczynie. Był jakby drugim Sejmem. Ten pierwszy bowiem bezproduktywnie obradował w tym czasie w Warszawie. Do Stężycy przybyło 6 tys. szlachty; kolejno zjawiali się zarówno przedstawiciele obozu antykrólewskiego, jak i polemizujący z nimi regaliści. Przyjechali: Stanisław „Diabeł" Stadnicki, książę Janusz Ostrogski, Aleksander Koniecpolski, wojewoda sieradzki, książę Janusz Radziwiłł i inni. Przybył też główny oponent króla Zygmunta III Wazy – wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski. Król przysłał w poselstwie Piotra Skargę, a potem biskupa płockiego Wojciecha Baranowskiego, któremu towarzyszyli: Stanisław Krasiński, wojewoda płocki, i Andrzej Przyjemski, kasztelan gdański.

Ksiądz Piotr Skarga na obrazie Jana Matejki FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

Obrady toczyły się pod znakiem ciągłych sporów. Piotr Skarga chciał uspokoić nastroje, zapobiec rokoszowi, który rodził się w gorących głowach szlachty. Odwoływał się do uczuć patriotycznych Zebrzydowskiego, obiecywał mu łaskę królewską. Jednak wojewoda odrzucił jego argumenty i wprost zwrócił się do panów braci o poparcie, wymieniając liczne królewskie winy i zaniedbania. Podnosił to, że Zygmunt gardził przedstawicielami stanu rycerskiego, ograniczał władzę Sejmu i próbował uczynić z siebie samowładcę. Były i większe zarzuty: powtórne małżeństwo z córką cesarza, Konstancją Habsburżanką, siostrą zmarłej królowej Anny. Łamanie paktów konwentów, sprowadzanie cudzoziemców na dwór i ich wywyższanie, próby koronowania syna na króla za życia ojca, lekceważenie obowiązku obrony Rzeczypospolitej.

Sejm wkrótce rozszedł się bez uchwał. Wówczas zjazd w Stężycy stał się niejako w jego zastępstwie przedstawicielem znacznej części narodu szlacheckiego. W pewnym sensie był próbą naprawienia wszystkich patologii I RP, które już wówczas pojawiały się na politycznym horyzoncie. Zgromadzeni przedstawiciele stronnictwa Zebrzydowskiego odwołali się do całego narodu szlacheckiego, aby przybył tu zjednoczony i powziął uchwały mające naprawić nadwątlony gmach Rzeczypospolitej.

Na razie nie zamierzano ogłaszać rokoszu – z przemówień przebijała myśl, aby zaprosić do Stężycy króla i skłonić go do przyjęcia rezolucji dla dobra państwa. Zabrakło jednak politycznej woli po obu stronach. Dlatego ostatecznie postanowiono wezwać na walny zjazd do Lublina na 4 czerwca 1606 r. wszystkich przedstawicieli stanu rycerskiego. Czy był to już bunt? Rokosz? Trudno powiedzieć, jednak nie zapominajmy, że Zebrzydowski nie wzywał przedstawicieli szlachty z przyczyn prywatnych, ale dla naprawienia państwa. Król kontratakował – nie chcąc dopuścić do zjazdu, ogłosił uniwersały wyznaczające 3 czerwca termin sejmików wojewódzkich.

Niestety, zjazd w Stężycy nie stał się, podobnie jak kolejny – w Lublinie – miejscem, na którym przy powszechnej zgodzie doszłoby do zreformowania Rzeczypospolitej. W Lublinie ogłoszono rokosz, później szlachta opamiętała się, przyszła nieudana ugoda w Janowcu, wreszcie rok później rozprawa zbrojna zakończona przegraną rokoszan w bitwie pod Guzowem.

W czasie wojny domowej Stężyca nie odegrała już podobnej roli, choć w maju gromadziły się tutaj wojska rokoszan. W latach późniejszych nie miała szczęścia, dzieląc los wielu miasteczek i miast zrujnowanych przez wojny i kontrybucje. W latach 1655 i 1657 była dwukrotnie spalona przez Szwedów i Siedmiogrodzian Rakoczego. Potem przyszła zaraza, lustracja z 1660 r. podaje tylko 40 domów, podczas gdy według wcześniejszej z 1564 r. było ich 137 i pół. Jeszcze gorszy okazał się los braci franciszkanów, którzy sprowadzeni w 1591 r., dzięki wsparciu Jerzego Ossolińskiego, otrzymali w 1653 r. piękny kościół i klasztor. 20 czerwca 1749 r., w czasie ogromnej powodzi, Wisła podmyła i zabrała zabudowania. Odbudowany drewniany klasztor spłonął w 1790 r. Obecnie najładniejszym zabytkiem w Stężycy jest kościół parafialny pw. św. Marcina wybudowany w latach 1522–1532. Drugi, pw. Przemienienia Pańskiego, jest pozostałością po klasztorze Franciszkanów, ponieważ wzniesiony został na miejscu spalonej w 1790 r. świątyni znajdującej się na terenie konwentu. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowy rozłam

Rozłam widzę. Człowiek, kiedy się zajmował (amatorsko) sowietologią, to pamięta czasy, gdy z najmniejszych subtelności wyciągało się wnioski, jak tam wygląda wewnętrzna gra na Kremlu. Nie było nic innego, nawet niejaki Suworow posiłkował się dorocznymi analizami, kto koło kogo stał na trybunie Mauzoleum Lenina na 1 maja, by z tego wysnuć wnioski o rzeczywistym układzie władzy. (Dodam, że zrobił sobie z tego nawet programik komputerowy, który sortował listę obecnych wedle bliskości do genseka i można było obserwować tę gonitwę z góry na dół, te nagłe awanse i upadki. Podobno do tego najlepiej było sobie puścić na cały regulator „Taniec z szablami" Chaczaturiana, by dopełnić całości tego multimedialnego wtedy widowiska).

Niestety, teraz też jesteśmy skazani na tego rodzaju subtelne źródła domysłów. Może to nadinterpretuję, ale widzę rozłam. Pierwszy raz w sprawach covidowych rząd nie mówi jednym głosem. Minister Niedzielski zaczął snuć eskalujące dywagacje na temat obostrzeń, a nowy wicepremier Kowalczyk upomniał go publicznie, że to pomysł Niedzielskiego, co do którego – zanim go zgłosi – trzeba mieć pewność co do większości sejmowej. A więc prztyczek.

Kroi się coś innego. Wydaje mi się, że minister zdrowia to już zauważył, nabrał mądrości etapu i chce dołączyć, podciągając do nowej narracji. Otóż premier oświadczył ogólnikami, że nie ma powrotu do lockdownów. Ja mam teorię, że oni takie pomysły testują, a potem badają odbiór społeczny. I choć epidemiologicznie doganiamy i przeganiamy zeszłoroczne poziomy (mimo zaszczepienia połowy ludności, wtedy niezaszczepionej, dodam złośliwie), to nie powtarzamy ówczesnych obostrzeń. A więc skoro nie eskalują, to znaczy, że odbiór społeczny takich działań byłby negatywny.

A jest i możliwy drugi powód, w dodatku niebędący alternatywą pierwszego – nie ma kasy. Nie ma kasy na następne lockdowny i tarcze. Najgorzej, że idziemy w lejek powtarzania scenariuszy epidemiologicznych. Czyli plan jest taki – znowu ujednoimienniamy służbę zdrowia, ale ta wróci z długiem zdrowotnym objawionym już nie w COVID, ale w innych, przenoszonych w skutkach chorobach. I szczepimy. Ile wlezie.

Minister Niedzielski zrozumiał, że wyniki są tak słabe i odbiór społeczny tak negatywny, że zaraz politycy będą chcieli znaleźć winnego. I pierwsi, których zrzucą z sań, będą Niedzielscy i Horbany, którzy mieli swoje pięć minut sprawczości, nadstawiali się medialnie, twarzowali drakońskim decyzjom, a teraz się boją, że pójdzie na nich. I próbują dołączyć. Za późno, ale ile jeszcze przy tym napsują, chociażby ponadnadmiarowymi zgonami, których scenariusz powtarzamy, jakbyśmy się niczego nie nauczyli z zeszłego roku. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Historia się nie powtarza

Nie wiem, czy tak zadziałały filmy z drona, pokazujące wielkie gromady migrantów po drugiej stronie zasieków (szczególnie ten mudżahedin z łopatą i nożycami do cięcia drutu), ale 9 listopada zdarzył się cud pojednania wszystkich środowisk politycznych. Podczas nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu wszyscy zgadzali się w analizie sprawstwa kryzysu na granicy i – co najważniejsze – mówili jednym głosem, że należy strzec szczelności naszych granic.

Lewica wprawdzie była w rozkroku. Z jednej strony mówiła o uszczelnieniu granic, z drugiej – żeby nielegalnym migrantom, którzy znajdą się po naszej stronie (jak się znajdą, skoro mamy granicę uszczelnić?), udzielać azylu i w żadnym wypadku nie odstawiać ich z powrotem. O dziwo, posłowie przyznali, że mamy do czynienia z wojną, a skoro tak, to nie ma prostych rozwiązań.

Współczucie wobec cierpiących, wykluczonych i uchodźców to piękna naturalna ludzka cecha, a szantaż emocjonalny to główna oś narracji współczesnej lewicy. Niemniej przyznaję, że kryzysu humanitarnego nie należy ignorować. Wiem, że jest zimno, że listopadowa noc w lesie to nieprzyjemna sprawa. Nie wykluczam, że wśród tych kilku tysięcy młodych zdrowo wyglądających, dobrze ubranych mężczyzn być może znajdują się i tacy, którzy uciekają przed prześladowaniami i przemocą.

Na zdjęciach publikowanych przez stronę białoruską i puszczanych w świat widać również matki i dzieci. Nie czuję się jednak w obowiązku, tak jak domaga się lewica, zapewniać pomocy tym osobom, ponieważ te nieliczne kobiety, matki i dzieci są w otoczeniu setek silnych, młodych mężczyzn. Można zakładać, że są tam ojcowie dzieci, mężowie kobiet, bracia, kuzyni, rodacy. Czy ci silni, młodzi faceci w pierwszej kolejności nie są odpowiedzialni za ochronę i bezpieczeństwo swoich rodzin i bliskich? Poradzili sobie z dotarciem na granicę, a tych wielkich drzew nie wycieli przecież pilniczkami do paznokci. Widać na filmach, że mają sprzęt, więc w sytuacji zagrożenia życia mogą stworzyć warunki ochrony kobiet i dzieci. Migranci, czego lewica nie chce dostrzec, są na terytorium Białorusi, a więc to Łukaszenka ponosi odpowiedzialność za ich los. Tak jak nie możemy pomóc polskiej mniejszości, która znajduje się w białoruskich więzieniach, tak nie możemy pomóc i tym.

Na koniec skojarzenie historyczne. Znów chciałoby się powiedzieć, że staliśmy się bastionem Europy.

Tylko że 300 lat temu, broniąc się przed watahami muzułmanów szturmujących nasze terytorium, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa.

Dziś nie jest to już chrześcijańska Europa. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pamięć powinna być zakazana

W związku z pełzającą wojną, którą prowadzą Łukaszenka i Putin na naszej wschodniej granicy, angażując do tego emigrantów ekonomicznych, Twitter zaczął odświeżać ludziom pamięć. No powiem Państwu, że mało jest rzeczy tak podłych jak pamięć. Pamięć powinna być zakazana, gdyż pamięć, proszę Państwa, jątrzy. I to jak! Mieliśmy więc na Twitterze z jednej strony zdjęcia i relacje świeżych brutalnych hord młodych mężczyzn profesjonalnie wyposażonych w nożyce do cięcia drutów, siekiery, szpadle i inne akcesoria umożliwiające sforsowanie granicy, mieliśmy żołnierzy Łukaszenki, czy w zasadzie już Putina, którzy tych ludzi przetransportowali i jakoś się nimi opiekowali, żeby umożliwić im wtargnięcie do Polski i sianie chaosu. A z drugiej strony mieliśmy wypowiedzi na filmikach, czy w tweetach przedstawicieli polskiej opozycji różnego szczebla, które ktoś mógłby nazwać pianiem użytecznych idiotów. Te wypowiedzi były generalnie sprzed tygodnia miesiąca, no z całkiem niedawna. Porażający kontrast.

Furorę robił na TT niedawny Donald Tusk, który przemawiał na tle jakiejś rzeki chyba: „Jak ja słyszę pana premiera Glińskiego, który jedyny pomysł, jaki ma na tę sytuację na granicy, to jest wypowiadanie tych słów, które są właściwie kompromitujące: »Polska obroni się«, tak jakby ci ludzie nam wojnę wypowiedzieli. To są biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi. Im nie trzeba robić takiej obrzydliwej ponurej propagandy, bo to są ludzie, którzy potrzebują pomocy". Delikatnie mówiąc, trochę nietrafione dziś słowa, bo TT pokazał emigranta z siekierą w kurtce za 5 tys. zł polskich po przecenie, więc po pierwsze, biedy nie ma, a po drugie, to ten z siekierą i jemu podobne bandyciątka chyba jednak nam wojnę po swojemu wypowiedzieli.

Takich wspomnieniowych wypowiedzi było bez liku, nie sposób przypomnieć wszystkich. Pewnie najbardziej zapamiętana była wypowiedź posłanki Iwony Hartwich: „Wpuśćcie w końcu tych ludzi do Polski. Kim są, ustali się później. Od czego macie służby". Ona tak pisała pod koniec sierpnia. Serio. Nie posłuchali. Może i dobrze.

To tylko jeszcze przypomnę wypowiedź pani z Lewicy, Gabrieli Morawskiej-Staneckiej, wicemarszałek Senatu, z września też na TT: „Znamy tożsamość osób znajdujących się przy granicy. Jedną z nich jest Sayyed. Kucharz, którego specjalnością jest »qaboli« (ryż z marchwią, rodzynkami i przyprawami). W niedzielę zawołał: »Ugotuję dla Was wszystkich «qaboli», jak tylko się stąd wydostanę«".

Cóż, piorunująca mieszanka naiwniactwa i zwykłej głupoty podszytej czymś w rodzaju dobrego serca. O ile babom w maglu to uchodzi, o tyle dla polityków powinien być to wyrok zielonej trawy. Dożywotnio. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Jak się zapisać do mainstreamu

Małgośka – mówią mi – nie nuży cię ta publicystyka? Przecież to tak mało kobiece zajęcie. I tu się bardzo mylą, bo mało jest tak przyjemnych widowisk jak obserwowanie z bliska pojedynków, w których nie żelazo chrzęści, a inteligencja. A gdzie więcej zjawiskowych potyczek na argumenty niż w naszym dziennikarskim światku?

Ja akurat nie z tych kobiet, które haftują na tamborku i uprawiają kwiaty, bo od małego miałam porachunki ze światem. Myślę nawet, że do dziś zachowuję wrodzony sprzeciw wobec zamordyzmu, tak jak wtedy, gdy w przedszkolu na hasło „Leżakowanie i do łóżek marsz!" mówiłam twardo: „Dziękuję, ja postoję". Rodzice skapitulowali po trzecim przedszkolu, bo nikt nie był w stanie położyć mnie spać na komendę, i dzieciństwo spędziłam z dala od PRL-owskich przechowalni dla maluchów.

A dziś to prawica i konserwatyści stoją w tak miłej mi „postawie wyprostowanej", gdy nowy soft totalitaryzm lewicy usiłuje obalić na kolana wszystkich myślących inaczej. I wobec tego nowego wyzwania przerzedzają się szeregi publicystów, którzy to mieli dochodowy etat odważnych komentatorów w czasie, gdy nie wiązało się to z żadnym ryzykiem. Dziś za to dzielą włos na czworo w kwestiach elementarnych i generalnie, jak przystało na symetrystów, „są za, a nawet przeciw".

Nowy ich talent objawia się w doborze słów, które przemilczają, i w doborze wrogów, których warto mieć, aby zapunktować w mainstreamie. Gdy czytam tekst Terlikowskiego w „Plusie Minusie" o szkodliwości „populistów", myślę, że biedak nawet nie podejrzewa, jak rymuje się z biuletynami hiszpańskich socjalistów, tyle że oni w tym haśle zawierają też rząd Polski. Najważniejsze to przykleić adwersarzom dyskredytującą etykietkę: populiści, faszyści, homofoby i już nie trzeba debatować, można ich od razu otoczyć kordonem sanitarnym. A jednak, nawet jeśli zgodzić się na hasło „populiści", to – jak pokazuje etymologia słowa – oni są blisko „populus", czyli wspólnoty, narodu i w przeciwieństwie do oderwanych od rzeczywistości oligarchów brukselskich znają realne problemy ludzi.

Nie boję się wcale tzw. populistów, za to boję się ludzi, którzy zmieniają poglądy w zależności od sprzyjających wiatrów, a zwłaszcza sprzyjających im łamów. Dawniejsi katoliccy celebryci doskonale sobie radzą z utratą szacunku wśród katolików, ale już nie z utratą „fejmu". Stąd nie ma końca zdziwieniom, których dostarcza katolikom Hołownia czy „w porywach" nawet Terlikowski. Trudno ich oceniać, gdy nic nie wiemy o narkotycznej sile przebywania w świetle kamer. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Imperium RP?

Kiedy dokucza nam rola chłopca do bicia, w której obsadzają nas tak chętnie ci, którzy mają nad nami władzę pouczania i karania, wracamy niekiedy myślą do tego pytania: A czemu my nie mamy takiej władzy? Dlaczego Polska nie ma swojego imperium (bo to słowo oznacza właśnie władzę rozkazywania innym)? Akurat okres, który przedstawiam w ukazującym się właśnie V tomie „Dziejów Polski", sprzyja refleksji nad tym zagadnieniem. To czas od śmierci Zygmunta Augusta do końca długiego panowania Zygmunta III – lata 1572–1632. W nim mieści się imperialny moment w historii Rzeczypospolitej. Zaczyna się pewnie gdzieś z pierwszą wyprawą Batorego na Moskwę, w roku 1577. Ma swoje symboliczne punkty. Pierwszy: pod Pskowem – dwa lata później. Następny może w roku 1598, kiedy Samuel Łaski zdobywa zamek w Sztokholmie polską szablą dla Zygmunta III jako szwedzkiego króla dziedzicznego. Zaraz potem, w roku 1600, chorągwie Jana Zamoyskiego wprowadzają swojego kandydata na tron w Bukareszcie. Jeszcze chwila i polsko-litewska załoga jest na Kremlu (1610–1612). Lisowczycy buszują setki kilometrów na północny wschód od Moskwy, a nasi, to jest zaporoscy Kozacy, w tym samym niemal czasie szturmują Trapezunt (Trabzon) i Synopę, na południowym brzegu Morza Czarnego, znacznie bliżej Bagdadu niż stolicy ich macierzystego województwa kijowskiego.

Jest między tymi punktami błysk husarskich kopii pod Kircholmem i pod Kłuszynem. Jest też groźna sława lisowczyków, która zawróci w końcu głowę ich kapelanowi, Wojciechowi Demobołęckiemu, i pozwoli mu roić o „Jedynowłasnym państwie świata", czyli o globalnym panowaniu dziedziców Polacha – Sarmatów. Jednak w rzeczywistości kończy się ten imperialny rozpęd może już na niezdobytej w roku 1618 Bramie Arbackiej w Moskwie i następującym po tym niepowodzeniu rozejmie w Dywilinie. Albo pod Chocimiem, w roku 1621, gdzie Rzeczpospolita stawiła czoła najazdowi całej potęgi Porty Ottomańskiej, ale już przecież o żadnej ofensywie nikt poważnie nie myślał. A może koniec tej epoki to dopiero rok 1629, rozejm w Altmarku ze szwedzkimi „śledziami", których połknąć się nie dało, choć Zygmunt III jeszcze próbował zebrać siły do ataku (w nieco egzotycznym jednak przymierzu z królem Hiszpanii)?

To Gustaw Adolf będzie rzeczywiście budował imperium – dla Szwecji. I car Michał – dla Rosji. Sułtan w Stambule i cesarz w Wiedniu byli już imperatorami uznanymi. A obywatele Rzeczypospolitej, przynajmniej ich przeważająca większość, imperium sobie nie życzyli. To właśnie można zobaczyć przez pryzmat żmudnych zmagań króla z sejmem o każdy grosz na opłacenie armii. Kiedy poddani stają się obywatelami i zaczynają zabierać głos decydujący w sprawie podatków – a od tego zależy wojna – te dwie swoiste logiki stają naprzeciwko siebie: logika wolności (od podatku, od ciężaru państwa) i logika imperialnej dumy, która skupia się najczęściej wokół władcy, służących mu pisarzy i wodzów. Tam, gdzie nie ma obywateli, nie ma tego „problemu". Oczywiście nie każdy władca ulega imperialnej logice i nie w każdej republice jej obywatele rezygnują z myśli o podbojach. Łatwiej jest owe dwie logiki połączyć w takim systemie, gdzie handel, ekspansja ekonomiczna są głównym, a przynajmniej istotnym, narzędziem podboju, gdzie podatek (na imperialną ekspansję i kontrolę) może zostać uznany za dobrą inwestycję. Tak w Rzeczypospolitej polsko-litewskiej jednak nie było.

Osłabiać, a w każdym razie czujnie kontrolować króla, władzę centralną, bo może zagrozić wolności obywateli, ale jednocześnie nie odcinać się od państwa rozumianego jako wspólnota, jako wspólna własność – to jest formuła eliksiru Rzeczypospolitej. „Utrzęsła się" w latach walki obozu egzekucjonistów o naprawę państwa i przekształcenie go we wspólnotę obywateli, a przypieczętowana została w burzliwym przebiegu pierwszych trzech elekcji po śmierci Zygmunta Augusta. W doskonale zrównoważonym dawkowaniu była skuteczna. Można jednak od upajania się owym eliksirem, przekonaniem o jego doskonałości, dostać zawrotów głowy. Można i świadomie raczyć nim szlacheckie „masy", żeby je poprowadzić ku swoim celom, do uzyskania przewagi w Rzeczypospolitej własnej fakcji – czego dał przykład Jan Zamoyski, a potem Radziwiłłowie, Sapiehowie, Potoccy… Polityka zewnętrzna, zagraniczna jest, w każdym razie w takim systemie, całkowicie funkcją wewnętrznej.

Z takim nastawieniem nie buduje się imperium. Przynajmniej w znaczeniu, które zwykle kojarzymy z tym terminem, opartym przecież na wspomnieniu potężnego Rzymu: tego, którego symbolem jest cesarz, imperator. A tę formę uważano już nad Wisłą za skażoną. Kiedy w senacie, w sejmie i nawet na niektórych sejmikach strojono się w rzymski kostium, to jednak wyobrażono sobie, że oto odnawia się wspaniała republika. Cezar jest dla niej zagrożeniem największym.

Kto ciekaw kolejnych argumentów w sporze o „stracone imperium" Rzeczypospolitej, niechaj sięgnie do V tomu „Dziejów". Tam ciąg dalszy nastąpi… ©℗

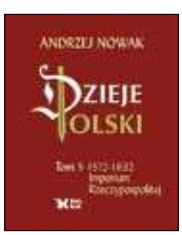

ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI. TOM 5. IMPERIUM RZECZYPOSPOLITEJ"
BIAŁY KRUK 2021

eprasa.pl ad4328f552

153 dolary

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Demokracja – ustrój, który zakłada udział obywateli w sprawowaniu władzy poprzez wybieranie przedstawicieli do sprawowania władzy. Obywatele wybierają swoich przedstawicieli.

Republika (inaczej: rzecz pospolita) – ustrój, w którym władza jest sprawowana przez organ wyłoniony na określony czas (kadencja) w wyniku wyborów. Obywatele wybierają swoje władze na czas określony.

Stany Zjednoczone są republiką – władze w USA wybierane są na określoną kadencję przez obywateli. W wyborach lokalnych (coś jak nasze gminne czy dzielnicowe) wybiera się na przykład szeryfa, a szeryf to w przybliżeniu odpowiednik polskiego dzielnicowego lub komendanta policji. Szeryf pochodzi z wyboru i jest dowódcą sił policyjnych w danym okręgu. Na podobnej zasadzie lokalna społeczność w USA wybiera swoich prokuratorów i sędziów oraz rady szkolne, a potem taka rada ma wpływ na to, co się dzieje w publicznej szkole (kto uczy, czego konkretnie uczy i w jaki sposób to robi). Rada szkolna jest odpowiednikiem naszego kuratorium. Tak działa republika, rzeczpospolita.

***

Zgodnie z powyższymi definicjami Polska nie jest rzeczpospolitą ani nawet demokracją, bo w Polsce nie wybieramy jednej z trzech władz wcale – nie wybieramy nigdy swoich sędziów. Władze wykonawcze, owszem, wybieramy, lecz tylko częściowo – na przykład w wyborach prezydenckich, ale już premiera nie wybieramy. Premiera nam przynoszą w teczce, a przecież to jest najpotężniejszy organ władzy wykonawczej w Polsce.

Nie wybieramy wykonujących prawo komendantów policji. Nie wybieramy prokuratorów. Nie wybieramy sędziów. A ponadto wiele organów w Polsce nie podlega kadencyjności lub jest ona fikcją.

Polska nie jest rzeczpospolitą ani nawet demokracją, skoro z trzech filarów władzy jedynie władzę ustawodawczą wybieramy, ale nawet tę w bardzo koślawy sposób – głosując na listy partyjne układane odgórnie przez partyjnych bossów. Pojedynczy obywatel, którego chcielibyśmy wybrać, nie ma jak wystartować. W USA ma.

***

W stanie New Jersey do wyborów senackich zgłosił się wnerwiony kierowca ciężarówki, Ed Durr. Wnerwiony na panoszące się lewactwo i lockdowny. Nie miał za sobą żadnego zaplecza ani aparatu wyborczego. Po prostu rzucił wyzwanie zawodowemu politykowi z Partii Demokratycznej i wygrał – odebrał mu stołek.

Na swoją kampanię wyborczą wydał 153 dolary (kawa i pączki dla małej grupy przyjaciół, którzy mu pomagali). Nagrał jedną szczerą reklamówkę za pomocą komórki syna, wpuścił ją do sieci, a potem chodził od domu do domu, przedstawiał się mieszkańcom swego okręgu wyborczego, opowiadał, kim jest, za czym będzie głosował, a za czym nie, i wygrał. Aby wystartować, musiał zebrać jedynie 100 podpisów ludzi z sąsiedztwa i nie musiał być wpisany na żadną partyjną listę. Zgłosił się jako republikanin, ale równie dobrze mógł startować jako niezależny. To JEST demokracja, a w Polsce nie ma.

***

W sprawie sędziów ma się w RP trochę poprawić – sędziowie pokoju mają być wybierani w wyborach powszechnych. Dobrze! Ale czemu tylko sędziowie najniższego szczebla, a nie wszyscy od góry do dołu? Ja bym chciał wybierać wszystkich, bo... czemu nie?

Niech nam pan prezydent (wnoszący projekt ustawy) odpowie na pytanie: CZEMU NARÓD POLSKI NIE WYBIERA SOBIE WSZYSTKICH SWOICH SĘDZIÓW? Głosowalibyśmy na uczciwych i pracowitych, na nieumoczonych. A gdyby w trakcie kadencji (kadencyjność jest KLUCZOWA) wyszło, że się dany sędzia zepsuł, skorumpował, umoczył, rozleniwił lub przestał ferować wyroki sprawiedliwe, to zorganizowalibyśmy oddolną antykampanię wyborczą i w kolejnych wyborach nawet by taki patałach nie próbował startować, lecz zmienił zatrudnienie.

I czemu kandydatom na sędziów pokoju postawiono wymagania, które wykluczają z tych wyborów normalnych obywateli? Czemu kandydować mogą wyłącznie członkowie istniejącej kasty? W projekcie ustaw zapisano, że kandydat na sędziego musi być prawnikiem, z co najmniej trzyletnią praktyką w zawodzie. Czemu o kwalifikacjach nie decydują sami wyborcy?

Sędziowie pokoju zajmują się sprawami drobnymi i prostymi – małe kradzieże, wandalizm, chuligaństwo, pijackie burdy. Moim zdaniem kandydat nie powinien mieć stawianych żadnych ograniczeń. Może być bezrobotnym kierowcą i nie musi kończyć wydziału prawa – jeżeli wyborcy zechcą, by ktoś taki (czyli prosty chłop) rozsądzał ich spory, to… wola wyborców powinna być w rzeczypospolitej prawem. Nie?

Prezydentem RP, czyli zwierzchnikiem polskich sił zbrojnych oraz dyplomacji, może zostać (i był) elektryk lub pijaczyna-kłamczuszek bez żadnego dyplomu, lub profesor doktor habilitowany nauk prawnych, a po nim głupek skaczący po japońskich meblach, to czemu sędzią pokoju (funkcja niższa od prezydentury) nie możemy sobie wybrać kogo chcemy?

Do Sejmu może kandydować każdy głupek i potem to on stanowi prawo, a przecież nie ma prawniczego wykształcenia. Czemu więc na sędziego pokoju nie może kandydować ten sam głupek? Niech decydują wyborcy, czy chcą głupka.

***

W USA nie ma list partyjnych, lecz są okręgi jednomandatowe, a start w wyborach jest decyzją jednostki – kandydata. Potem przy urnie decydują wyborcy, a nie algorytm Donta czy jak mu tam. Ponadto w USA istnieje możliwość odręcznego dopisania dodatkowego kandydata na karcie do głosowania. Twojego kandydata, który się sam nie zgłosił do wyborów, nie prowadził kampanii wyborczej, ale naród go chce, więc dopisuje. Gdyby taki dopisany odręcznie wygrał, wówczas pytają go, czy przyjmie funkcję.

***

Rzeczpospolita Polska niestety nie jest ani demokracją, ani rzeczą pospolitą. Zachowano wiele pozorów bycia jednym i drugim, ale republika pozorna to nie republika. Czym więc jest RP? Jaki mamy system władzy? Do Polski pasuje definicja oligarchii.

Oligarchia (panowanie nielicznych) – ustrój, w którym władza sprawowana jest przez niewielką grupę ludzi. W kółko tych samych. I oni nie dopuszczają nowych.

A zjawisko „COVID" (i nie chodzi mi o wirusa) powoduje, że ta oligarchia ewoluuje w kierunku tyranii lub władzy despotów. ©℗

eprasa.pl ad4328f552

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

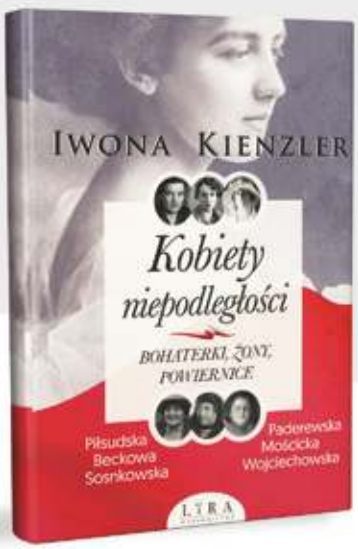

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER
„KOBIETY NIEPODLEGŁOŚCI. BOHATERKI, ŻONY, POWIERNICE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~706 ZŁ~~

312,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 349 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ad4328f552

NARODOWY BANK POLSKI

DBAMY O WARTOŚĆ POLSKIEGO PIENIĄDZA

Bank Światowy

Niezwykle ważne jest bezprecedensowe wsparcie, jakiego władze udzieliły w celu ochrony dochodów, ochrony miejsc pracy. Należy docenić rolę zarówno Narodowego Banku Polskiego, jak i rządu.

Gallina Vincelette, dyrektor Banku Światowego na Unię Europejską, dla portalu „Obserwator Finansowy" – listopad 2021

Prezes NBP prof. Adam Glapiński laureatem głównej nagrody „Polski Kompas 2021"

Za bezkompromisowe, przemyślane i skuteczne decyzje podejmowane przez bank centralny w czasie kryzysu, za złoto, którego wciąż przybywa w skarbcu Narodowego Banku Polskiego, za niezależność i spokój godny władzy finansowej kraju.

„Polski Kompas" – październik 2021

Nagroda Gospodarcza Prezydenta RP

Zdecydowałem się ją przyznać, dlatego że ostatnie dwa lata – a zwłaszcza poprzedni rok, ale w dużej części i ten – był to czas bardzo trudny także dla mnie jako Prezydenta, który martwi się o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Chodzi także o bezpieczeństwo gospodarcze, a jego niezwykle ważną częścią jest bezpieczeństwo systemu bankowego.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda – listopad 2021

Międzynarodowy Magazyn CFI.co

Uzasadnienie decyzji przyznania nagrody „Najlepiej zarządzany bank centralny w Europie w 2021 roku": Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego NBP błyskawicznie zareagował na pojawienie się pandemii, co pozwoliło uchronić polską gospodarkę przed spełnieniem się najgorszego scenariusza głębokiej recesji i wysokiego bezrobocia. Narodowy Bank Polski, a przez to i Polska, jest liderem w zakresie walki z gospodarczymi skutkami pandemii.

Capital Finance International – kwiecień 2021

nbp.pl/opinie

eprasa.pl ad4328f552